Piotr Lisiewicz
RZĄD DUSZ, BARWY I NIEMIECKA BRAMKA

Tomasz Sakiewicz
MOSKWICZEM PRZEZ TAJGĘ

Stefan Czerniecki
WAKACJE „MARZEŃ"? KU PRZESTRODZE

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA

NOWE PAŃSTWO

SOJUSZ NIECZYSTYCH SUMIEŃ

Wojna **ROSJI** z Ukrainą **i NIEMIEC** z Polską

cena 12 PLN (w tym 8% VAT) www.panstwo.net indeks 211060 #193 07–08/2022

ILUSTRACJA: MARIUSZ TROLIŃSKI FOT. ANDREAS GORA/POOL/PAP/EPA, ADOBE STOCK (2), WIKIPEDIA

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 84d681be0e

TEMAT NUMERU ▼ 4–21

Sojusz nieczystych sumień. Wojna Rosji z Ukrainą i Niemiec z Polską / 4

IDEE ▼ 22–35

Straszliwe i krwi pragnące kazanie / 22

HISTORIA ▼ 36–60

Rząd dusz, barwy i niemiecka bramka / 36

KULTURA ▼ 66-73

Inny Berlin / 66

ŚWIAT ▼ 74–98

Wakacje „marzeń"? Ku przestrodze / 74

Spis treści

TEMAT NUMERU

Piotr Grochmalski
Sojusz nieczystych sumień. Wojna Rosji z Ukrainą i Niemiec z Polską 4

Ryszard Czarnecki
Polski „reset" vs niemiecki status quo ante 13

Piotr Lisiewicz
Scenariusz grozy dla Polski. Nikt go nie chce, a może się wydarzyć 14

Z prof. Tomaszem Grzegorzem Grosse rozmawia Grzegorz Wszołek
Powinniśmy prowadzić twardą politykę względem Niemiec 18

IDEE

Ewa Polak-Pałkiewicz
Straszliwe i krwi pragnące kazanie 22

Jan Stalony-Dobrzański
Król świata, czyli ta prawdziwa teoria spisku 30

Małgorzata Matuszak
Nowe oblicze sekularyzacji? 33

HISTORIA

Piotr Lisiewicz
Rząd dusz, barwy i niemiecka bramka 36

Agnieszka Kowalczyk
Paradoksy sowieckiej władzy 42

Tomasz Łysiak
Władysław Anders – generał polskich nadziei dręczony przez Sowietów 48

Dariusz Jarosiński
Józef Mackiewicz. Wokół Powstania Warszawskiego 52

Jan Nowak
Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941 58

KULTURA

Olga Doleśniak-Harczuk
Inny Berlin 66

Krzysztof Karnkowski
„Stranger Things 4". Bardzo znajome rzeczy 70

Krzysztof Karnkowski
Przygotuj się na najszybsze 73

ŚWIAT

Stefan Czerniecki
Wakacje „marzeń"? Ku przestrodze 74

Antoni Rybczyński
Armenia zmienia kurs, czyli nikt nie chce „mirotworców" z Rosji 82

Hanna Shen
Polska powstrzymała chińską ekspansję 86

Hanna Shen
Tak minął miesiąc w Azji 92

oprac. Antoni Rybczyński
Nieprzystosowane do celów: fiasko projektu rosyjskiego wojska 94

Stałe rubryki

Katarzyna Gójska
Rozliczmy tuskowy reset z Rosją
NA POCZĄTEK 3

Marcin Wolski
Niemiecka Europa
PAPKULTURA 17

Małgorzata Matuszak
Czym jest... współczesny hedonizm
KATECHIZM INTELIGENTA 61

Krzysztof Wołodźko
Obca i wroga. Przekleństwo nienowoczesnej Rosji
DZIENNIK LEKTUR 62

Marek Kalinowski
Zespół marzeń
DO GRAJĄCEJ SZAFY... 72

Ryszard Czarnecki
Madagaskar – zapiski z wyprawy na koniec świata
CZARNECKO TO WIDZĘ 89

Olga Doleśniak-Harczuk
Przysypani Ostalgią
Z GLOBALNEGO TYGLA 90

Tomasz Sakiewicz
Moskwiczem przez tajgę
OSTATNIE SŁOWO 99

miesięcznik
WYDAWCA
SŁOWO NIEZALEŻNE Sp. z o.o.

REDAKCJA
02-056 Warszawa
ul. Filtrowa 63/43
e-mail: redakcja@niezalezna.pl
www.panstwo.net

NIEZALEŻNA GAZETA POLSKA
NOWE PAŃSTWO

ZESPÓŁ
Ryszard Czarnecki, Stefan Czerniecki, Olga Doleśniak-Harczuk (z-ca redaktora naczelnego), Bogusław Dopart, Katarzyna Gójska (redaktor naczelny), Dariusz Jarosiński, Dorota Kania, Piotr Lisiewicz, Ewa Polak-Pałkiewicz, Małgorzata Matuszak, Tomasz Sakiewicz, Hanna Shen, Bohdan Urbankowski, Jerzy Urbanowicz, Andrzej Waśko, Grzegorz Wierzchołowski, Marcin Wolski

SEKRETARZ REDAKCJI
Martyna Hajdo-Trolińska

DYREKTOR WYDAWNICZY
Tomasz Sakiewicz

PROJEKT GRAFICZNY
Mariusz Troliński

DTP
Aleksander Razcwarkow

KOREKTA
Maria Fijołek, Irena Biśta-Kanciała

INFORMACJA O PRENUMERACIE
www.prenumerata.swsmedia.pl
prenumerata@swsmedia.pl
tel. 605 900 002
NUMER KONTA DLA PRENUMERATORÓW

NIEZALEŻNE WYDAWNICTWO SP. Z O.O.
BANK PEKAO SA
82 1240 5963 1111 0010 3867 3017
(przelew z zagranicy SWIFT: PKOP PL PW)

DRUK **LOTOS POLIGRAFIA Sp. z o.o.**

Redakcja zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania tekstów.

ISSN 1895-4960

eprasa.pl 84d681be0e

Katarzyna Gójska

Rozliczmy tuskowy reset z Rosją

Będę to powtarzać do znudzenia – konieczne, wręcz niezbędne jest drobiazgowe zbadanie prorosyjskiej polityki w czasie rządów PO-PSL. W tym czasie doszło bowiem do bezprecedensowych działań wbrew interesowi Rzeczypospolitej w wielu kluczowych dla bezpieczeństwa naszego kraju aspektach.

Śmierć prezydenta Lecha Kaczyńskiego jest punktem kulminacyjnym w tym zbrataniu Warszawy i Moskwy via Berlin. Dziś znamy odpowiedź na pytanie: co wydarzyło się 10 kwietnia 2010 roku w Smoleńsku. Wiemy, jaki był mechanizm realizacji tej zbrodni i sposób jej tuszowania, ale jeśli spojrzymy na cały proces wikłania Polski w sieć powiązań z Kremlem, to wiedza na ten temat wydaje się stanowczo niewystarczająca, a jej znaczenie przez wiele lat mogło być wręcz lekceważone przez obóz Zjednoczonej Prawicy. O tym, że to straszliwy błąd, nie raz pisaliśmy na łamach naszych mediów. Można w ciemno założyć – i to właśnie należało zrobić – iż aktywa rosyjskie w Polsce są bardzo liczne. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że obawa przed łatką tych, którzy mają obsesję na punkcie „ruskich agentów", zablokowała obóz władzy. Tymczasem sama rozległość tematów, w których dochodziło do jawnie prorosyjskich działań, świadczy o tym, że przychylność do realizacji moskiewskich interesów w różnych instytucjach naszego państwa jest stanowczo niedoszacowana. Zbadanie resetu z Kremlem z czasów Tuska, Komorowskiego i Kopacz to dziś element polskiej racji stanu. To prawda, że ten pierwszy jest dziś tylko walczącym o polityczną przyszłość liderem jednej z opozycyjnych partii, drugi emerytem, a trzecia europosłem, ale ich zacieśnianie relacji z Moskwą realizowali ludzie – urzędnicy, dyplomaci, którzy w większości są dziś w strukturach państwa lub choćby mają wpływ na debatę publiczną w Polsce. Rzeczpospolita nie może sobie pozwolić na powierzanie im ważnych zadań, bez pewności, że zrealizują je, nie kierując się interesem wschodniego agresora. Choćby takie – dość oczywiste pytanie: kto odpowiadał za kontakty z Patruszewem ze strony polskich władz? Albo inne: jak dokładnie wyglądały konsultacje naszych ambasadorów z Ławrowem? Kto odpowiadał za ich przygotowanie? Co dziś robią ci ludzie? Odpowiedzi należą się też opinii publicznej, a w sposób szczególny wyborcom Zjednoczonej Prawicy, bo wiadomo, że są one dla nich istotne. Trzeba zatem dokonać – w ekspresowym tempie – rozliczenia owego tuskowego resetu. Ale dogłębnie, szeroko – bo sam Tusk czy Komorowski tej polityki uległości wobec Federacji Rosyjskiej nie realizowali.

Dziś musimy mieć pewność, że interesy naszego kraju są – na różnych szczeblach: konsula, urzędnika czy ambasadora – w rękach ludzi nieskalanych grą z Kremlem przeciwko Rzeczypospolitej. Każde podejrzenie winno zaowocować eliminacją ze struktur państwa.

I w imię dobrze rozumianego interesu RP podziękować wszystkim tym, którzy byli trybami lub trybikami w tej zabójczej wobec naszego państwa działalności. Dziś musimy mieć bowiem pewność, że interesy naszego kraju są – na różnych szczeblach: konsula, urzędnika czy ambasadora – w rękach ludzi nieskalanych grą z Kremlem przeciwko Rzeczypospolitej. Każde podejrzenie winno zaowocować eliminacją ze struktur państwa. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Piotr Grochmalski

SOJUSZ NIECZYSTYCH SUMIEŃ.

Wojna Rosji z Ukrainą i Niemiec z Polską

Wszelkie antagonizmy wewnętrzne w Polsce oraz zewnętrzne osłabianie jej pozycji leżą w strategicznym interesie Berlina i Moskwy. Kreowanie konfliktu polsko-ukraińskiego, budowanie napięcia w stosunkach z Litwinami oraz Białorusinami, a także waśnie między siłami politycznymi w samej Polsce wpisują się w scenariusz „rozmiękczania" Polski i realizacji strategicznych celów Berlina i Moskwy.

Ilustracja: Mariusz Troliński Fot. Andreas Gora/POOL/PAP/EPA, Adobe Stock (2), Wikipedia

eprasa.pl 84d681b

Nie byłoby wojny na Ukrainie, gdyby nie wsparcie dla ambicji imperialnych Rosji ze strony Niemiec. Analiza faktów, z pominięciem deklaracji słownych, wskazuje na ścisłą korelację między działaniami berlińskich elit a decyzją Putina o agresji. Zrozumienie tej kwestii ma kluczowe znaczenie dla odczytania dalszej strategii, jaką realizować będą Berlin i Moskwa.

Cel: Polska

Przez ostatnie dekady Niemcy budowali swój obraz jako wzorcowej demokracji opartej na systemie europejskich wartości. Jak stwierdzał Ulrich Beck, monachijski socjolog: „W perspektywie historycznej to najlepsze Niemcy, jakie kiedykolwiek mieliśmy". Rzekomo pod sztandarem jedynie słusznych wartości Niemcy też rozpoczęli totalną wojnę informacyjną z Polską. Aby – rzekomo – przerobić Polaków w takich Europejczyków, jakimi stali się rzekomo Niemcy. Bo zdaniem Becka „nie chcą być dłużej uważani za rasistów i podżegaczy wojennych. Postrzegają się bardziej jako mentorzy i moralni oświeceniowcy Europy". Na obu państwach, Rosji i Niemczech, ciąży jednak bezpośrednia odpowiedzialność za wybuch największego globalnego konfliktu w dziejach ludzkości. Od 1939 do 1941 roku oba te reżimy wspólnie dokonywały ludobójstwa na polskim narodzie. Wydawałoby się, iż to makabryczne doświadczenie uchroni oba narody przed recydywą. Wspólnota Europejska powstała głównie po to, aby rozbroić raz na zawsze Berlin z jego niszczycielskiej woli dominacji i agresji. Ale projekt ten, zamiast europeizacji Niemiec zaczął prowadzić do próby germanizacji Europy. Ulrich Beck już w 2012 roku stwierdził, że czas najwyższy, aby złamać tabu i powiedzieć to otwarcie: „Europa stała się niemiecka". Dekadę trwały intensywne działania Berlina, aby ta diagnoza Becka została oparta na solidnym, instytucjonalnym fundamencie. Największe zagrożenie w realizacji tego projektu Niemcy dostrzegali w Polsce. Ale także putinowska Moskwa oceniała, iż największe zagrożenie dla planów wchłonięcia Białorusi, Litwy, Łotwy, Estonii i Ukrainy – stanowi Polska. George Friedman w 2011 roku pisał: „Jeśli Niemcy i Rosja będą dalej zmierzać w stronę sojuszu, kraje pomiędzy Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym – tak zwane kraje Międzymorza – staną się nieodzowne dla polityki Stanów Zjednoczonych. Największym z nich i najkorzystniej strategicznie położonym jest Polska. Ma najwięcej do stracenia i doskonale o tym wie. Polacy znaleźli się w Unii Europejskiej, ale tkwią, jak tkwili, między Niemcami a Rosją. Co się stanie, jeśli te dwa kraje się sprzymierzą? Polska, jak i inne kraje Europy Wschodniej, jest przerażona możliwością ponownego wciągnięcia w strefę wpływów jednego lub obu historycznych wrogów". To właśnie zdiagnozowanie przez Berlin i Moskwę, że dla obu państw wspólne zagrożenie realizacji ich planów stanowi Polska, sprzymierzona z Ukrainą i państwami Europy Środkowej, spowodowało powstanie nieformalnego sojuszu obu państw.

Fanatyk rozbicia światowego ładu

Aleksandr Dugin, dzięki kapitałowemu wsparciu niemieckich i rosyjskich firm, stworzył europejską sieć organizacji, które kreowały wizje niemiecko-rosyjskiej Europy. Jak pisze ten fanatyk rozbicia światowego ładu: „Oś Moskwa–Berlin uleczy niemoc obu partnerów i umożliwi powstanie w przyszłości potężnej Wielkiej Rosji i Wielkich Niemiec. W dalszej perspektywie doprowadzi to do stworzenia trwałej strategicznej i ekonomicznej konstrukcji dla powstania zjednoczonego Imperium Eurazjatyckiego – Imperium Europejskiego na zachodzie i Imperium Rosyjskiego na wschodzie Eurazji". Dziś armia rosyjska, grabiąc i gwałcąc kobiety i dzieci na Ukrainie, postępuje zgodnie z duginowską wizją. Zalecał, aby przy realizacji swych celów, Moskwa pozbyła się wszelkich resentymentów i tak zagospodarowała wspomnianą przestrzeń nowego imperium, aby nie kolidowało to z jej interesami. Ale – jak twierdzi – nie będzie to możliwe bez Niemców. Bo – jak przekonywał Dugin – Rosja jest za słaba, żeby Niemcy zdominować, dlatego musi je sobie zjednać. Tym bardziej, że widzi w państwie niemieckim spadkobiercę polityki pruskiej, a zatem eurazjatycki, a nie atlantycki model sprawowania władzy. Dlatego trzeba Berlin zachęcić rekompensatami na wschodzie i wesprzeć projekt restauracji Prus kosztem terytorialnej kastracji Polski. Jak stwierdzał: „W tej perspektywie wydaje się celowe zwrócenie obwodu kaliningradzkiego (Prus Wschodnich) Niemcom, byłby to wyraz rezygnacji z ostatniego terytorialnego symbolu tragicznej bratobójczej wojny". Oba państwa winny też wymusić, by państwa Europy Środkowej wystąpiły z Sojuszu Północnoatlantyckiego. W rezultacie kilkanaście państw europejskich ma utracić swoją niepodległość, a o ich przyszłości będą decydować dwa państwa tworzące kondominium rosyjsko-niemieckie. Kluczem do realizacji tego wielkiego planu jest pacyfikacja Polski. Dlatego Dugin podkreśla, iż „Maksymalne osłabienie Polski jest fundamentem stosunków rosyjsko-niemieckich". Berlin i Moskwa wspólnie winny „dążyć do osłabienia religijno-kulturowej tożsamo-

eprasa.pl 84d681be0e

ści Polski, która nie pozwala jej na zbytnie zbliżenie z Rosją, jak i rozpłynięcie się w zdominowanej przez Niemcy Europie". W tym celu trzeba podciąć wszelkie katolickie korzenie przez „siły domagające się prowadzenia przez te państwa (Polska, Litwa) polityki niekatolickiej – zwolennicy świeckiej socjaldemokracji, neopoganie, etnocentryści, prawosławne i protestanckie kręgi religijne, mniejszości narodowe". Wszelkie antagonizmy wewnętrzne w Polsce oraz zewnętrzne osłabianie jej pozycji leżą w strategicznym interesie Berlina i Moskwy. Kreowanie konfliktu polsko-ukraińskiego, budowanie napięcia w stosunkach z Litwinami oraz Białorusinami, a także waśnie między siłami politycznymi w samej Polsce wpisują się w scenariusz „rozmiękczania" Polski i realizacji strategicznych celów Berlina i Moskwy.

▶ Nord Stream – symbol sojuszu nieczystych sumień

Wypowiedzi Dugina wydawały się majaczeniami sfrustrowanego fanatyka imperialnej Rosji. Ale gdy 10 grudnia 2021 roku Rosja przedstawiła ultimatum USA i Zachodowi, którego przyjęcie oznaczałoby, że państwa Europy Środkowej będą zmuszone do opuszczenia NATO, a Rosja – bez wystrzelenia jednego naboju – obaliłaby istniejący porządek bezpieczeństwa za cenę ratowania przez Europę pokoju, okazało się nagle, że dokument ten pokrywa się z wizją Dugina. Stany Zjednoczone odrzuciły bezczelny dyktat Moskwy. Wówczas Putin postanowił wysadzić w powietrze globalny porządek. Od czterech miesięcy Rosja próbuje zamordować Ukrainę, a kanclerz Scholz konsekwentnie broni interesów Putina i odbywa z nim przyjacielskie pogawędki. Aby zrozumieć dlaczego Berlin z taką determinacją wyciąga rękę do człowieka, który odpowiada za zbrodnie wojenne na Ukrainie, wystarczy zastanowić się, do jakiego przebiegu wojny – jeszcze przed jej rozpoczęciem – Berlin się przygotował. Nie ma wątpliwości, że uważano w stolicy RFN, iż będzie to błyskawiczna operacja. Putin w trzy dni podbije Ukrainę. W konsekwencji radykalnie przeobrazi to całą sytuację w Europie. Klęska Ukrainy zadałaby śmiertelny cios wiarygodności NATO i USA, rozbiłaby państwa Trójmorza i pozostawiłaby Polskę na łasce Berlina i Moskwy. Taki wynik wojny otworzyłby drogę do realizacji geopolitycznej wizji Dugina, która jest rozwinięciem koncepcji gen. Karla Haushofera z lat 30. XX wieku. Jego uczniem był Rudolf Hess, najbliższy współpracownik Hitlera. Uważał on, że Niemcy powinny zawrzeć strategiczny sojusz z Rosją i podzielić się władzą w Eurazji. Traktat Ribbentrop–Mołotow realizował wizję Haushofera. W nowej rzeczywistości taką rolę miał spełnić Nord Stream, jako fundament i gwarant nowego strategicznego sojuszu Niemiec i Rosji. Był próbą odbudowy starego podziału geopolitycznego i marginalizacją znaczenia Trójmorza. W istocie Berlin pchnął Moskwę do brutalizacji relacji wobec Ukrainy. Póki nie było Gazociągu Północnego, Putin mógł się obawiać, że zbrojna agresja na sąsiada wiąże się z ryzykiem przerwania dostaw gazu przez Gazprom na Zachód poprzez magistrale biegnące przez Ukrainę. Pytanie podstawowe – jeśli Niemcy pchnęły Rosję do zmian terytorialnych w Europie (wobec Ukrainy), to czy nie wynikało to z jakichś chorych wspólnych wizji dotyczących rewizji granic w Europie Środkowej? Determinacja, z jaką trzech kanclerzy Niemiec – Gerhard Schroeder, Angela Merkel i Olaf Scholz – walczyło przez lata o Nord Stream, zmusza do refleksji, o jakich wizjach terytorialnych Putin rozmawiał z kolejnymi kanclerzami Niemiec.

Zaledwie kilka miesięcy po agresji Rosji na Ukrainę w 2014 roku Berlin rozpoczął tajne negocjacje z Putinem na temat budowy Nord Stream 2. Na ostatnim etapie tego projektu, aby przełamać opór USA, rząd Angeli Merkel zdecydował się nawet na finansową łapówkę, by przekupić Amerykanów. Niemiecka organizacja ekologiczna Deutsche Umwelthilfe (DUH) upubliczniła 9 lutego 2021 roku dokument kompromitujący Berlin. Wynika z niego, że ówczesny niemiecki minister finansów w rządzie Merkel, a obecnie nowy kanclerz, Olaf Scholz, próbował 7 sierpnia 2020 roku, za cenę 1 mld euro, odciągnąć rząd Donalda Trumpa od nałożenia sankcji na budowę i eksploatację Nord Stream 2. Z dzisiejszej perspektywy widać wyraźnie, że Berlin z pełną determinacją walczył o zbudowanie instrumentu, dzięki któremu Berlin i Moskwa byłyby w stanie zrealizować wariacką wizję Dugina. Agresję Rosji na Ukrainę poprzedziła długotrwała wojna informacyjna Kremla skierowana przeciw Kijowowi. Była brutalna i bezwzględna. W tym samym czasie Berlin realizował konsekwentnie podobne działania wymierzone w państwo polskie. Teraz widać dokładnie, że działania Berlina i Moskwy uzupełniały się i wspierały. Ich symbolem była energetyczna oś obu państw.

▶ Niekończące się kłamstwa Scholza

Szokuje bezczelność i tupet kanclerza Scholza. Niemal po czterech miesiącach wojny na Ukrainie pojawił się, obok Macrona i Draghiego, w Kijowie. A przecież Niemcy przez dziesięciolecia udawali so-

eprasa.pl 84d681be0e

jusznika Ukrainy. Ten koszmarny dysonans – długie rozmowy z Putinem i wyjazdy do Moskwy, a równocześnie ostentacyjny dystans wobec Kijowa. Już po zakończeniu owej misji, która miała uratować wizerunek Niemiec rzekomo stojących na straży europejskich wartości, Scholz w piątek 17 czerwca, już po spotkaniu, poinformował Niemców w wywiadzie dla agencji prasowej DPA, że „Rozmowy z Putinem są absolutną koniecznością... Będę nadal rozmawiał, podobnie jak prezydent Francji". Trudno o bardziej jasny przekaz buty i arogancji Berlina. Ale był to też czytelny sygnał, że Scholz nadal będzie walczył o to, by geopolityczna wizja Haushofera–Dugina nie umarła śmiercią naturalną. Najbardziej zdumiewa skala moralnej degradacji Niemiec. Scholz, z równą łatwością co Putin, bezczelnie kłamie. Kłamał też wielokrotnie w owym wywiadzie dla niemieckiej agencji. Stwierdził, że rozmowy z rosyjskim prezydentem muszą zawierać jasne przesłanie. „Mówię mu to samo, co Pani" – powiedział dziennikarce przeprowadzającej wywiad. Zaznaczył, że mówi do Putina: „Proszę zrozumieć, że nie będzie dyktatu pokojowego. A jeśli uważa Pan, że może Pan zrabować kraj i liczyć na to, że czasy się zmienią i wszystko wróci do normalności, to jest Pan w błędzie". Kanclerz dodał, że rozmawiając z Putinem, wezwał go do wycofania wojska z Ukrainy i do zawarcia porozumienia z Ukrainą, która byłaby do przyjęcia dla Kijowa. A przecież Putin to nie wujaszek Wania, a brutalny zbir, człowiek, który stał za ludobójstwem Czeczenów i mordami jego przeciwników politycznych. To polityk, który stał za mordem elity państwa polskiego w Smoleńsku. Proponował też Donaldowi Tuskowi rozbiór Ukrainy w 2008 roku. A teraz domaga się maksymalnej brutalizacji działań na Ukrainie. Jak możemy ufać Scholzowi, człowiekowi, który próbować wręczać Amerykanom łapówkę, aby tylko uratować Nord Sream 2, że kieruje się on w kontaktach z Putinem fundamentalnymi zasadami etycznymi, a nie brudnym, zimnym interesem geopolitycznym Niemiec? Niemcy sprzedali Polskę, Ukrainę, Europę za imperialną, duginowską wizję. Po wybuchu wojny 24 lutego rozmawiał on wielokrotnie z Putinem.

▶ Niemieckie kłamstwa i próby ocieplania wizerunku führera Putina

Wiaczesław Wołodin, obecny przewodniczący Dumy Państwowej, w 2014 roku na spotkaniu Klubu Wałdaj stwierdził: „Jest Putin – jest Rosja, nie ma Putina – nie ma Rosji". Niemal dokładnie powtórzył myśl Rudolfa Hessa, jednego z twórców III Rzeszy, który powiedział: „Niemcy to Hitler, Hitler to Niemcy". Ten przekaz nabiera szczególnego, porażającego kontekstu w relacjach Scholz–Putin. Pierwszy sprawuje historycznie ten sam urząd co Hitler, drugi jest symbolem nowej, rasistowskiej ideologii imperialnej, ruszyzmu, która – do obecnej agresji na Ukrainę – opierała się dotąd na krótkich zwycięskich wojnach. Ten oczywisty i łatwo dostrzegalny historyczny związek obecnej Rosji z III Rzeszą nie przeszkadza w próbach ocieplania wizerunku włodarza Kremla. Tuż po kolejnej serii telefonicznych rozmów Olafa Scholza i Emmanuela Macrona z liderem ideologii ruszyzmu, führerem Putinem, a przed wizytą 17 czerwca w Kijowie, nastąpiła nagła, skoordynowana akcja Paryża i Berlina „cywilizowania" wizerunku Rosji i relatywizowania obrazu agresji „imperium zła" na Ukrainę. Macron publicznie oznajmił, że trzeba Putinowi umożliwić zachowanie twarzy, a we wtorek, 7 czerwca, Scholz, który w Wilnie spotkał się z przywódcami Litwy, Łotwy i Estonii, stwierdził z całą powagą, iż: „Faktem jest, że Niemcy są jednym z najważniejszych militarnych pomocników Ukrainy. Nikt nie realizuje dostaw na taką skalę, jak Niemcy". Ta oczywista skrajna nieprawda miała być elementem nowej kampanii Berlina, której celem jest odzyskanie utraconej wiarygodności tuż przed zbliżającym się szczytem NATO.

Nieprzypadkowo tego samego dnia, po raz pierwszy od wybuchu wojny, głos zabrała Angela Merkel, aby wzmocnić przekaz Scholza. Ta była aktywistka w aparacie propagandowym NRD, najbardziej brutalnego, obok ZSRS, reżimu komunistycznego w Europie, która konsekwentnie budowała geopolityczną oś Berlina z Moskwą, stwierdziła w scenerii teatru Bertolda Brechta: „Nie uważam, żebym teraz musiała powiedzieć: to było złe, i dlatego nie będę przepraszać". Wywiad przeprowadzał z nią Aleksander Osang, który ukończył dziennikarstwo na Uniwersytecie Karola Marksa w Lipsku i lata pracował w „Berliner Zeitung", gazecie, która z początku była organem dowództwa Armii Czerwonej, a potem prowadzona była przez Rudolfa Herrnstadta, agenta GRU. Osang ze zrozumieniem przyjmował nawet największe brednie wypowiadane przez Merkel. Broniła nawet faktu, że w 2008 roku histerycznie i stanowczo zablokowała Ukrainie i Gruzji perspektywę członkostwa w NATO. Zgodnie z tradycją NRD-owskiej propagandy twierdziła, że gdyby tego nie zrobiła, „Putin mógłby już wtedy wyrządzić ogromne szkody w Ukrainie". Innymi słowy Merkel w ten sposób rzekomo uratowała wówczas świat przed agresją Rosji. Dodała przy tym: „Nie muszę sobie zarzucić, że za mało próbowałam uniknąć tego, do czego teraz doszło. Na

eprasa.pl 84d681be0e

szczęście wystarczająco dużo starałam się z ówczesnym prezydentem Francji, i to mnie uspokaja". Ale brutalna prawda jest taka, iż Merkel i jej rząd ponoszą bezpośrednią moralną i polityczną odpowiedzialność za wybuch tej wojny. Przyznają to sami niemieccy dziennikarze i politycy.

Ale ta skoordynowana operacja, której celem jest próba narzucenia nowej narracji wobec konfliktu, niosła jasno wyrażone przesłanie – w momencie, gdy Rosja przeprowadza ludobójczą operację na skalę porównywalną do reżimu Hitlera i Stalina, Merkel jasno dała do zrozumienia, jak stwierdziła w komentarzu Deutche Welle, iż „w interesie Niemiec leży znalezienie »modus vivendi« z Rosją – tak, aby oba kraje mogły współistnieć". Te działania Berlina i Paryża, które były oczywistym wsparciem dla Putina, wyraziście ocenił prezydent Andrzej Duda, który w rozmowie z gazetą „Bild" stwierdził: „Czy ktoś rozmawiał w ten sposób z Adolfem Hitlerem podczas II wojny światowej? Czy ktoś powiedział, że Adolf Hitler musi zachować twarz? Że powinniśmy postępować w taki sposób, aby nie upokarzać Adolfa Hitlera? Nie słyszałem takich głosów".

Współuczestnictwo Niemiec w tragedii na Ukrainie

Sebastian Matthes, redaktor naczelny „Handelsblatt", 3 kwietnia 2022 roku stwierdził: „Od lat Władimir Putin raz po raz realizuje swoje groźby: kazał otruć członków opozycji, prowadził wojny i przesuwał granice. Tylko w Niemczech najwyższe elity polityczne i gospodarcze odmówiły przyjęcia do wiadomości tych faktów. Pod tym względem kraj również współuczestniczył w tragedii na Ukrainie". Eric Gujer 27 maja na łamach „Neue Zürcer Zeitung", niemieckojęzycznej gazety szwajcarskiej wydawanej od 1780 roku, stwierdził, że „W Europie Wschodniej powraca obraz brzydkiego Niemca – winny jest za to Olaf Scholz... Kanclerz Niemiec i jego partia potykają się o wojnę ukraińską, bo poruszają się bez planu i bez celu. W ten sposób Scholz osłabia pozycję polityczną Niemiec w Europie i podsyca antyniemieckie resentymenty". A 3 czerwca ten sam autor, bez niedomówień, podkreśla, iż „Scholz i Macron stają się mimowolnymi pomocnikami Putina". Autor pyta: „w całej Europie szerzy się zmęczenie wojną. Czy Niemcy będą winni, jeśli Rosja wygra wojnę?" Jak widać trudno uwierzyć Gujerowi, że to nie zasmuciłoby Berlina i Paryża. Bo w ich przedwojennych rachubach tak miało być.

Ukraiński szef dyplomacji Dmytro Kuleba stwierdził przed agresją Rosji, że działania Niemiec zachęcają Putina do ataku. W „ZDF Heute" Antoine Kurschilgen przedstawił 15 czerwca wyniki badań, z których wynika, iż o ile Europa zgadza się, że to Rosja ponosi główną winę za wojnę na Ukrainie, to w Niemczech pogląd taki wyraża jedynie 66 proc. Niemców. To pokazuje, jak niebezpieczna jest droga, po której chcą prowadzić Europejczyków. Urlich Beck stwierdzał w 2012 roku, na dwa lata przed pierwszą agresją Rosji na Ukrainę „W polityce, mediach i społeczeństwie ujawnia się nowa duma narodowa, zasadzająca się na świadomości własnych osiągnięć. Tę nową świadomość można by wyrazić formułą: nie jesteśmy wprawdzie panami, ale za to mentorami Europy".

Pytanie, jaką Europę chcieli budować Schroeder, Merkel i Scholz wspólnie z Putinem? Ogromne pieniądze w szarej strefie, które wynikają z ciemnych interesów Berlina i Moskwy, wspierały wspólne projekty ideologiczne. Rosja intensywnie lansowała poglądy Aleksandra Dugina. Za rozwój sieci jego organizacji w Niemczech odpowiadał Władimir Jakunin, agent KGB. Dzięki bliskim relacjom z Putinem w 2005 roku został prezesem Rosyjskich Kolei, a w 2012 roku stanął na czele Międzynarodowego Związku Kolei. Ten zaufany człowiek Putina uznał, iż Dugin z jego euroazjatycką frazeologią doskonale nadaje się do planów Kremla. 1 lipca 2016 roku w Berlinie Jakunin otworzył ośrodek ekspercko-analityczny pod nazwą Instytut Badawczy „Dialog Cywilizacji". Związał go z Forum Niemiecko-Rosyjskim, w którym od lat odgrywał czołową rolę. Insty-

Zdiagnozowanie przez Berlin i Moskwę, że dla obu państw wspólne zagrożenie realizacji ich planów stanowi Polska, sprzymierzona z Ukrainą i państwami Europy Środkowej, spowodowało powstanie nieformalnego sojuszu obu państw.

eprasa.pl 84d681be0e

tucja ta powstała jeszcze w 1993 roku, a przed obecną agresją na Ukrainę liczyła ponad 400 osób, które działały na rzecz osi Berlin–Moskwa. Forum organizowało elitarne spotkania w Poczdamie, które zapoczątkował w 1999 roku były prezydent Niemiec, Roman Herzog. Założycielką i długoletnią przewodniczącą Forum była Alexandra Hrabina Lambsdorff. Zasiadała też w zarządzie „Dialogu Petersburskiego" – założonego w 2001 roku przez Putina i kanclerza Schroedera. Przewodniczyła również elitarnemu Międzynarodowemu Klubowi La Redoute Bonn e.V., w którym spotykał się korpus dyplomatyczny akredytowany w niemieckiej stolicy. W Radzie Powierniczej Forum Niemiecko-Rosyjskiego działał Manfred Stolpe, urodzony w Szczecinie w 1936 roku wpływowy polityk SPD, zaufany człowiek Schroedera, członek jego rządu. Forum wspierał Klaus-Dieter Lehmann, urodzony w 1940 roku we Wrocławiu, wieloletni prezes Instytutu Goethego, a także Roland Berger, biznesmen i specjalista od marketingu politycznego. Jego ojciec, długoletni członek NSDAP, był dyrektorem finansowym Hitlerjugend. W Forum znaleźli też miejsce Lothar de Maiziere, ostatni premier NRD, tajny współpracownik Stasi, i Hartmut Mehdorn, urodzony w 1942 roku w Warszawie, który był odpowiedzialny za duże projekty, w tym budowę międzynarodowego lotniska Berlin–Brandenburg. Jakunin, zasiadając w Radzie Powierniczej Forum, odegrał niebagatelną rolę w wykorzystaniu tej organizacji do otwartego wspierania rosyjskiej agresji na Ukrainie. Przewodniczący Forum, Matthias Platzeck, wychowany w NDR-owskiej rzeczywistości, 18 listopada 2014 roku otwarcie wezwał do uznania za w pełni legalną aneksję Krymu dokonaną przez Rosję.

Agresję Rosji na Ukrainę poprzedziła długotrwała wojna informacyjna Kremla skierowana przeciw Kijowowi. Była brutalna i bezwzględna. W tym samym czasie Berlin realizował konsekwentnie podobne działania wymierzone w państwo polskie.

▶ W imię sojuszu Berlin–Moskwa. Wojna Merkel z „Europą Ojczyzn"

Jakunin, przez sieć swoich niemieckich powiązań, aktywnie wspierał też wizję Merkel przebudowy UE w niemiecki projekt i w atakach na Polskę. Zbigniew Grabowski w 1967 roku w „Europie Ojczyzn" pisał: „Niemcy jako kraj myślicieli, poetów i kompozytorów przysłoniły Zachodowi wgląd w istotną psychikę niemiecką pełną kompleksów, pełną instynktu okrucieństwa, mroczną i ciemną". Ich obłuda – zdaniem Grabowskiego – pozostała po wojnie. Pisał: „Jest rzeczą zastanawiającą, że Niemiec przez tak długi czas uchodził w oczach Zachodu za człowieka opanowanego, flegmatycznego niemal: człowieka idealnie zrównoważonego, za symbol rozsądku, spokojnej, rzeczowej kalkulacji. Nie chciano przyjąć do wiadomości, że był on – i jest dalej – człowiekiem wybitnie emocjonalnym, porywczym, że ulega atakom »amoku«, że wpada w szał".

Kompleks wobec Polski głęboko tkwi w pruskiej duszy Niemiec. Po trzecim rozbiorze Rzeczypospolitej, w okresie 1795–1806 ziemie polskie stanowiły prawie połowę Prus, a Polacy 40 proc. populacji tego państwa. Było więc ono, w wymiarze etnicznym, krajem niemiecko-polskim. Prusy miały wówczas dwie możliwości – uznać kulturową tożsamość Polaków i współtworzyć z nimi państwowość albo dokonać ich radykalnej asymilacji. To wówczas Prusacy uznali „polskość" za swoje fundamentalne zagrożenie. Stworzyli też stereotyp „dzikiego kraju", który dostąpił zaszczytu bycia cywilizowanym przez „niemieckiego ducha". Ten stereotyp narodu zacofanego, zepsutego moralnie utrwalała literatura pruska, a później stał się on elementem historycznej tożsamości pruskich Niemiec. Trudno jest znaleźć pruskiego polityka czy uczonego, który nie wyznawałby tej agresywnej niechęci do Polski i polskości. Henry Kissinger, ten sam, który stanął w obronie Putina, pisał, iż zjednoczone przez Prusy „Niemcy nie uosabiały ideałów dwóch pokoleń Niemców, dążących do stworzenia państwa konstytucyjnego i demokratycznego. [...] Legitymację czerpały z potęgi Prus, a nie z zasady narodowego samostanowienia". Dla Bismarcka i cesarza wśród największych wrogów II Rzeszy byli Polacy i Kościół katolicki. Nie jest tak, iż obecna, bardzo agresywna wobec oponentów, realizacja wizji pangermańskiej Europy jest efektem incydentalnej gry politycznej, rodzajem

eprasa.pl 84d681be0e

przypadkowego zawirowania lub chwilowego trendu, który zapanował w Berlinie. Jest to pragmatyczna strategia i wynika z obecnej sytuacji, a także historycznych resentymentów. Geopolityka znów zaczyna fascynować Niemców. Dlatego wracają do wizji gen. Karla Haushoffera, który chciał przekształcić Europę w Pangermanię. Ale w jego wizji Berlin miał rządzić za pomocą pieniądza i dominacji swojej kultury. Należało przywrócić Niemcom ich centralne położenie i powiązać z nimi graniczne państwa Rosji, które potrzebują Niemiec jako „nauczyciela" i „gospodarczego przewodnika". Traktował II RP jako „nieporozumienie" geopolityczne. Podział ziem polskich między Niemcami a Rosją uważał za nieunikniony, bo II RP wybrała „wariant atlantycki" i stała się zakładnikiem polityki Anglii.

▶ Strategia niemiecko-rosyjskiej Europy

Eiko Thielemann z London School of Economisc w artykule „Podział kompetencji: niemieckie wizje federalnej przyszłości Europy" już w 2004 roku podkreślał strategiczną ciągłość Niemiec w dążeniu do głębokiej federalizacji UE. Scholz wszedł do wielkiej polityki w momencie, gdy wśród elit niemieckich uznano, że Niemcy mają prawo zakończyć okres rozliczeń z przeszłością i winni mocno zawalczyć o własne interesy w Unii. Czuli swoją siłę. Scholz był też pod silnym wrażeniem Schroedera, który zrobił z niego w 2002 roku sekretarza generalnego socjaldemokratów. Z bliska obserwował wówczas fraternizację kanclerza z Putinem. To wtedy też zaczął powstawać projekt Nord Stream 1, a łącznikiem między prezydentem Rosji a szefem niemieckiego rządu stał się Matthias Waring, były agent Stasi pozyskany przez Putina do współpracy z KGB. Scholz z bliska też obserwował narastającą fascynację elit SPD strumieniami brudnych pieniędzy Gazpromu. Wspierał również nową Ostpolitik Schroedera. Był twardym zwolennikiem ścisłej współpracy z Rosją. W 2016 roku, dwa lata po agresji FR na Ukrainę, z mocą to podkreśli. Stwierdzi wówczas: „Niemcy wiedzą o tym szczególnie dobrze: stabilny pokój i długoterminowe bezpieczeństwo w Europie jest możliwe tylko z Rosją, a nie przeciwko niej... Rosja jest największym i najważniejszym sąsiadem Niemiec... Dobre, sąsiedzkie stosunki leżą w jasnym interesie obywateli obu naszych krajów". Gdy w marcu 2018 roku został w ekipie Merkel wicekanclerzem i ministrem finansów, intensywnie wspierał budowę Nord Stream 2. W listopadzie, 18 lat od przemówienia Fischera, w tej samej sali senatu na Uniwersytecie Humboldtów, Scholz przedstawił swoje propozycje na temat dalszej integracji UE. Zaledwie dwa lata minęły wówczas od brexitu. Powiedział wówczas, że „suwerenna Europa... leży w najlepszym interesie Niemiec". W Scholzu tkwi głęboki prorosyjski resentyment. W czerwcu 2021 roku stwierdził: „[...] potrzebujemy nowej, tym razem europejskiej Ostpolitik [polityki wschodniej] uwzględniającej interesy Rosji". Scholz w istocie reprezentuje ten nurt w niemieckiej historii, który doprowadził do podpisania układu z sowiecką Rosją w Rapallo w 1922 roku. Gdy obejmował urząd po Merkel, kontynuował budowę osi Berlin–Moskwa. Był przekonany, że zwycięska wojna Rosji z Ukrainą i jej wchłonięcie zmasakruje opór Polski i państw Trójmorza i pozwoli na przyspieszoną budowę niemieckiej Europy. Energetyczna oś niemiecko-rosyjska miała stanowić pętlę, która zostanie zaciśnięta na gospodarkach Europy Środkowej. Berlin parł do wojny, ewidentnie zachęcał Putina do konfrontacji, a równocześnie przygotowywał projekt nowej konstytucji. Po powstaniu rządu Scholza jeden z największych wrogów Polski i Europy Ojczyzn, Guy Verhofstadt, z radością stwierdził, że Niemcy mają wreszcie rząd gotowy przewodzić Europie, a podejście Scholza do projektu federalizacji UE w oparciu o konwent konstytucyjny „idzie dalej, niż poszedł jakikolwiek inny rząd niemiecki do tej pory". Z jednej strony Berlin grał na eskalację konfliktu rosyjsko-ukraińskiego i brutalnie walczył wspólnie z Rosją o finalizację Nord Stream 2, z drugiej intensywnie wspierał przyspieszone prace nad konstytucją Europy, która miała być przełomowym krokiem w budowie niemieckiej Europy.

Ale po raz kolejny okazało się, że Berlin i Moskwa mają wspólny problem – Polskę. Warszawa otwarcie deklarowała walkę przeciw niemieckiej centralizacji UE, a także wspierała Ukrainę, gdy Rosja coraz bardziej brutalnie próbowała obalić prezydenta Zelenskiego. Berlin przypuścił prawdziwy frontalny atak na Polskę. Niemcy, ustami wiceprzewodniczącej Parlamentu Europejskiego, Katariny Barley, zagroziły „finansowym „zagłodzeniem" Polski i Węgier. Była to brutalnie i bez niedomówień przedstawiona strategia szantażu niemieckich elit wobec Warszawy i Budapesztu. Słowa te padły dwa dni przed 30. rocznicą zjednoczenia Niemiec. Użycie takiej formy zastraszenia wobec państwa, w którym Niemcy dokonali planowego ludobójstwa, którego elementem było wykorzystywanie śmierci głodowej jako instrumentu masowej eksterminacji, ujawniło tę samą „wrażliwość" Niemców, którą dziś prezentuje armia rosyjska w Ukrainie. Ulrich Beck już w 2012 roku ujawnił, że „Nowa niemiecka władza w Europie nie opiera się więc jak w niegdysiejszych czasach na przemocy, ale na *ulitima ratio*. Nie

eprasa.pl 84d681be0e

potrzebuje broni, by innym państwom narzucić swoją wolę. Dlatego też absurdem jest mówienie o »IV Rzeszy«". Tą władzą jest odcinanie państw przez Berlin od wsparcia finansowego. Jak stwierdził: „Potencjał wymuszenia, którym dysponuje, nie pochodzi z logiki wojennej, ale z logiki ryzyka, a dokładniej – grożącego gospodarczego załamania". Berlin oporne rządy obalał poprzez „strategię odmowy". Beck tak ją opisuje: „czegoś nie robić, nie inwestować, nie udostępniać kredytów i pieniędzy – to dające się wielokrotnie zastosować »nie« jest główną dźwignią gospodarczej siły Niemiec". Tym mechanizmem Berlin chciał obalić polski rząd, w czym żywotnie zainteresowana była też Moskwa. Ale wcześniej Merkel wysłała do Warszawy specjalistę, który miał wzmocnić siłę rażenia totalnej opozycji.

▶ Niemiecko-rosyjska strategia spacyfikowania Europy Środkowej

Merkel liczyła na wyjątkowe kompetencje Arndta Freytaga von Loringhovena. Przybył do Polski po całej serii upokarzających porażek dla Berlina związanych z próbami obalenia polskiego rządu przez niemiecką kanclerz. Na początku kwietnia 2016 roku polskie media ujawniły notatkę dotycząca tajnego spotkania władz RFN z niemieckimi mediami. Instruowano ich, jak mają ukazywać Polskę i PiS. Niemieccy dziennikarze odtąd mieli krytykować Polskę za „putinowski model władzy", ukazywać RP jako „dziki Wschód", przekonywać, iż pisowskie państwo „demontuje państwo prawa". Według instrukcji należało alarmować, iż to „paraliżowanie państwa prawa w Polsce zagraża bezpieczeństwu całej Unii". Dobrzy Niemcy martwią się więc o przyszłość polskiego narodu i RP. Operację miały dokonywać media, a niemieccy politycy w tym czasie powinni unikać agresywnych wypowiedzi pod adresem Polski. Spotkanie to miało miejsce w niemieckim MSZ. Nie ma przypadku, iż kalki tych niemieckich pomysłów propagandowych pojawiły się w polskich mediach kontrolowanych przez niemieckie korporacje medialne. Stały się też ramą kampanii prowadzonej przez Platformę Obywatelską i stworzyły grunt pod atak tych unijnych instytucji, które kontrolował Berlin. Arndt Freytag von Loringhoven w wywiadzie do polskich mediów stwierdził, że rozumie, „jak wciąż żywe są w Polsce uczucia z powodu zbrodni, których dopuściły się nazistowskie Niemcy w Polsce". Zapytany o swego ojca stwierdził, iż nie może „ani usprawiedliwiać, ani potępiać jego zachowania, bo kto może powiedzieć, jak my byśmy się zachowali w totalitarnej dyktaturze". Twierdzi, iż jego ojciec „Nigdy nie wspierał nazizmu, ale jednocześnie był przekonany, że jego obowiązkiem jest walka za swój kraj, nawet jeśli ta wojna była prowadzona od pierwszego dnia zbrodniczo, również przez część Wehrmachtu". Pomysł, aby w środku kampanii prezydenckiej w Polsce ogłosić kandydaturę syna adiutanta Hitlera na niemieckiego ambasadora w Polsce, nie był jedynie wariackim wymysłem ministra spraw zagranicznych Heiko Massa. Musiał narodzić się w głowie Merkel. Arndt Freytag von Loringhoven lata swego życia spędził w strukturach niemieckiego wywiadu, co wyjaśnia zasadniczy charakter misji, jaką miał realizować.

Za Merkel fala antypolskiej histerii w Niemczech osiągnęła poziom absurdu. W niemieckich mediach, na łamach „Berliner Zeitung", byłego pisma komunistycznego, urodzony w Niemczech Tomasz Kurianowicz 2 listopada 2020 roku ogłaszał, iż „Berlin staje się ostoją polskiego ruchu oporu" przeciwko Rzeczpospolitej rządzonej przez PiS. A Roland Hau, szef Związku Mniejszości Niemieckiej w Gdańsku, organizacji skupiającej 590 osób i mocno wspieranej przez niemiecki rząd, pisał na swoim blogu: „[...] mam pytanie: czy naprawdę, w swoim bezkrytycznym patriotyzmie, cały czas chcecie zwierzchności Warszawy, a dokładnie jej żoliborskiej dzielnicy, nad naszym wspólnym Gdańskiem?".

▶ Zamiast zakończenia

Miała być szybka i zwycięska wojna Rosji z Ukrainą, co otworzyłoby drogę dla Berlina i Moskwy do realizacji ich chorej wizji wielkiego, niemiecko-rosyjskiego duopolu, który zdominowałby Europę i wypchnąłby ze Starego Kontynentu Stany Zjednoczone. Istotną rolę w tym koncercie mocarstw miała odegrać Francja. Jej pozycja byłaby uwspółcześnioną wersją pozycji, jaką zajmowała, gdy rząd Pétaina kolaborował z III Rzeszą. Polska i Trójmorze miały stać się obszarem niemieckiej dominacji, a Ukraina miała być włączona do putinowskiego imperium. Postawa ukraińskiej armii i społeczeństwa, którzy zmasakrowali wojsko najeźdźców pod Kijowem i wykrwawiają dwanaście doborowych armii FR w Donbasie, spowodowało, że runął plan Berlina i Moskwy. Niemcy okazały się tym samym państwem, które – w imię swych imperialnych ambicji – doprowadziło cały świat już dwukrotnie do koszmarnego przelewu krwi. Za drugim razem – wspólnie z Rosją – stworzyli antycywilizację i ulegli głębokiej dehumanizacji. Także tym razem drobny krok groził przelaniem kolejnego oceanu krwi i globalnym konfliktem. Dramat Ukrainy obciąża wspólną winą Niemcy i Rosję. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Ryszard Czarnecki

Polski „reset" vs niemiecki status quo ante

Piąty miesiąc trwa wojna Rosji z Ukrainą – ale polityczne implikacje tej agresji nie ograniczają się tylko do Europy Wschodniej. Rzutują na politykę europejską i w niemałej mierze globalną.

Zmienił się układ sił na Starym Kontynencie. Być może czasowo – ale jednak. Wyraźnie osłabła rola Niemiec i Francji, wzrosła Polski. Rzeczpospolita zacieśniła relacje z krajami bałtyckimi i skandynawskimi. Staliśmy się ponownie – po przerwie podczas pierwszych trzynastu miesięcy prezydentury J. R. Bidena – partnerem „nr 1" USA w UE. Ten wzrost roli naszego kraju jest nie w smak naszym bliższym (zwłaszcza) i dalszym zachodnim sąsiadom.

Polityka europejska przypomina system naczyń połączonych. W interesie Niemiec i Francji, także Włoch, Holandii czy Austrii, jest jak najszybsze zakończenie wojny Moskwy z Kijowem, bo będzie to oznaczało „powrót do normalności", czyli możliwości gry z Rosją zarówno ekonomicznej, jak i geopolitycznej. W interesie Polski, krajów bałtyckich i USA jest maksymalne osłabienie Federacji Rosyjskiej, a to wiąże się z obroną integralności terytorialnej Ukrainy. Oczywiście te fundamentalne różnice nie muszą wcale przeszkadzać we wspólnym ustalaniu kolejnych pakietów sankcji wobec Kremla czy też poparcia dla statusu państwa-kandydata do Unii dla Ukrainy (i maleńkiej Mołdawii, ale już nie Gruzji...). Jednak jak mówi izraelskie przysłowie: „Bóg tkwi w szczegółach". Zatem zakres sankcji i czas ich uchwalania to już efekt gry, która się toczy między zwolennikami status quo ante, a więc zachowania bardzo istotnej roli Rosji, a zwolennikami nowego rozdania w polityce europejskiej, czy nawet euroazjatyckiej . Na czele tego obozu „resetu" w skali globalnej stoją USA, a w skali naszego kontynentu – Polska.

Niemiecki pisarz Thomas Mann twierdził: „Nie ma nie-polityki. Wszystko jest polityką". Jego rodacy – politycy – zrobią dziś bardzo wiele, jeśli nie wszystko, aby osłabić Polskę, będącą na kursie kolizyjnym z Niemcami, nie tylko w wymiarze relacji bilateralnych (polityka historyczna, brak uznania za mniejszość narodową Polaków w RFN), lecz także w szerszym wymiarze geopolitycznym. Stąd też nasilenie problemów z KPO, a nawet próba wywrócenia stolika, przy którym zapadły już „ostateczne" rozstrzygnięcia w sprawie pieniędzy z Brukseli. Należy się więc spodziewać, że sprawa środków z Recovery Fund będzie powracać z dwóch powodów: brak tych środków to w czasie kryzysu jednak osłabienie zdolności rozwojowych państwa polskiego, a z drugiej strony, w wymiarze wewnętrznym, zwiększenie szansy na porażkę w wyborach parlamentarnych rządzącej formacji, znanej z pryncypialnego (a jednocześnie realistycznego) stosunku do Rosji.

Sprawa jest oczywista. Jeżeli tandem Berlin–Paryż, a w zasadzie nowa „Oś": Niemcy–Francja–Włochy (cóż, budzi to pewne konotacje historyczne...), będą grały na opóźnienie wejścia Ukrainy do Unii, aby zachować dotychczasowy europejski „balance of power" z kluczową rolą Rosji – to jednocześnie będzie to gra na osłabienie Polski i ograniczenie możliwości naszego regionalnego „leadershipu".

Oczywiście słowa Ignacego Krasickiego: „Wśród serdecznych przyjaciół psy zająca zjadły" – obowiązują także w polityce europejskiej. W najbliższych latach (sic!) będziemy słyszeli ze strony Berlina (i Paryża) miliony komunałów o „Ukrainie w Europie", a jednocześnie opóźniane będą praktyczne negocjacje dotyczące poszczególnych rozdziałów Traktatu Akcesyjnego. Czasem będą to równie finezyjne działania, gdzie nie będzie mowy o Ukrainie. Uwagi opinii publicznej w Polsce umknął chociażby fakt ostatniej wizyty kanclerza Scholza na Bałkanach Zachodnich i jego spotkania z premierami choćby Serbii czy Kosowa. Oznaczać to może dołączenie do grupy państw kandydujących krajów z tego właśnie regionu. A to wydłuży drogę Kijowa do UE, bo szybkiemu wejście Macedonii Północnej na pewno sprzeciwią się Bułgaria i Grecja, zwolennikiem akcesu Serbii nie będzie Chorwacja, ale też część krajów UE będzie obawiała się prorosyjskiego Belgradu wewnątrz UE. Tempus fugit ku radości Berlina i Paryża...

To dopiero początek „Europejskiej Wielkiej Gry". Wyraźnie widać, że cel tej gry jest inny dla Berlina i inny dla Warszawy. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Piotr Lisiewicz

Scenariusz grozy dla Polski. Nikt go nie chce, a może się wydarzyć

W Polsce nie ma dzisiaj elektoratu, który chciałby powrotu do władzy układu niemiecko-rosyjskiego. Nie chcą go lewicowe Julki od „strajku kobiet", gdy wywieszają flagę ukraińską obok tęczowej. Nie chce elektorat PO, który święcie wierzy, że PiS to rosyjska agentura. Nie chcą kibice, śpiewający na stadionach o „ruskiej k...", nawet jeśli część z nich głosuje na Konfederację. Nawet PSL ogłosił niedawno, że chce uniezależniać Polskę od rosyjskich surowców (!), a Hołownia, że chce Ukrainy w UE, co zapewne oddaje poglądy ich zwolenników. A mimo to scenariusz grozy, w którym władzę w Polsce w czasie, gdy Rosja morduje, przejmuje lobby Berlina i Moskwy, przeciwne choćby rozbudowie polskiej armii, jest realny. Jak to możliwe?

Pora opisać, jak może się to stać, choćby po to, byśmy nie byli jak nieświadome owce idące na rzeź. No więc fakt, że nie chcą tego zwolennicy owych partii, nie oznacza, że tak samo uważają partyjne struktury, wplątane w trwające od dziesięcioleci zależności. Choć praktycznie w każdym z wymienionych obozów pojawiają się zwolennicy zmian, to postkomuna lub układy niemiecko-rosyjskie mają w nich pakiet kontrolny.

▶ Nikt nie chce z Rosją, ale to... o niczym nie zdecyduje

Nawet gdyby założyć optymistycznie, że w ciągu 16 miesięcy, które dzielą nas od wyborów, zmieni się układ sił w niektórych z tych ugrupowań na mniej podległy Niemcom i Rosji, to nie będzie to oznaczać zmiany zasadniczej. Jeśli trzon obozu opozycyjnego pozostanie taki jak dotychczas, to mniejsze ugrupowania w zamian za udziały w rządzie przystaną na ów scenariusz grozy.

No bo czy wyobrażają sobie Państwo, że Lewica nie wykorzysta szansy na rewolucję LGBT z powodu polityki zagranicznej czy bezpieczeństwa? Albo że PSL zrezygnuje z powrotu do intratnych agencji rolnych w imię sprzeciwiania się Rosji? Nawet zakładając, że któreś z tych ugrupowań przejdzie szczerą antyrosyjską metamorfozę, to dynamika wydarzeń oraz interesy aparatu partyjnego spowodują, że zgodzą się one na to, by na przykład Tusk decydował o bezpieczeństwie Polski, w zamian za drobniejsze profity dla nich. A to może mieć dla Polski skutki niewyobrażalne, z wystawieniem się na rosyjskie bomby włącznie.

Nie, nie jestem pesymistą, scenariusz wygranej PiS w 2023 roku wydaje mi się bardziej prawdopodobny od porażki. W 2015 roku, gdy PiS osiągnął w Sejmie bezwzględną większość, zdobył 37,58 proc. głosów. Ale przyczyniły się do tego wyniki innych ugrupowań: progu 8 proc. nie pokonała postkomunistyczna Zjednoczona Lewica, osiągając 7,55 proc., a ruski KORWIN szczęśliwie osiągnął 4,76 proc. Zakładając, że PiS zdobędzie w 2023 roku co najmniej 40 proc., może mu to dać wygraną, ale żadnej pewności nie mamy.

▶ W przemianę Tuska nie wierzą Ukraina, Ameryka, Polacy, a nawet... sam Tusk

Tymczasem w PO trwa dziś walka o przywództwo pomiędzy Donaldem Tuskiem i Rafałem Trzaskowskim. Tusk znając poglądy większości Polaków na politykę Rosji oraz Niemiec, zaczął odcinać się od Angeli Merkel, ogłaszać się rusofobem i przyjacielem Ukrainy.

Nie uwierzyli w to Ukraińcy, czego dowodem wypowiedź prezydenta Wołodymyra Zełenskiego o Smoleńsku. Nie uwierzyli Amerykanie, czego dowodem zlekceważenie przez prezydenta Bidena zabiegów Tuska o spotkanie się z nim w Warszawie i lansowanie przez demokratów objeżdżającego amerykańskie uczelnie i telewizje jego rywala Trzaskowskiego.

Nie uwierzyli Polacy – w sondażu 56 proc. badanych uznało, że Tusk nie jest w stanie poprowadzić opozycji do zwycięstwa w wyborach parlamentarnych, a przeciwnego zdania było 24 proc. respondentów, czyli mniej niż elektorat PO (sondaż Social Changes dla wPolityce.pl).

Nie uwierzył wreszcie sam Tusk, bo przestał przywiązywać wagę do tego przekazu, samemu go dezawuując, gdy wystąpił na kongresie skrajnie prorosyjskiej partii Berlusconiego, a potem ogłosił, że dla polskich rolników konkurencją jest wysyłane przez Polską do Afryki ukraińskie zboże i kukurydza. Tusk zademonstrował tym samym, że skoro Polacy i tak nie wierzą w jego przebieranki, to lepiej nadal stawiać na Niemcy i czekać, że przejdzie nam proukraińska i antyrosyjska szajba. Dlatego przejęcie władzy przez opozycję, której liderem będzie Tusk, na 100 proc. oznaczać będzie zwycięstwo układu niemiecko-rosyjskiego.

▶ Dlaczego Trzaskowski oszuka Amerykanów

Inwestowanie amerykańskiej lewicy w Trzaskowskiego można w tym kontekście jakoś zrozumieć, ale wiara w to, że przejdzie on konsekwentnie na stronę sojuszu z Ameryką, Ukrainą i Międzymorzem, wydaje się mocno naiwna. Nie tylko dlatego, że za dużo było wypowiedzi Trzaskowskiego w stylu tej o Nord Stream 2 jako „porozumieniu prywatnych firm", za którym „nie stoją, dzięki Bogu, rządy".

W kampanii prezydenckiej 2020 roku Trzaskowski przedstawił swoich specjalistów do spraw bezpieczeństwa. Ich skład pokazuje skalę jego powiązań z ludźmi związanymi z Rosją. Wśród owych specjalistów znalazł się gen. Mieczysław Cieniuch, za komuny zastępca dowódcy dywizji im. marszałka Konstantego Rokossowskiego; generał Piotr Pytel, były szef Służby Kontrwywiadu Wojskowego, z czasów, gdy podpisała ona kuriozalną, wołającą o pomstę do nieba umowę o współpracy z FSB; czy generał Jarosław Stróżyk z Wojskowych Służb Informacyjnych oraz generał Radosław Kujawa, który od 11 sierpnia 2008 roku pełnił funkcję Szefa Służby Wywiadu Wojskowego, a 9 listopada 2010 roku, w czasie polsko-rosyjskiego ocieplenia, Bronisław Komorowski mianował go generałem brygady SWW.

Kontynuację tych powiązań widzimy w składzie gości Campusu Trzaskowskiego, który ma odbyć się 26 sierpnia 2022 roku. Demonstracyjnie, na pierwszym miejscu listy gości, umieszcza on ambasadora Stanów Zjednoczonych Marka Brzezińskiego, ale dalej odnajdujemy znienacka, w otoczeniu niemal samych celebrytów, wspo-

fot. Leszek Szymański/PAP

eprasa.pl 84d681be0e

mnianego gen. Radosława Kujawę z SWW, a także komunistycznego esbeka Włodzimierza Sokołowskiego, piszącego książki jako Vincent V. Severski. Sokołowski vel Severski, były funkcjonariusz komunistycznych służb, bardzo aktywny był po Smoleńsku. 2 sierpnia 2013 roku w wywiadzie dla „Dziennika Polskiego" mówił o Smoleńsku: „W mojej ocenie prawdopodobieństwo zamachu jest równe zeru". Bo skutki dla Rosji „byłyby niewyobrażalnie katastrofalne. Cała Polska nie jest warta ceny, jaką przyszłoby im zapłacić". Dowodził, że: „Paradoksalnie Rosjanom zależy na Polsce sukcesu gospodarczego i de facto to wszystko się dzieje". Jak tłumaczył, „Rosji chodzi o to, aby Polska po prostu nie mieszała się na Wschodzie. I użyje wszystkich niezbędnych narzędzi, aby to zagwarantować. Dlatego że bez Ukrainy, Azji Środkowej za 50 lat Rosja może przestać istnieć".

Amerykański lifting to nie zmiana

Wśród partnerów Campusu obok amerykańskiego National Democratic Institute pojawiają się fundacje niemieckie – Fundacja im. Heinricha Bölla i Konrad Adenauer Stiftung. Generalnie wygląda to więc na kontynuację układu niemiecko-rosyjskiego z niewielkim amerykańskim liftingiem. Trzaskowski jako lider opozycji nie prowadziłby Polski w niemiecko-rosyjskie łapy od razu, na bezczelnego, jak Tusk, tylko ewolucyjnie, po cichu, lobbując na rzecz zbliżenia interesów amerykańskich i niemieckich, kosztem interesów Międzymorza, Polski i Ukrainy. Tusk szybciej odkryłby swoją naturę, Trzaskowski dłużej by zwodził, jednak efekt końcowy byłby zbliżony.

W pewnym momencie media zaczęły mówić o możliwym zbliżeniu pomiędzy Trzaskowskim i Hołownią. Gdyby jego podstawą miała być postawa wobec układu rosyjsko-niemieckiego, to byłaby tu duża zgodność. Hołownia, który wywodzi się z dotychczasowego centrum medialnego tego układu, czyli telewizji TVN, a po powstaniu swojego ugrupowania szybciutko spotkał się z niemieckim ambasadorem, deklaruje się jako przeciwnik Rosji, ale jednocześnie apeluje do PiS o zamknięcie „frontu zachodniego", czyli de facto o uległość wobec Niemiec.

Postkomuna jak zawsze, a razem się sterroryzuje

Trudno również spodziewać się, by na Lewicy postkomuna i układy niemiecko-rosyjskie straciły ów pakiet kontrolny. Nici łączące postkomunistyczne skrzydło Lewicy, oddające hołdy Wojciechowi Jaruzelskiemu i broniące przywilejów elementarnych ubeków i esbeków z Moskwą, są nie do zerwania. Robert Biedroń, notabene – o czym mało kto pamięta – były działacz SLD, przebijał w ostatnich latach PO w realizowaniu niemieckiego, antypolskiego scenariusza w Parlamencie Europejskim.

Jedynym ugrupowaniem na Lewicy, które mogłoby być zdolne do przeciwstawienia się Niemcom i Rosji, byłaby partia Razem, która potrafi czasem antyrosyjskie deklaracje ubrać w konkrety, na przykład gdy postulowała rozebranie Nord Stream 2, na co nie byłoby stać nie tylko Tuska, lecz także Trzaskowskiego, Kosiniaka-Kamysza czy Biedronia. Nie dziwią więc pojawiające się informacje, że Tusk chętnie wyeliminowałby Razem z przyszłego Sejmu.

Partia Razem ma więc tu potencjał, ale nie wydaje się możliwe, by przejęła ona pakiet kontrolny na Lewicy. A wtedy wersja, że Razem zaakceptuje powrót układu rosyjsko-niemieckiego w zamian za realizację jakichś swoich postulatów socjalnych oraz prawa do aborcji, jest prawdopodobna. Stanie się to na przykład po paru tygodniach bicia w nią przez obecnie opozycyjne media, terroryzujące ją wyzwiskami od „sojusznika PiS", trafiającymi do znacznej części jej młodych wyborców.

PSL i Konfederacja, czyli prorosyjski beton

Dwiema partiami najbardziej prorosyjskimi są w Polsce PSL i Konfederacja. Podczas wojny, gdy PSL-owi przypominano wspieranie Gazpromu przez Waldemara Pawlaka, Władysław Kosiniak-Kamysz powoływał się na bezczelnego na tradycje nie ZSL, lecz... Witosa: „Kierowanie takich słów wobec partii Wincentego Witosa, który obronił Polskę, Europę i świat przed bolszewikami w roku 1920, jest łajdactwem". Starał się też odreagować promoskiewski wizerunek, mówiąc o potrzebie uniezależniania Polski od rosyjskich surowców, ale nie był w tym bardziej wiarygodny od Tuska. Nie ma więc wątpliwości, że PSL byłby w ewentualnym przyszłym rządzie zwolennikiem powrotu do układu rosyjsko-niemieckiego.

Konfederacja zdecydowaną większość elektoratu przyciągnęła bądź hasłami radykalnie patriotycznymi, bądź programem gospodarczym. Zarzuty prorosyjskości Konfederacja odrzucała jako „pisowskie", ale wojna pokazała także części jej elektoratu, że są one prawdziwe. Mieliśmy więc na początku wojny tragikomedię odcinania się części posłów Konfederacji od najskrajniej promoskiewskiego Korwin-Mikkego. W środowisku narodowców liderem, który mógłby wiarygodnie odciąć ich od układu rosyjsko-niemieckiego, jest Robert Bąkiewicz, lider Marszu Niepodległości, jednak nie wydaje się, by zdominował on parlamentarzystów, z czasem coraz odważniej próbujących wzniecać niechęć do wojennych uchodźców z Ukrainy.

Tak rozegrać się może scenariusz szalenie niebezpieczny dla niepodległości Polski, ale i Ukrainy, która straci najbardziej zdeterminowanego sojusznika w Europie. To tyle. Nie chcecie tego scenariusza? To do działania! ■

eprasa.pl 84d681be0e

Marcin Wolski

Niemiecka Europa

Europa ma kłopot z Niemcami. Zwłaszcza gdy te przestają mieć kłopoty same ze sobą. Parafrazując wypowiedź pani Kidawy-Błońskiej w sprawie Mierzei Wiślanej, można rzec, że gdyby Opatrzność chciała mieć Zjednoczone Niemcy, to byłyby zjednoczone od zawsze, a tymczasem okresy, kiedy stanowiły jedno państwo, to na szczęście raczej wyjątek w dziejach niż reguła. Twór powstały ze zjednoczenia wielu plemion germańskich, tyle że jednoczyciele Frankowie stali się bardziej mitem założycielskim Francji, a Karol Wielki to w powszechnej świadomości Francuz nie Niemiec. Podobnie rzecz się ma z symbolami, bohaterami, legendami. Mitologia jest skandynawska, insygnia – żelazna korona Longobardów przebywa we włoskiej Monzie, Joyeuse – miecz koronacyjny – we francuskim Luwrze. A co jest historyczną stolicą – Akwizgran, Rzym (gdzie dokonywano koronacji) Wiedeń czy nowożytny Berlin? Co z narodem, który sam siebie nazywa Dojczami (czyli Holendrami), Francuzi mówią o nim Alamanowie, Włosi – Teutoni (Tedeschi), Rosjanie – Giermańcy, a Polacy po prostu „Niemcy"?

Wielki organizm stworzony przez Ottona I, przez całe wieki był Świętym Cesarstwem Rzymskim Narodu Niemieckiego, w którym trudno było mówić o jedności. Władztwo cesarza pozostawało najczęściej symboliczne, a całość stanowiła mozaikę księstw, biskupstw, wolnych miast, często skłóconych, od czasów Fryderyka Barbarossy niezwykle rzadko występujących solidarnie. Reformacja jeszcze bardziej pogłębiła zróżnicowanie, a Napoleon ograniczył cesarstwo do Austrii stanowiącej mniejszość we własnej wielonarodowej monarchii.

Skądinąd wojny napoleońskie pospołu z reakcją na narodowe zrywy Polaków, powszechnie podziwiane nad Łabą i Wezerą, legły u podstaw niemieckiego nacjonalizmu. Pytanie tylko, ile naprawdę jest Niemców w Niemcach (nie mówię o najnowszym najeździe muzułmanów)? Zjednoczenia dokonali Prusacy, dawny lennik Polski, wśród których żywioł niemiecki był mniejszością, po zgermanizowanych Prusach i Słowianach. I miało to katastrofalne następstwa.

Stworzone przez Bismarcka państwo w niewielkim stopniu uczestniczyło w podziale kolonialnego tortu, a było wielkie i ekonomicznie potężne. Nie miało też swojej Syberii czy bezkresnej prerii, gdzie mogłoby się rozwijać. Pochłonęło za to mnóstwo narodów o bogatej tradycji, których nie zdołało strawić i które przy pierwszej okazji (wielka wojna) wyrwały się na wolność, co tylko powiększyło frustrację narodu filozofów i artystów zdradzającego coraz większą predylekcję do munduru i parad wojskowych.

Mogłoby się wydawać, że dwukrotny łomot otrzymany w wojnach światowych powinien czegoś nauczyć spadkobierców Ulricha von Jungingena. Niestety. Odreagowanie po pierwszej stanowił hitleryzm, po drugiej – podzieleni przez blisko pięć dekad Niemcy zmądrzeli, zrozumieli też, że we współczesnym świecie o potędze niekoniecznie świadczy ogrom terytorialny i militarny podbój – uzależnienie ekonomiczne, a następnie polityczne słabszych partnerów może okazać się skuteczniejsze i trwalsze. I nie wymyślił tego żaden współczesny geniusz z Angelą Merkel na czele, tylko wpadli na to doradcy Heinricha Himmlera, którzy w wolnych chwilach od Holocaustu, projektując świat powojenny, wymyślili wizję niemieckiej Unii Europejskiej. Po upadku Muru Berlińskiego okazało się to realne. Należało tylko wypchnąć ze wspólnego grona Wielką Brytanię, osłabić więzy z Ameryką i zglajchszaltować Francję, ale ta od czasów Petaina i Lavala była już skutecznie przecwelona (epoka de Gaulla okazała się niestety tylko epizodem). Oczywiście w świecie gigantów – USA i Chiny i innych państw wschodzących – rozsądek nakazywał poszukiwania strategicznego sojusznika. I tu interesy Putina i kolejnych kanclerzy RFN okazują się zbieżne. W pojedynkę i Niemcy, i Rosja stanowią w koncercie mocarstw odpowiedniki fletu piccolo i rzadko używanego bębna. Oba narody są wbrew pozorom podobne. W swoim panteonie posiadają mnóstwo despotów, wojowników lub zwyczajnych zbrodniarzy, mniej obrońców wolności, prawodawców czy reformatorów.

Kochają władzę i brutalną siłę. Łączy ich nienawiść do Polaków i całego planktonu Międzymorza oraz sentyment do mocarstwowej przeszłości.

Miejmy nadzieję, że i tym razem nic im z tego nie wyjdzie! ■

eprasa.pl 84d681be0e

Grzegorz Wszołek

POWINNIŚMY PROWADZIĆ TWARDĄ POLITYKĘ WZGLĘDEM NIEMIEC

eprasa.pl 84d6

W stosunku do mniejszych krajów Niemcy nie są skłonni do pójścia na kompromis, a wolą dyscyplinować niepokorne rządy, wykorzystując fundusze unijne. Dobitnie mogliśmy się o tym przekonać w czasie kryzysu ekonomicznego w strefie euro, w sprawie obowiązkowych kwot uchodźców czy teraz, gdy rozgrywała się kwestia rzekomo zagrożonej praworządności w Polsce. W ten sposób Niemcy w dłuższej perspektywie prowadzą ekspansjonistyczny model sprawowania polityki. A co istotne, nasz zachodni sąsiad zapomniał o perspektywie II wojny światowej i o tym, kto doprowadził w 1939 roku do katastrofy – z prof. Tomaszem Grzegorzem Grosse, politologiem i socjologiem, wykładowcą Uniwersytetu Warszawskiego, specjalistą w zakresie polityki gospodarczej UE i jej państw członkowskich, rozmawia Grzegorz Wszołek.

fot. Filip Błażejowski/Gazeta Polska

▶ Co rosyjska agresja na Ukrainę zmieniła w europejskich sojuszach? Czy rosyjskie surowce tylko teoretycznie przestały być punktem odniesienia dla mocarstw zachodnich, które zgadzają się na wprowadzanie sankcji? Czy jednak będzie dominować chęć powrotu do „normalności"?

Jesteśmy obserwatorami wydarzeń, które wiele zmieniają w tematyce międzynarodowej. Stajemy się kluczowym krajem dla Amerykanów – w gruncie rzeczy również dla całego Starego Kontynentu. To koliduje z polityką prowadzoną dotąd przez Berlin i Paryż, polegającą na zwiększaniu autonomii strategicznej, czyli dystansowaniu się od Waszyngtonu poprzez wzmacnianie polityki obronnej Unii Europejskiej i poszukiwaniu geoekonomicznego porozumienia z Rosją i Chinami. Przede wszystkim Stany Zjednoczone nie mogą tak szybko, jakby chciały, opuścić Europy – pozostają w naszej części świata i zamierzają wzmocnić flankę wschodnią NATO. Dzięki temu Polska zyskuje ogromne znaczenie w Europie Środkowo-Wschodniej jako jedno z największych państw w regionie. Wojna na Ukrainie przemodelowała tę strategię największych państw Europy Zachodniej. Ale, póki co, mówimy bardziej o „zawieszeniu" lub „zamrożeniu" polityki Francji i Niemiec, ponieważ przywódcy obu krajów mają chyba nadal nadzieję na odbudowę relacji z Rosją.

▶ Jest możliwe, by „reset" z Kremlem objął wszystkie obszary i nastąpił powrót do relacji biznesowo-politycznych, jak to było przed zbrodniczą inwazją na Ukrainę?

Sądzę, że możliwe to będzie tylko do pewnego stopnia. Nie zapominajmy o ważnym czynniku, czyli dywersyfikacji dostaw rosyjskich surowców do Unii Europejskiej. A to pokazuje wyraźną zmianę, uniemożliwiającą powrót do wcześniejszych relacji sprzed lutego 2022 roku. Francja i Niemcy dodatkowo liczą na to, że pozycja Europy Środkowo-Wschodniej nie urośnie na tyle, że nagle pozbawi Paryż i Berlin wpływów w UE. I kolejny trudny temat stoi przed zachodnimi państwami, a więc akcesja Ukrainy do Wspólnoty.

▶ Przed inwazją pozycję dominującą na Starym Kontynencie zajmowały Niemcy. Dziś media nie zostawiają suchej nitki na Olafie Scholzu, SPD traci poparcie ze względu na niewystarczające wspieranie Ukrainy. Czy pozycja Berlina się chwieje?

Okazało się, że kanclerz Olaf Scholz nie jest przywódcą, który „udźwignie" niebywały kryzys geopolityczny,

d681be0e

z którym mierzy się świat. Jego kunktatorstwo, dwuznaczna polityka względem Rosji dowiodły, że nie potrafi bronić interesów wschodniej części UE. Scholz stara się również przeforsować stare kierunki polityki niemieckiej, wbrew oczywistym faktom i agresji rosyjskiej, która przecież może rozlać się szerzej, poza Ukrainę. Niemcy nie tylko pielęgnują tendencje w geopolityce, znane od lat, lecz także starają się zminimalizować negatywne skutki gospodarcze, wywołane wojną na Ukrainie. Mają też cały czas obawy, że konflikt militarny może się rozszerzyć na UE. Reasumując: polityka Berlina odbierana była jako niespójna i cyniczna, wielu stolicom nie przypadło do gustu to, że kanclerz jedno mówił, a co innego robił. Jeszcze innym czynnikiem jest fakt, że Europa Zachodnia w świetle toczącej się wojny ma przed sobą ryzyko utraty części znaczenia geopolitycznego. Tymczasem środkowo-wschodnia część kontynentu wyraźnie zyskuje na tym polu. W zasadzie ten czynnik jest niezależny od postawy Scholza. To się po prostu dzieje na naszych oczach. Warto dodać, że autorytet Niemiec został zachwiany, ponieważ wcześniejsza polityka tegoż kraju w sposób pośredni przyczyniła się do wojny: to politycy niemieccy forsowali budowę gazociągu Nord Stream 2, opierali transformację energetyczną i klimatyczną w Unii na rosyjskich dostawach surowców i nie słuchali głosów płynących m.in. z Polski, ostrzegających przed możliwą agresją Federacji Rosyjskiej. Nie da się ukryć, że Berlin z Paryżem blokowali akcesję naszego sąsiada do NATO i UE, a to tylko zachęciło Władimira Putina do rozpoczęcia inwazji. Wszystkie założenia wcześniejszej polityki Niemiec względem Rosji okazały się błędne, dlatego przywództwo tego kraju zostało tak mocno nadszarpnięte po 24 lutego 2022 roku.

▶ Co jakiś czas słyszymy o planach federalizacji Unii Europejskiej, na której zależy najbardziej Niemcom i Francuzom. Na czym ta koncepcja miałaby polegać?

Chodzi głównie o to, by wdrożyć system głosowania większością kwalifikowaną i zakończyć decydowanie w sposób jednomyślny. Byłoby to na rękę Francji i Niemcom: graliby pierwsze skrzypce na forum unijnym, mogliby przeforsować swoje spojrzenie na różne aspekty polityczne, również związane z wojną na Ukrainie. W takim wariancie kraje wschodniej flanki NATO w Europie, dopominające się większej podmiotowości i obawiające się rosyjskiej ekspansji, zostałyby zmarginalizowane. Przypominam, że kraje Europy Środkowo-Wschodniej różnią się od krajów zachodnich m.in. w sprawie akcesji Ukrainy do Unii Europejskiej. Interesy dotyczące choćby bezpieczeństwa naszej części Europy w systemie głosowania większościowego byłyby zwyczajnie pomijane, co odbiłoby się rzecz jasna na naszych interesach. Tak naprawdę federalizacja ma na celu wzmocnienie pozycji Francji i Niemiec. Należy się tej koncepcji przeciwstawiać z oczywistego powodu: jest wbrew naszym interesom, to po pierwsze. Po drugie, warto zaproponować własną koncepcję integracji Europy Środkowo-Wschodniej, którą powinna rozpocząć pogłębiona współpraca Polski z Ukrainą.

▶ Postulat zlikwidowania głosowania jednomyślnego, a zastąpienia go głosowaniem większościowym jest popierany w wielu krajach unijnych, czy to tylko pomysł największych stolic?

Europa Zachodnia stoi za Niemcami i Francją, a to zła informacja. Europarlament i Komisja Europejska także popierają ideę federalizacyjną. Inaczej jest w przypadku krajów Europy Środkowo-Wschodniej i Północnej, mowa o kilkunastu stolicach, które oponują wobec takich zmian. W obecnej sytuacji te państwa nie mogą sobie pozwolić na utratę pozycji geopolitycznej. Ponadto forsują szybszą ścieżkę wstąpienia Ukrainy do UE. Wejście naszego sąsiada do wspólnoty europejskiej pociągnęłoby za sobą reperkusje, w dużej mierze na niekorzyść Berlina i Paryża.

▶ Federalizacja pogłębiłaby problem Europy „dwóch prędkości", w której mocarstwa mają rozwijać się szybciej, kosztem mniejszych państw w Unii Europejskiej?

Gwoli ścisłości, podziały w Europie są znane od dawna, a wojna na Ukrainie je tylko uzewnętrzniła. Jeśli mowa o procedurach, takich jak głosowanie większościowe – one nie mają na celu rozbijania UE pod względem instytucjonalnym, lecz wymuszenie realizacji polityki zakładanej przez Francuzów i Niemców. Zatem chodzi o uspójnienie polityki europejskiej, zażegnanie paraliżu decydowania jednomyślnego. Problem w tym, że choć różne decyzje wprowadzane byłyby sprawniej, to jednak z pominięciem strategicznych interesów państw w naszej części Europy.

▶ Czy mówienie o IV Rzeszy w kontekście dążenia do potęgi militarno-gospodarczej jest uprawnione? Gdy Jarosław Kaczyński użył tego typu sformułowania, jednocześnie zaznaczając, że nie ma na myśli stawiania znaku równości między dzisiejszymi Niemcami a rządami Adolfa Hitlera, rozpętała się prawdziwa burza.

Prawdę mówiąc, słowa prezesa PiS były niezręczne, bo nasuwały jednoznaczne skojarzenia, podczas gdy dzisiejsze Niemcy są w zupełnie innym miejscu niż hitlerowskie. Natomiast Kaczyński miał rację w jednym: Berlin prowadzi ekspansję gospodarczą w Europie, uzależniając przy tym wiele słabszych stolic. Prezes PiS słusznie też

eprasa.pl 84d681be0e

analizował, że mamy do czynienia z zawłaszczaniem instytucji międzynarodowych przez niemieckie interesy, a także przekuwaniem wpływów gospodarczych tego państwa na pozycję polityczną w skali kontynentalnej. W stosunku do mniejszych krajów Niemcy nie są skłonni do pójścia na kompromis, a wolą dyscyplinować niepokorne rządy, wykorzystując fundusze unijne. Dobitnie mogliśmy się o tym przekonać w czasie kryzysu ekonomicznego w strefie euro, w sprawie obowiązkowych kwot uchodźców czy teraz, gdy rozgrywała się kwestia rzekomo zagrożonej praworządności w Polsce. To ostatnie było okazją do wymuszania ustępstw na Warszawie w obszarach, na których zależało Berlinowi i Paryżowi. W ten sposób Niemcy w dłuższej perspektywie prowadzą ekspansjonistyczny model sprawowania polityki. A co istotne, nasz zachodni sąsiad zapomniał o perspektywie II wojny światowej i o tym, kto doprowadził w 1939 roku do katastrofy. W stosunku do Polski Niemcy zachowują się tak, jakby ta historia się nie wydarzyła, a ich naród nie ponosił żadnej odpowiedzialności za wydarzenia z tamtego czasu.

▶ Jak w takim wypadku układać relacje z Niemcami? Na twardo prowadzonej polityce historycznej z domaganiem się zadośćuczynienia za straty wojenne, która jest krytykowana przez liberałów w Polsce i zachodnie media? Czy na „płynięciu" z głównym nurtem polityki europejskiej i marginalizowaniu zaszłości?

Najlepszym rozwiązaniem byłaby budowa własnego potencjału – tak, aby Niemcy zaczęły się z nami liczyć. Dbałość o dobre wskaźniki gospodarcze, silne i podmiotowe struktury sojusznicze w Europie Środkowo-Wschodniej – to niezbędne założenia, które pozwolą na zrównoważenie relacji z Berlinem. Wydaje się, że w sytuacji, gdy Niemcy nie zamierzają szanować naszych interesów, powinniśmy prowadzić twardą politykę względem nich, na wzór na przykład Francji czy Hiszpanii. Ostatnia rzecz – warto zablokować nieszczęsne pomysły na forum unijnym, które są prostą receptą na wzrost kosztów życia dla polskiego obywatela. Mam na myśli na przykład propozycje dotyczące polityki klimatycznej. Wcześniej wskazałem, dlaczego przejście na głosowanie większością kwalifikowaną w obecnej sytuacji braku zaufania do liderów integracji jest także niebezpieczne. Musimy podnosić kwestię ograniczenia roli Parlamentu Europejskiego, Komisji Europejskiej w polityce unijnej, a także ograniczenia TSUE w zakresie jego rozszerzającej interpretacji traktatów na niekorzyść kompetencji państwowych. Nie można bowiem zapominać o łamaniu traktatów przez instytucje unijne pod pozorem rozwoju integracji. Wszystkie te zagadnienia powinny zostać przedyskutowane w Unii Europejskiej. Kluczowe znaczenie ma to, byśmy krytykowali fatalne pomysły – nie z takiego powodu, że oto jesteśmy przeciwnikami integracji, wszak to nieprawda, a z racji zagrożenia „wykolejenia" projektu z przyczyn ideologicznych i narzucanej agendy jednostronnie korzystnej dla Francji i Niemiec. Jak się wydaje, tego od nas oczekują mniejsze państwa Wspólnoty, zwłaszcza z naszego regionu.

▶ Olaf Scholz cztery miesiące wstrzymywał się z wizytą w Kijowie. Pojechał tam wspólnie z Emmanuelem Macronem, Mateo Draghim i Klausem Iohannisem, gdy światowi przywódcy odwiedzali już rutynowo Ukrainę. Można było się obawiać, że francusko-niemiecki tandem będzie naciskał na Wołodymyra Zełenskiego, żeby przystał na rokowania pokojowe kosztem Donbasu i Krymu. „To Ukraina będzie decydować o warunkach ewentualnych rozmów i swoich terytoriach" – zapewnił Macron. I akurat „Die Welt" w analizie podał, że za zamkniętymi drzwiami trójka przywódców naciskała na Zełenskiego, by zaczął rozmawiać z Rosją o zakończeniu wojny. Europa Środkowo-Wschodnia zostanie „przehandlowana" za gaz, ropę i inne surowce?

Przywódcy Europy Zachodniej wybrali się do Kijowa z powodów czysto marketingowych. Chcieli pokazać zaangażowanie na rzecz Ukrainy, a jednocześnie uciszyć wszystkie głosy krytyki za brak wystarczającego wsparcia dla walczących na froncie. To był – w moim przekonaniu – główny cel wizyty trzech polityków zachodnioeuropejskich i rozmów z Zełenskim. Zwłaszcza przywództwo niemieckie i francuskie zmaga się z kryzysem wizerunkowym od początku rosyjskiej agresji. W czasie tej wizyty doszło do poważnej różnicy zdań między rządem ukraińskim a Niemcami, Francją i Włochami. Kijów chciałby lepszego wywiązywania się z obietnic dostaw broni, a politycy zachodnioeuropejscy naciskali na prezydenta Ukrainy, by jak najszybciej zakończył wojnę, przystając na ustępstwa zgodne z oczekiwaniami Putina. Wprawdzie przybliżyła się kwestia nadania Ukrainie statusu kandydata do UE, jednak ścieżka tego kraju do Wspólnoty będzie żmudna i długa, obarczona surowymi warunkami nie tylko wobec Kijowa. Niemcy oczekują przykładowo ustępstw niektórych państw Europy Zachodniej w sprawie członkostwa państw bałkańskich oraz od nas ustępstw w zakresie reform wewnętrznych w Unii z głosowaniem metodą większościową włącznie. Niemcy i Francuzi nadal inaczej postrzegają interesy geopolityczne od Europy Środkowo-Wschodniej. Możemy spodziewać się w najbliższym okresie wzmożonej rywalizacji o to, czy nasza część kontynentu będzie silnym podmiotem na arenie międzynarodowej, czy, tak jak od kilkuset lat, zależnym od silniejszych sąsiadów. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Ewa Polak-Pałkiewicz

Straszliwe i krwi pragnące kazanie

Skarga? Co może mieć nam do powiedzenia XVI-wieczny jezuita? A poza tym, czy może być dziś większa obelga dla kapłana niż powiedzenie, że „jest nietolerancyjny" i nazywa protestantów „heretykami"? A gdy jeszcze do tego zabiera głos w sprawach publicznych, jest doradcą króla, gościem hetmanów, znanym pisarzem... To jakaś szopka, to niesmaczne. Bycie nietolerancyjnym przekreśla całą kulturę, dobre wychowanie, humanizm, umiłowanie człowieka. Wpycha do zaścianka, gdzie pachnie kiszoną kapustą i nikt nie słyszał o „wartościach europejskich".

fot. Wikipedia

Piotr Skarga, zaufany kapłan Stefana Batorego i Zygmunta III Wazy, był wprost modelowo nietolerancyjny – w dzisiejszym rozumieniu tego słowa. A przecież ten, urodzony w rodzinie młynarza w 1536 roku – zakonnik był bez wątpienia jednym z najświatlejszych umysłów epoki i symboliczną wręcz postacią dla obrońców wiary w targanej rewolucją protestancką Europie. Swoim dziełem „O rządzie i jedności Kościoła Bożego pod jednym pasterzem" (1577) zapoczątkował unię brzeską, która zaowocowała pojednaniem z Rzymem rzeszy prawosławnych; powstał wówczas Kościół greckokatolicki.

Ktoś więcej niż „pisarz"

Był kochany za swoje kazania i książki – a popularność jego dzieł bliska bywała popularności „Trylogii". Budził podziw energią i inwencją jako społecznik i dobroczyńca. Ale irytował i złościł wielu tych, na których nawróceniu najbardziej mu zależało. „[...] Widziano w nim postać złowróżbnego królewskiego kaznodziei, który z grupą innych ojców jezuitów judzi, jątrzy i wpływa na króla, i nie dość, że popycha go w stronę rozmaitych antyróżnowierczych działań, to jeszcze steruje monarchą w kierunku lodowych dla Rzeczypospolitej gór absolutum dominium" – pisze znawca jego życia i dzieła, prof. Krzysztof Koehler.

Według Koehlera, Skarga będąc kimś więcej niż „pisarzem" – we współczesnym rozumieniu tego słowa („Można go określić dzisiejszym dziwnym słowem »lobbysta«, nazwać go »politykiem« albo nawet »szarą eminencją«, stojącą za niektórymi decyzjami monarchy"), był zarazem kimś krystalicznie czystym w swym oddaniu wierze katolickiej i ojczyźnie.

Wykształcenie filozoficzne i teologiczne, jakie odebrał w Rzymie, było na najwyższym możliwym wówczas poziomie. Szlachectwo zawdzięczał polskiemu królowi, choć w wielu biogramach pojawia się informacja, że wywodził się ze szlachty od strony matki. Ze szlachtą zresztą, łatwo ulegającą w jego czasach wpływom innowierców, przechodzącą bez problemów na kalwinizm i arianizm, zazdrosną o swoją wolność, wadzącą się i z królem, i z biskupami, zapiekłą w sporach politycznych i religijnych, przychodziło mu nie tylko dyskutować, lecz także dawać jej przestrogi i gromić ją surowo – słowem: nawracać w pocie czoła przez całe życie. A potrafił też tak jej dopiekać, że najwięksi jego wrogowie wykrzykiwali w złości, że zamiast nauczać i napominać, powinien „w Grójcu karmić świnie".

Trudno też zaprzeczyć, że nadal, jak za swojego życia, jest dla wielu niewygodną postacią. Zwłaszcza dla tych, którzy uważają, że wszystko jedno jak i w co się wierzy.

Historia pewnego fałszerstwa

W aktach procesu beatyfikacyjnego odnotowano, że był dwukrotne napadnięty fizycznie przez innowierców. Sprawcy zostali schwytani i osadzeni, ks. Skarga za każdym razem publicznie im przebaczał. Nie są to fakty dziś znane; znana jest za to „czarna legenda" królewskiego kaznodziei, w której przypisuje mu się nienawiść do ludzi.

Tę legendę starano się szerzyć jeszcze za jego życia. „Straszliwe i krwie pragnące Piotra Skargi Jezuity kazanie" – tak zatytułowane zostało jedno z jego kazań. Była to przeróbka kazania, które wygłosił w Wilnie, gdy Zygmunt III Waza ruszał z wojskiem ku Inflantom zajętym przez Szwedów, nazwanego przez autora „Wsiadanym na wojnę kazaniem" (z cyklu Kazań obozowych). Tekst został wykradziony – podano, że zapisał kazanie słuchający go w Wilnie świadek – i via Toruń dotarł do Szczecina. Wydał je w przekładzie na niemiecki Daniel Cramer, słynny pastor i teolog protestancki, wykładowca uniwersytecki, z przeinaczeniami i własnym komentarzem. Cramer od dłuższego czasu oddawał się licznym polemikom z jezuitami, w tym ze Skargą.

Gdy w 1602 roku w Krakowie wydrukowano kazanie w wersji oryginalnej, we wstępie Skarga poinformował o jego wykradzeniu, dołączając swój komentarz. Oświadczył, że kazanie zostało w wydaniu niemieckim sfałszowane i oszpecone, celem kłamcy było wytworzenie „krwiożerczego" wizerunku autora. Później wizerunek ów utrwalił się w pracach historyków i literaturoznawców zajmujących się dziełem Skargi. Polemika wokół „Wsiadanego na wojnę kazania" ciągnęła się przez kilka lat; sam król Zygmunt, oburzony fałszerstwem Cramera, napisał list do księcia Barnima X. Król cenił Skargę i ufał mu, a miał w jego osobie nie dworaka, nie zausznika, lecz nierzadko krytyka, który potrafił zdecydowanie przeciwstawić się planom powtórnego małżeństwa monarchy czy mieć inne zdanie w sprawie słynnego głosowania uchwały o tumultach w 1606 roku.

„Główny wichrzyciel Rzeczypospolitej"

Najgłośniejszym współczesnym oskarżycielem Skargi okazał się historyk prof. Janusz Tazbir. Cóż, ten gorszący wrażliwych humanistów Skarga był

eprasa.pl 84d681be0e

w Rzeczypospolitej przełomu XVI i XVII wieku bez mała potężną i wpływową instytucją. Doradca króla w sprawach religijnych i politycznych; bywalec pałaców magnackiej elity i wychowawca ich synów – co potrafił znakomicie wykorzystać dla sprawy powrotu wielu z nich do Kościoła. Jako społecznik-wizjoner działał z niespotykanym rozmachem: założył Arcybractwo Miłosierdzia w Krakowie (działające do dziś), w którym spotykali się, służąc ubogim, ludzie wszystkich stanów, dworzanie, rzemieślnicy, pomywaczki i rycerze; powołał Bank Pobożny, pełniący rolę ochrony przed lichwą; lombard dla ubogich, zwany Komorą Potrzebujących. Pełen ognia polemista – zwłaszcza jako autor „Kazań sejmowych" – posługujący się mistrzowsko żywiołową staropolszczyzną, dał się poznać także jako znakomity organizator szkolnictwa, rektor Akademii Wileńskiej (późniejszego Uniwersytetu Wileńskiego), gdzie oprócz katolików kształciło się także wielu protestantów i prawosławnych, gdyż uczelnia słynęła w tej części Europy z wysokiego poziomu nauczania (od 1579 roku można było tu studiować także w języku ruskim).

„Pięknyś obozie nasz..."

„[...] A nawiętsza piękność twoja z nabożeństwa Katolickiego, iż w tobie służba Boża nie ustaje" – to fragment „Wsiadanego na wojnę kazania". Wizja politycznych czy militarnych zmagań w obronie Rzeczypospolitej i zarazem w obronie wiary katolickiej nie była u Skargi czymś wyjątkowym.

„Kazanie budowane jest jakby ze środka dyskursu katolickiego. Oto kaznodzieja udziela błogosławieństwa na wyprawę wojenną monarsze i jego wojskom. Wprzód jednak, wzorem antycznych wróżbitów i w myśl tradycji starotestamentalnej, daje proroctwo, obierając dwu wodzów wojny – sprawiedliwość i nabożeństwo. Odnosi obu owych „wodzów" do przeciwnika Korony: gdy idzie o sprawiedliwość, Karol [Sudermański] jej zasady złamał, wydzierając prawowitemu monarsze koronę i najeżdżając ziemie Rzeczypospolitej. [...] Złamał zasady sprawiedliwości, kierując się rozumowaniem opartym na kwestiach wyznaniowych: „Papiestwo wykorzenię, a Polaki z Inflant wypłoszyć mam wolę", podsumowuje Krzysztof Koehler. Kreśląc uwagi o drugim „bogu wojny", Skarga posługuje się słownictwem odnoszącym się do wojny religijnej. „Ów »katolicki Bóg« staje w podanej przez Skargę interpretacji w obronie całego Kościoła katolickiego. [...] Ale właśnie być może ów gest »otoczenia« królewskiego, sarmackiego wojska »katolickim« błogosławieństwem stanowi ważny, a nawet podstawowy aspekt mówienia o wspólnocie wojska – a może i wspólnocie politycznej całej Rzeczypospolitej, gdzie w końcu tak samo – zarówno w wojsku, jak i w państwie – mamy również »heretyków«" – podkreśla Koehler.

„Z łaski Bożej wszystko wojsko jednego i prawego Boga Katolików chwali i jemu służy. Jeśli co jest trocha heretyków, tedy byście radzi P. Bogu pozyskali: nauką się ich i zarazą brzydzicie, ale jako sąsiadami nie gardzicie, a o ich nawrócenie nawyższego Boga prosicie, modląc się, aby towarzystwo ich, którego uść nie możecie, szkody wam na łasce Boskiej nie czyniło i gniewu jego na was nie przywodziło, a one raczej do jedności wiary ś. wprawowało" – takie słowa z pewnością nie mogły wyjść z ust kogoś, kto nienawidzi „i krwi pragnie" braci odłączonych.

Skarga wyciąga niejako polskich heretyków ze wspólnoty heretyckiej i czyni rycerzami Rzeczypospolitej, podkreśla Koehler. Skoro kazanie jest skierowane do wojska polskiego, to z pewnością autor nie tylko nie podżega, by myśleć o heretyckich zdrajcach w jego szeregach, jak insynuuje niemiecki wydawca przeróbki, lecz wręcz tonuje i gasi podobne przypuszczenia – mając na uwadze nie tylko szeregi armii, lecz także wspólnotę państwa. Podobne podejrzenia mogliby mieć tylko przeciwnicy króla i Królestwa. Znamienne, że Cramer zarzucał Skardze, iż apoteozuje osobę Zygmunta III. Spór religijny przywdziewał szaty polityczne, bo w istocie protestanccy teologowie byli na służbie swoich protestanckich książąt, od ich finansów całkowicie zależeli.

Nie mocą, nie zdradą...

W sfałszowanym kazaniu „rzekomy Skarga" miał użyć nomenklatury „piątej kolumny", jak podkreśla Koehler: „Między nami są heretycy, nieprzyjaciele naszy też heretycy, puścić diabła na diabła niech się tłuką. [...] A tak w imię Pańskie jedźcie, a tę krew heretycką mężnie gromcie". W przypisie do swojego kazania Skarga, cytując tę frazę stwierdza: „To szczery fałsz i obłuda, na ohydę mnie ubogiego księdza. Jakieć mi staremu szaleństwo przyczyta ten fałszywy świadek? [podkr. – K. Koehler] Wiele heretyków kazania tego słuchało, a żaden się z nijakim około tego szemraniem nie odezwał. Słuszniejby na mię się żałować i przed królem się J. M. opowiedać, i z obozu wychodzić, a żołnierstwo wypowiedzieć mogli. Lecz tego żaden i namniejszy z nich nie

eprasa.pl 84d681be0e

uczynił, i owszem i teraz z ochotą i zgodą z katolikami w obozie i na wojnie tej przemieszkiwają, i wierność panu swemu i miłość ku Ojczyźnie oddają [...]".

Podobnie Skarga odpierał zarzut, że kazanie było „straszliwe i krwie pragnące" (a postawa to typowa dla wszystkich jezuitów, zaznaczał szczeciński edytor). „Nie dopuści mi tego i stan mój kapłański", przypomina Skarga, dodając, że zasady prowadzonej przez niego „wojny świętej" są jasne, stałe i niezmienne: „Gdyż my pismo ś. mamy, słowo Boże mamy, prawdę mamy, prawa ś. mamy, miłość ku bliźnim z łaski Bożej mamy. Tym heretyki abo raczej herezyje gubim, tyle ich tysięcy i bez liczby z pomocą Bożą nawracając i oczy ich otwarzając; i was da li Bóg zwojujem, nie mocą ani zdradą, ale prawdą, pismem ś., prawy świętymi i dobremi uczynkami i cierpliwością naszą".

Uczynki, jak wiadomo, zdaniem protestantów nie mają żadnego znaczenia dla Pana Boga. Tak ogłosił Luter. Stąd też i problemy z miłością chrześcijańską. Kazanie dopełniła modlitwa za króla, gdzie autor zawarł portret Karola Sudermańskiego – tego, kto złamał przysięgę i spiskuje przeciwko prawowitemu władcy, a zarazem prowadzi religijną wojnę z Polską, czyli z Kościołem. „Tyś, Panie, Królestwo to Polskie wszczepił, aby z niego tym Północnym krajom i pogaństwu i odszczepieńcom i heretykom prawda twoja i Ewangelia, i stolica Piotra i Pawła, mistrzów wiary twojej, świeciła".

Nie chciał być „zmokłą kokoszą"

Piotra Skargę porównuje się niekiedy do Kmicica, podkreśla się jego waleczność, upór, oddanie bez reszty sprawie wiary i Polski. Nie miał nic z kunktatora, nic z człowieka, który działa „bez gniewu i gorącości" (ktoś taki w jego oczach był niczym „zmokła kokosza"). Wybór zakonu jezuitów był czymś oczywistym dla inteligentnego, wrażliwego młodzieńca, który miał oczy i widział, jak luteranie i kalwiniści rządzą się w Europie, jak poczynają sobie w Polsce. Na Litwie liczba parafii katolickich była równa ilości zborów ewangelickich i wynosiła dwieście. Mawiał, że każdy jezuita, który marzy o misjach na Dalekim Wschodzie, powinien rozejrzeć się wokół siebie, szybko zobaczy, że tutaj „mamy swoje Indie".

Wiedział, jak w tamtych czasach każdy wykształcony katolik, że fałszowanie religii, błąd religijny – a skutkiem błędu była zarówno herezja Lutra, jak i schizma prawosławna – znajduje odzwierciedlenie w myśleniu człowieka. Siłą rzeczy także w decyzjach przez niego podejmowanych, uchwalanych prawach – błąd jest niebezpieczny zarówno dla jego umysłu, jak i dla całego państwa. Błąd i fałsz nie może mieć żadnych praw.

Rycerze w sutannach

Skarga wraz z Jakubem Wujkiem, tłumaczem Biblii, Benedyktem Herbestem, autorem katechizmu „Nauka prawego chrześcijanina", Marcinem Latemą, twórcą modlitewnika „Harfa duchowna", czy Marcinem Łaszczem, głośnym polemistą antyariańskim – byli przedstawicielami generacji niezwykle zasłużonej dla polskiej kultury, przypomina Krzysztof Koehler. „Ta generacja wchodziła do kultury z kultem postaci świętego Stanisława Kostki, który łamiąc wszelkie konwenanse i szlacheckie uprzedzenia, podjął decyzję o wstąpieniu do zakonu jezuitów. Ona właściwie piórami Skargi czy Szarzyńskiego wprowadzała do języka i obyczajowości nowych, heroicznych bohaterów oraz barokowy sposób odczuwania świata". Jezuici w tamtych czasach byli nadzwyczaj czynni i skuteczni; posługiwali się ze swobodą nowoczesnymi metodami i środkami, utworzyli w kraju m.in. gęstą sieć szkół i uczelni, która rozwijała się znakomicie przez dwa stulecia.

Jeśli w Polsce udało się powstrzymać zwycięski pochód reformacji, to ogromna ich zasługa. Ich ideowi przeciwnicy byli w zasadzie zupełnie bezradni wobec ich energii i pomysłowości, ale też nie przebierali w środkach, usiłując ich dezawuować. „Sami [jezuici] nie byli owieczkami: organizowali dysputy, zabezpieczali przedpole bitwy (uzyskując najlepsze pozycje do ataku: spowiedników, kaznodziejów, nauczycieli, zawziętych i nieustających misjonarzy), pisali paszkwile, zarzucano im współorganizowanie bojówek antyróżnowierczych (czy słusznie – to inna sprawa). Swoich przeciwników nazywali bezpardonowo heretykami i prowadzili z nimi (bezkrwawą, co prawda, niemniej jednak) wojnę na wyniszczenie. Mimo to ówczesny europejski kontekst historyczny raczej powinien dawać obu stronom konfliktu, protestantom i katolikom Rzeczypospolitej, powód do dumy: w XVI wieku, w morzu krwawych konfliktów religijnych, Polska naprawdę była »państwem bez stosów«. [...] Żarliwość postawy wobec rzeczywistości, propagowana przez Piotra Skargę w »Żywotach świętych«, miała zdecydowany adres negatywny: owego »człowieka poczciwego« wychwalanego przez kalwinistę Mikołaja Reja w »Żywocie człowieka poczciwego« [...]".

eprasa.pl 84d681be0e

„Szermierz nietolerancji"

Gdy na mocy decyzji Sejmu RP ks. Piotr Skarga został patronem 2012 roku – przypadała wówczas 400-setna rocznica jego śmierci – wzburzeni luteranie, delegaci Synodu Kościoła Ewangelicko-Augsburskiego w RP, napisali w protestacyjnym piśmie, że „Ks. Skarga stanowczo opowiadał się za państwem jednowyznaniowym", jego działań „nie sposób uznać za akceptowalne dla współczesnego myślenia o kształcie państwa [...]". Dostało się i ówczesnemu Sejmowi. „Czy przez swoją decyzję Sejm RP nie opowiedział się po stronie niedemokratycznej i kłócącej się ze współczesnością koncepcji postrzegania spraw religijnych? [...] Sejm RP przypomina osobę bardzo kontrowersyjną i idee, które powinny być obce nowoczesnemu społeczeństwu". Mianem „szermierza nietolerancji" określił autora „Kazań sejmowych" Janusz Tazbir.

Czarną legendę wybitnego jezuity tworzą kolejne pokolenia. Przypisuje mu się aprobatę dla burzenia zborów (miał jakoby na piśmie bronić ludzi, którzy zburzyli zbór w Krakowie – gdy tymczasem w istocie krytykował ten akt i do podobnych nie zachęcał). Był za to zdecydowanym oponentem i krytykiem konfederacji warszawskiej, uchwały podjętej w czasie bezkrólewia po śmierci króla Zygmunta Augusta, w styczniu 1573 roku na sejmie konwokacyjnym, która gwarantowała szlachcie swobodę wyznania, a innowiercom równe prawa z katolikami. Konfederację warszawską traktuje się dziś jako początek tolerancji religijnej umocowanej prawnie – w 2003 roku UNESCO wpisano jej tekst na listę „Pamięć Świata". Jeden tylko biskup, Franciszek Krasiński, podpisał uchwałę, reszta senatorów spośród duchownych i grupa katolików świeckich złożyła uroczysty protest; sprzeciw wobec niej wyraziły episkopat i Stolica Apostolska. Prawomocność konfederacji była stale w Polsce kwestionowana, choć królowie przy koronacji zobowiązywali się jej przestrzegać.

„Problem w tym, że sprzeciwiając się konfederacji warszawskiej, którą tak wszyscy dzisiaj słusznie podziwiamy i tak się nią zasadnie chwalimy przed sobą i światem, Skarga niekoniecznie we wszystkim nie miał racji. Na przykład wtedy, kiedy wskazywał na materialne straty, które Kościół poniósł w okresie odbierania katolikom świątyń i klasztorów, i utrzymywał, że prawdziwa zgoda powinna nastąpić wtedy, kiedy strona protestancka odda, co zabrała. Na pewno nie był zwolennikiem ówczesnej grubej kreski, tych, którzy uznali, że historię należy datować od roku 1573" (Krzysztof Koehler).

Krzysztof Koehler zaznacza, że religijne debaty tamtej doby, to był spór „o wszystko". Ten, kto walczy o prawdę, musi być rycerzem, wojownikiem – miles Christianus.

„Dzisiejszych zwolenników tolerancji czy neutralności światopoglądowej państwa postawa Skargi może dziwić, irytować, oburzać. [...] Faktycznie, ksiądz Piotr był »szermierzem kontrreformacji« i zwalczał swoich »heretyckich« przeciwników piórem oraz niesłabnącą aktywnością. Ale też spierał się, bo widział konsekwencje, jakie niesie obojętność. Odważnie i – trzeba przyznać – zasadnie wskazywał na zapoczątkowany przez reformację proces prowadzący do wyrzucenia Boga ze sfery publicznej i z ludzkich serc. Kiedy pisał, że nowy jakiś stan pojawił się w królestwie, nie »duchowny, senatorski, żołnierski, miejski, oracki abo kmiecy«, przenikliwie wskazywał na przyniesione przez reformację zjawisko rozbicia społeczeństwa feudalnego. Była to całkiem trafna diagnoza..., tyle że Skarga proces rozpadania się struktury feudalnej – dziejący się na jego oczach – postrzegał jako koniec świata, a państwa, którego nie wiązałyby więzy wiary religijnej ([...] więzy te były zastępowane w ówczesnej myśli i praktyce politycznej przymusem władzy monarchii absolu-

> Piotra Skargę porównuje się niekiedy do Kmicica, podkreśla się jego waleczność, upór, oddanie bez reszty sprawie wiary i Polski. Nie miał nic z kunktatora, nic z człowieka, który działa „bez gniewu i gorącości" (ktoś taki w jego oczach był niczym „zmokła kokosza").

eprasa.pl 84d681be0e

tystycznej) jeszcze sobie nie umiał wyobrazić, i dlatego lękał się klęski, rozłamów, frakcji, które postronny nieprzyjaciel będzie chciał wykorzystać przeciwko Rzeczypospolitej (jakby przewidywał frazesy rosyjskiej polityki imperialnej, mordującej Rzeczpospolitą w imię obrony wolności religijnej dla protestantów w niecałe 200 lat po ukazaniu się »Kazań sejmowych«...)".

„Politycy dzisiejsi", czyli populiści

Jeśli był nieufny wobec „polityków dzisiejszych", widząc, jak łatwo wyprzedają dobra wspólnoty, państwa, kierują się prywatą, zabiegają o popularność, to nade wszystko dlatego, że lekceważyli zasady wiary i stawianie na Bożą opatrzność. Słowem byli rasowymi populistami.

konany o złych następstwach protestantyzmu dla pomyślności kraju, kojarzy go nieuchronnie z zagrożeniami dla wspólnoty.

Religię katolicką przedstawia jako fundament, zachęca, by dziękować Bogu za nią, i podkreśla opiekę władzy królewskiej nad swobodą jej praktykowania. A „działania protestantów próbuje zrównać z zadaniem dodania trzeciej nogi czy trzeciej ręki do organizmu albo jeszcze jednego stanu (jak jakiegoś szóstego palca!), który byłby jakimś pośrednim stanem między „duchowym, senatorskim, żołnierskim, miejskim, orackim abo kmiecym" (K. Koehler).

To wszystko jest w istocie niezbyt ekumeniczne. „Ale też paradoksalnie może to właśnie jest ten ekumenizm, który – jedyny – mógł być podjęty w wieku XVI (ale i w każdym innym), eku-

Skarga był w Rzeczypospolitej przełomu XVI i XVII wieku potężną i wpływową instytucją. Doradca króla w sprawach religijnych i politycznych; bywalec pałaców magnackiej elity i wychowawca ich synów; założyciel Arcybractwa Miłosierdzia w Krakowie i Banku Pobożnego; znakomity organizator szkolnictwa, rektor Akademii Wileńskiej.

Zabiegał o mądrość jako siłę sprawczą działań politycznych, a „mądrość ta winna być wymodlona, wyproszona od tego, kto ją posiada w stopniu najwyższym, czyli Boga" (K. Koehler), ale także postrzegał scenę polityczną jako obszar działania opatrzności Bożej. „[...] rządzenie zatem to pewne połączenie: Bożej opatrzności i ludzkiego działania, efektu nabycia mądrości".

Przypominał, że o mądrość w polityce trzeba prosić Boga. Ci, którzy to zaniedbują, ci, którzy dysponują mądrością „ziemską, bydlęcą, diabelską", czyli „politycy dzisiejsi", którzy wywierają nacisk na „panów i królów, aby o religią i dotrzymanie, i obronę ś. wiary katolickiej, i o ludzkie zbawienie nie dbali i dla niego nic nie czynili", zadowalając się swoim dostatkiem, nie dbają też z reguły o duchowe potrzeby swoich poddanych. Są więc w istocie demagogami, „których bożkiem jest popularitas". Skarga opisuje w ten sposób nie tyle konkretne środowisko opozycyjne, co „postawę niesprzyjającą Rzeczypospolitej", którą łączy „faktycznie, sukcesywnie i bezdyskusyjnie [...] z zagadnieniami nowinek religijnych". Jest prze-

menizm, który uczy: kochaj bliźniego swego, ale nie wolno ci obojętnie patrzeć na to, jak życie jego, z racji złego usytuowania religijnego, zmierza do nieuchronnej katastrofy. Jezuita miał na pewno inne niż dziś, ale w tamtych czasach naturalne, podejście, widząc w ekumenicznej „obojętności" drogę, pięknie wybrukowaną, do upadku nie tyle wiary, ile wprost drogę do religijnej oziębłości – jak mówi się w znanym cytacie z Upominania do ewangelików... do ateizmu jako końcu religijnej »tolerancji«".

Gdy opinia staje się dogmatem

By zrozumieć „świętą wojnę" prowadzoną przez Piotra Skargę i jego współbraci, którą dziś tak łatwo przychodzi wyśmiewać, trzeba przyjrzeć się doktrynie Lutra. Według niego człowiek nie jest zdolny poznać w Bogu dobroczynnego i miłosiernego Stwórcy. Bóg protestantów stworzył człowieka upadłego i nie może go uświęcić, jest natomiast zawsze gotów go ukarać. „Protestantom stale towarzyszy jedna myśl: uciec

eprasa.pl 84d681be0e

przed gniewem Wszechmocnego", przypomina ks. Domique Bourmaud. Protestanci są przekonani, że ludzkie pożądliwości są nie do przezwyciężenia, natura ludzka jest do cna zepsuta. „Eliminując miłość i zachowując do pewnego stopnia niewolniczy strach, Luter sprawia, że nauka o rzeczach Bożych obraca się wokół zepsutej natury człowieka". Skarga tę antynomię doskonale w swoich pismach (kazaniach, listach, wykładach) podsumował. Rozumiał, jaką krzywdę ludzkiemu myśleniu wyrządza sprowadzanie Boga do „odległego, abstrakcyjnego bytu", którego przymiotami są „niemoc i niesprawiedliwość". Z tej dziwacznej „antropoteologii" wyłania się bowiem skrajny naturalizm. Polski jezuita wiedział, że Luter „zamyka człowieka w jego własnym wnętrzu i wyprowadza wszystko z człowieka, w każdej dziedzinie, nie wyłączając teologii".

Jest jeszcze coś, co dodatkowo powoduje, że protestanci brną w sprzeczności i – gdyby chcieli stosować zasady Lutra w praktyce – nie mogliby wyplątać się z sieci absurdu. „Stworzony przez Lutra Kościół protestancki z jego hierarchią, kultem i dogmatami stoi tak naprawdę na antypodach zasad protestanckich". Zasada wolnej interpretacji przyjęta przez nich jako ogólna reguła przeczy jakiejkolwiek wspólnocie wiary, swoboda sumienia godzi i podważa jakikolwiek autorytet. Luter, „wielki oportunista i pragmatyk, szybko zmieniał się w szalonego sekciarza, gdy tylko ktoś naruszał jego wolność, czyli jego autorytet". Tak samo było w przypadku Kalwina, który „nie dostrzegał albo nie chciał dostrzec tej przerażającej antynomii, leżącej u podstaw jego działa zniesienia władzy, dogmatu i Kościoła w oparciu o wolną interpretację" (Henri Hauser).

„Zasada wolnej interpretacji, czyli wolności do wszystkiego i dla wszystkich, musiała zgodnie z prawami logiki zrodzić chaos, anarchię i powszechny bunt przeciwko wszystkim...".

Sam Luter stał się wkrótce ofiarą swojej doktryny. „Odebrał papieżowi jego duchową władzę i przekazał ją książętom, którzy mieli odtąd być zarówno władcami, jak i papieżami". Tymczasem doktryna podlegała dalszej obróbce przez kolejnych reformatorów. W Genewie Kalwin nie tolerował sprzeciwu, skazywał na stos każdego, kto ośmielał się formułować dogmaty inne niż jego własne. W rezultacie wkrótce „Nie słuchano już papieża, ale podążano za kwakrami, braćmi czeskimi, Knox`em i tysiącem innych, którzy dowodzili własnej niemocy do znalezienia prawdy". A dziś każe się nam przysięgać na każdym kroku, że kocha się ludzi, bo ludzie są dobrzy, i dlatego jest się zwolennikiem „różnorodności" oraz „pluralizmu" w religii. Niech każdy wierzy, jak chce!

Czy możemy się zatem dziwić, że część polskich protestantów domagała się, by rok 2012 nie był rokiem Skargi? Hasła rewolucji kulturalnej: „nie ma wolności dla wrogów wolności", „zabrania się zabraniać" – to wykwit intelektualnej degrengolady i pomieszania pojęć, które zapoczątkowała reformacja. Jak zjadliwie podsumował Erazm z Rotterdamu: „Jakim wspaniałym obrońcą ewangelicznej wolności jest Luter! Dzięki niemu jarzmo, które dźwigamy, stanie się dwakroć cięższe. Zwykle opinie zyskują ragę dogmatów".

Ksiądz Piotr Skarga z pewnością nie przesadzał, gromiąc protestancką religię, wyrosłą na niej ideologię krętactw oraz roszczenia protestantów do cieszenia się pełnią praw w państwie katolickim, jakim była Polska. Przestrzegał po prostu przed demagogią, fałszem, obłudą i hipokryzją. Nie mogły one nie niepokoić człowieka intelektualnie uczciwego, lojalnego wobec króla i Rzeczypospolitej. Dziś widać jak na dłoni, jak fatalne bywają skutki polityki państw o tradycji protestanckiej z jednej strony (zwłaszcza ojczyzny protestantyzmu, Niemiec), z drugiej – najpotężniejszego państwa prawosławnego, Rosji, podbudowującego ideologię imperializmu fałszującym chrześcijaństwo prawosławiem.

Walcząc o państwo katolickie, ks. Piotr Skarga walczył o niepodległą, wolną, silną, praworządną Rzeczpospolitą. To bardzo niepopularna dziś postawa.

Jednak gdy zważymy, że jego hasłem, jako rycerza stającego w obronie wiary i wolności Rzeczypospolitej, mogłoby być: Si vis pacem, para bellum, pocieszające jest, że słowa te zyskują właśnie w naszym kraju aktualność i stają się popularnym zawołaniem.

Ksiądz Piotr Skarga umarł w opinii świętości. Proces beatyfikacyjny Sługi Bożego został zakończony w 2016 roku; do beatyfikacji potrzebny jest jeszcze cud. ■

_____

Źródła: Krzysztof Koehler, „Piotr Skarga i Stanisław Orzechowski", Teologia Polityczna, nr 9; Krzysztof Koehler, „Dopytywanie Piotra Skargi, czyli próba opisania strategii postępowania wobec protestantów proponowanej przez Jezuitę", Litteraria Copernicana 1(15) 2015, Toruń; Janusz Tazbir, „Szermierz kontrreformacji", Warszawa 1973; Domique Bourmaud, „Sto lat modernizmu", Warszawa 2021.

eprasa.pl 84d681be0e

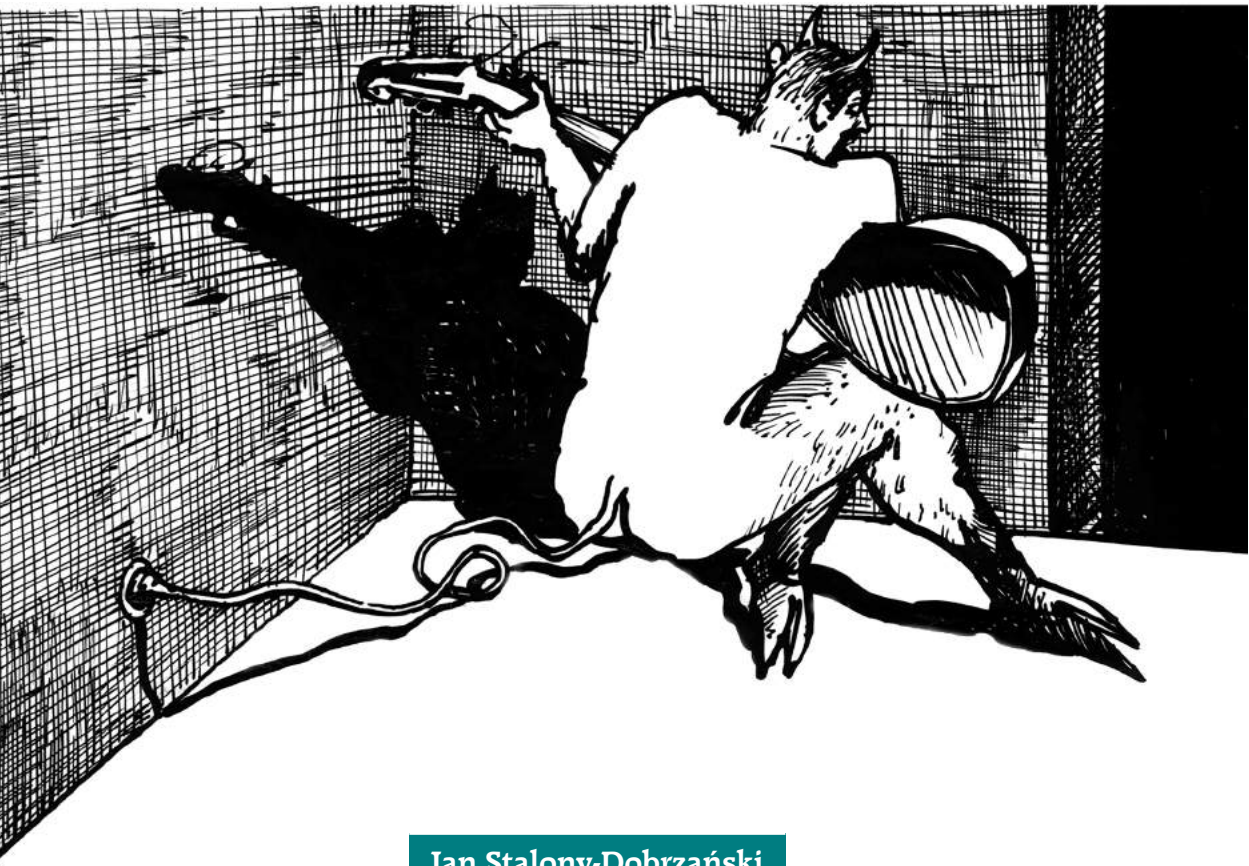

Jan Stalony-Dobrzański

Król świata, czyli ta prawdziwa teoria spisku

Jeżeli będzie nas 49 procent, to prawda nas nie wyzwoli, ale dogoni. I będziemy się snuć jak mieszkańcy Warszawy w 1944 i Mariupola w 2022 roku w morzu gruzów. Jeżeli będzie nas 51 procent, to Rosji przypadnie ten ciężko zapracowany przez nią los.

eprasa.pl 84d681be0e

Jezus pełen Ducha Świętego, powrócił znad Jordanu i czterdzieści dni przebywał w Duchu na pustyni, gdzie był kuszony przez diabła. Nic w owe dni nie jadł, a po ich upływie odczuł głód. Rzekł Mu wtedy diabeł: Jeśli jesteś Synem Bożym, powiedz temu kamieniowi, żeby się stał chlebem. Odpowiedział mu Jezus: Napisane jest: Nie samym chlebem żyje człowiek. Wówczas wyprowadził Go w górę, pokazał Mu w jednej chwili wszystkie królestwa świata i rzekł diabeł do Niego: Tobie dam potęgę i wspaniałość tego wszystkiego, bo mnie są poddane i mogę je odstąpić, komu zechcę. Jeśli więc upadniesz i oddasz mi pokłon, wszystko będzie Twoje" (Łk 4,1–13).

Kłamliwa natura Szatana

Czytanie ze rozumieniem tekstu jest sztuką o wiele trudniejszą niż sama umiejętność czytania. W świecie komunizmu nauczyliśmy się „czytać między wierszami", by wydobyć strzępy prawdziwej informacji, ale podobną umiejętność powinniśmy ćwiczyć już od zarania pisma. Bo cóż oznacza powyższy werset z Ewangelii św. Łukasza? Oto władcą „tego świata" jest Szatan.

Kto i kiedy głosi nam w coniedzielnym kazaniu tę fundamentalną, ewangeliczną prawdę, że żyjemy pod władaniem Szatana, w jego diabelskim królestwie na ziemi? Kto spod stopni ołtarza przypomina nam, że Królestwo Zbawiciela jest „nie z tego świata" ze wszystkimi tego konsekwencjami? Pierwszym był krzyż na Golgocie, kolejnym sam Kościół targany anatemami, herezjami, stosami czarownic i całą paletą wielorakich, lawendowych i innych plag, a dalej całe kłamstwo naszej rzeczywistości, które podmienia wszystkie pojęcia, przemienia wszystko w swoje przeciwieństwo. Podmienia „ewangelizację" konkwistadorów na wybicie i złupienie całych cywilizacji i kultur, podmienia zwykłą grabież i złodziejstwo w szacowne systemy bankowe, wychowywanie nieprzebranych rzesz ćwierćinteligentów w rozwój nauki i kultury, podmienia „demokracje" w rządy mafii lub „szarych eminencji", inaczej „grup trzymających władzę", odchody z różnych fast foodów w dobrodziejstwo sytości czy tak modną dziś walkę o ochronę klimatu w kolejną, neokolonialną zależność i nędzę całych narodów.

Wojna, wobec której stanęliśmy, jest tym wyjątkowym momentem, w którym Szatan przybiera swą prawdziwą postać, zrzuca swe wyszywane złotogłowiem szaty kłamstwa i staje nagi, znaczy się odziany w łuski węża. Ale i wówczas wciąż stara się kłamać, bo taka jego natura. Wojnę nazywa „operacją specjalną", podległą sobie Cerkiew rzuca na front, jako kolejny oddział specnazu. Rzeźników w mundurach ogłasza Armią Pokoju, a nawet własnych wojaków wysyła „na manewry", po czym zostawia ich truchła na placu boju pod szlachetną nazwą „nieznanych żołnierzy". Wszystko przenicowuje „na drugą stronę", stawia na głowie, zaś swoim ofiarom wmawia brak moralnego pionu.

Mamy wyjątkowe szczęście, że dziś jeszcze czyni to za naszymi granicami, ale na tyle blisko, że odór jego oddechu jest wystarczająco silny, by sprowadzić na nas odruch wymiotny, odruch uniemożliwiający nam pójście za jego „syrenim śpiewem". Ci, którzy stoją nieco dalej, już nie mają tego fartu, już z telefonu Macrona wydzwaniają do Bestii, z nadzieją na jakieś porozumienie, już liczą straty swej sakiewki i histerycznym głosem Berlusconiego domagają się natychmiastowego zniesienia sankcji. A jeszcze nawołują Ukrainę apelem Kissingera do rzucenia ochłapu wściekłemu psu, a może nażre się i wróci do budy. Nie naje się i nie wróci do budy, bo mamy przed sobą wiecznie głodnego Szatana, którego brzuch jest bardziej pusty niż przestworza kosmosu.

Kto ma uszy, niech słucha!

Proponuję w tej sytuacji rozpatrzyć przyjęcie za możliwą globalnej „teorii spisku". Nie spiskowych teorii tego czy owego, produkowanych masowo dla odwrócenia uwagi od tej jednej, prawdziwej, wszechogarniającej i wszechobecnej teorii spisku, która pod batutą Szatana obejmuje całe nasze życie od kołyski po grób. I dopiero z jej perspektywy wszystkie nasze pytania otrzymują wreszcie wyczerpującą odpowiedź.

Czemu nasze życie podobne jest do klatki z chomikiem – biegniemy w nim jak szaleni, wciąż stojąc w miejscu? Czemu w ludzkiej dżungli najczęściej trafiamy na rodzonych braci-Kainów, gdy wokół tyle pozornie uśmiechniętych twarzy? Czemu prawo, które ma nas chronić, zawsze jest niezrozumiałe, a jeszcze działa przeciwko nam? Czemu co pokolenie musimy odbudowywać ze zgliszczy wszystko od nowa? Czemu, czemu, czemu...

Mamy wyjątkowe, dziejowe szczęście, że kurtyna na moment opadła i przed nami stanęła cała ta, nie „Nieboska" i „Nieludzka", a czysto „Diabelska komedia", a my siedząc bezpiecznie w loży dla VIP-ów, możemy oglądać ów spektakl ze wszystkimi, najdrobniejszymi detalami. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości mamy przed sobą online życiową rolę Szatana w przestrzeni równie realnej, jak i medialnej agresji. Dawniej ci, mający przed oczyma „na żywo" jego pracę, najczęściej nie dożywali jej końca. My,

Ilustracja: Antoni Chodorowski

eprasa.pl 84d681be0e

póki co, żyjemy i możemy dokładnie odrobić tę lekcję.

Teoria spisku? A więc kto po radosnej wiośnie ludów, rozpadzie ZSRS, zrzuceniu komunistycznego jarzma mozolnie rozpoczął odbudowę Imperium Zła? Ruscy, a może Niemcy i spółka? Co zaoferowała Rosja Niemcom za swe tanie ropę i gaz? Może wspólne usunięcie USA z europejskiego kontynentu, a dalej dowolne łupienie Mitteleuropy? A kto rozparcelował Jugosławię, by odbudować „miękkie podbrzusze Europy" i zarządzać tym bałaganem? Kto po upadku komunizmu przez kolejne dziesięciolecia tak zachwalanego kapitalizmu i demokracji pracował „w pocie czoła", by stać się wiernym klientem second handów i najtańszych fast-foodów? A w czyim interesie przez 30 lat USA nie pilnowały własnych spraw, przegapiły rosnącą potęgę Chin i Rosji i dziś stanęły na krawędzi katastrofy? Dla kogo nie dostrzegły na czas potencjału Trójmorza i pozwoliły na krańcowe osłabienie Ukrainy? Ukrainy, której dały „żelazne" gwarancje, gdy ta w odruchu szaleństwa oddawała Rosji swój jądrowy arsenał. Komu potrzebna była arabska „wiosna ludów", upadek Syrii i Libii, a dalej miliony islamskich, ekonomicznych uchodźców w Europie witanych otwartymi ramionami przez kanclerz Merkel i otwartymi udami przez niemieckie, francuskie, włoskie i szwedzkie dziewczęta? Do czego potrzebne są tęczowe tabuny, gdy mężczyźni porzucają swe role ojców rodzin, a kobiety może by i chciały, ale nie mają komu rodzić dzieci? W imię jakich celów promuje się raje singli i walczy z rodzącym alkoholizm „ciemnogrodem 500 plus"? Jakimi drogami powstały w kilka miesięcy w krajach Europy Wschodniej miliardowe fortuny jakichś szemranych „oligarchów"? W imię czyich celów UE pragnie zatopić ekonomicznie Polskę, a jeszcze próbuje zmusić Ukrainę do bezwarunkowego złożenia broni?

I to wszystko tak samo z siebie? Alleluja! Kto ma uszy, niech słucha! A kto cierpi na niedowidzenie i niedosłyszenie, niech pozostaje w błogim przeświadczeniu, że międzynarodowe traktaty, że niewidoczne prawa rynku, że gwarancje bankowe i temu podobne bzdury istnieją i obowiązują kogokolwiek. Niech obudzi się od huku rosyjskich rakiet i z ciepłej pościeli niech od razu trafi do kostnicy, jeżeli taka jeszcze ocaleje.

▶ Nasza siła jest w słabości Szatana

Mamy jak na dłoni ów obraz, który tak rzadko pojawia się przed naszymi oczyma, wojna na moment rozwiała mgły manipulacji i odsłoniła obraz pobojowiska ludzkiej kultury i cywilizacji. Jeszcze przez chwilę stoimy na „wieżach widokowych" pośród rzezi prowadzonej u naszych stóp. Mamy szansę oprzytomnieć i przyjąć za prawdę teorię powszechnego spisku, która wskazuje prawdziwego, samowładnego króla „tego świata". Mamy szansę zjednoczyć się, przywdziać zbroję i dobyć oręż, widząc wreszcie naszego wszechobecnego wroga. Wroga, który manipuluje, dzieli i podjudza wszystkich wobec wszystkich. Wroga, który namawia nas do dbania o wyłącznie własne bezpieczeństwo, o rezygnację ze szlachetności i wsparcia dla Ukrainy, który gardłowaniem niezliczonych trolli tak w Internecie, jak i Sejmie i Senacie stara się podać Polskę na talerzu Unii Europejskiej, Niemcom i Rosji. We wrześniu 1939 roku też opadły maski, ale wówczas to my byliśmy na scenie i mogliśmy co najwyżej doświadczać własnej katastrofy. Dziś jesteśmy na widowni, ale widząc cudzą katastrofę, powinniśmy otrzeźwieć i z naszej, jeszcze przez chwilę bezpiecznej, pozycji już zmieniać reguły gry tego spektaklu. Bo kurtyna jest bardzo przestrzelona i lepiej będzie, by ów teatr, który może się przenieść na widownię, prowadzony był dalej według naszego scenariusza.

Teoria, a dzisiaj jakże wyraźna praktyka spisku, to prawda, która może nas wyzwolić. Pozwoli spojrzeć na rzeczywistość i podjąć z nią grę na naszych warunkach. Dziwne prawa demokracji stanowią, że wystarczy 51 proc. widzących, a całość, w tym niedowidząca część, populacji ma szansę na ocalenie. Trzeba obnażać kłamstwa Szatana, te ze Wschodu i te z Zachodu, nawet drażnić jego sługi, aby jak niemieccy i hiszpańscy „intelektualiści" na głos wypowiadali swoje bezczelne postulaty. Nasza siła jest w słabości Szatana, wygrywa bitwy, lecz przegrywa wojny. Opiera się na zacietrzewionych zdrajcach, trzeba prowokować, a dalej zbierać i podlewać „kwiatki" naszych złotoustych proeuropejskich elit. Niech mówią, mówią, mówią. Niech popełniają swe polityczne harakiri! Są tak blisko wygranej, już kwota zbliża się do 49,5 proc. Muszą więc podnieść głos, wykrzyczeć kolejne bzdury. Pamiętajmy też, że chcąc ukryć swój prawdziwy spisek z Szatanem, nieustannie stawiają za sobą zasłonę dymną w postaci sztucznych „teorii spiskowych". Całe zło świata zrzucając na „ślad węglowy", szczepionki, rodzinę i tym podobne „katastrofy".

Jeżeli będzie nas 49 proc., to prawda nas nie wyzwoli, ale dogoni. I będziemy się snuć jak mieszkańcy Warszawy w 1944 i Mariupola w 2022 roku w morzu gruzów. Jeżeli będzie nas 51 proc., to Rosji przypadnie ten ciężko zapracowany przez nią los. ■

eprasa.pl 84d681be0e

FOT. TWITTER

Małgorzata Matuszak

Nowe oblicze sekularyzacji?

Pojęcie transgresji, oznaczające przejście, postawę prowadzącą do podejmowania wyzwań, pokonywania barier, samo w sobie jest wartością pozytywną. Dzisiaj jednak poszerzyło się o kategorię stawania się sobą nawet za cenę przekraczania granic własnego gatunku. Upodabnianie się do psa czy kota może dziwić, szokować, śmieszyć. Jeśli jednak człowiek w swej egzystencji odcina się o tego, co ludzkie, to co mu zostaje?

Przekraczanie siebie – to odwieczne pragnienie człowieka. Jako byt osobowy, czuje się ograniczony do tej jednej swojej postaci, która została mu dana, i próbuje przekroczyć swoją ograniczoność, swoją ludzką kondycję. Pragnie przekroczyć swoją skończoność, wykroczyć poza to, kim jest, by stać się kimś więcej niż jest. Co jednak, kiedy wmawia się mu, że nie ma nic powyżej? Kiedy tęsknota za czymś Innym wciąż dotkliwie tkwi w człowieku i jednocześnie za czymś, co transcendentne, zostaje radykalnie stłumiona? Pozostaje tylko przekraczanie granic w dół, poniżej siebie. Współcześnie nazywa się tę tęsknotę formą transgresji – przekraczaniem naturalnych i kulturowych „przesądów" dotyczących człowieka. Transhumanizm łamie „stereotypy" na jego temat. Co bowiem, jeśli ktoś zechce przekroczyć człowieczeństwo ku zwierzęcości?

Pies to największy przyjaciel człowieka

Niektórzy biorą to sobie głęboko do serca. Do tego stopnia, że chcą się do niego upodobnić tak dalece, jak to możliwe. Pewnego Brytyjczyka, Kaza Jamesa, w ludzkiej postaci zobaczyć można tylko w sklepie w Salford, którego jest kierownikiem. Po pracy Kaz zakłada na siebie specjalnie wykonane z kauczuku stroje (koszt to około 400 funtów, choć jeden był droższy – kosztował kilka tysięcy, bo pokryty jest specjalną sierścią), maski, psie smycze, a nawet psie garnitury szyte na miarę. I zaczyna wieść psie życie. Lubi zatem wylegiwać się na kanapie, poszczekać na ludzi, nosić w zębach różne rzeczy (szczególnie kości), jeść ze swojej miski (nie psie jedzenie, choć niektóre psie przysmaki uważa za całkiem smaczne). Twierdzi, że psem czuł się już od dawna, właściwie od dzieciństwa, jednak tłumił swoje „prawdziwe skłonności". Jak mówi: „Po raz pierwszy usłyszałem termin »bycia szczenięciem« od »szczeniaka«, którego poznałem online. Następnie poznałem inne »szczenięta« i nauczyłem się zupełnie nowego języka". Jako dorosły już mężczyzna postanowił odkryć swoją „prawdziwą tożsamość" i teraz czuje się szczęśliwy. Mówi: „Nigdy nie czułem się jak człowiek. Zawsze czułem się jak pies, co było trochę dziwne. Gdy pokazałem innych human pups, w końcu poczułem się sobą. Moi przyjaciele wiedzą, że nigdy nie przywitam się z nimi normalnie – podając rękę czy przytulając. Witam się jak pies. Gryzę ich, liżę. Od zawsze tak było". Dodaje też: „Nie jem przy stołach ludzi, kiedy idę do przyjaciół. Mogę być normalną osobą w restauracji. Jestem wyszkolony i potrafię radzić sobie z ludźmi, ale nie podoba mi się to. To sprawia, że czuję się nieswojo". Kaz James napisał też książkę zatytułowaną „How to train a human pup", czyli „Jak wytresować ludzkie szczenię".

Ostatnio usłyszeć można było o Japończyku, który znany jest na Twitterze jako @toco_eevee. Toko fascynuje się psami, w szczególności rasy border collie, i zapragnął stać się jednym z nich. Jego kostium, który kosztował 2 mln jenów, pozwolił mu zrealizować mu tkwiące w nim od lat pragnienie – bycie psem, collie właśnie. Nie było to łatwe. Pracownik tokijskiej firmy Zeppet, która robi modele i kostiumy m.in. na użytek branży filmowej, telewizyjnej i reklamowej, przez 40 dni zmagającej się z wyzwaniem mającym zrealizować pragnienia Togo, mówi: „Bardzo długo pracowaliśmy nad tym, aby szkielet psa, który jest zasadniczo odmienny, mógł być zastąpiony szkieletem człowieka. Ponadto analizowaliśmy zdjęcia zrobione pod różnymi kątami, aby można było odtworzyć piękną sierść collie i zaprojektować ją tak, aby naturalnie falowała w ruchu". Istotnie, efekt jest zadziwiający. Togo umieszcza na YouTubie filmiki, na których można zobaczyć, że Togo zachowuje się jak pies, przewraca się, ociera brzuchem i podaje łapę, poddaje się tresurze, gania za piłką, bawi się z maskotką. I wydaje się szczęśliwy, kiedy inni, widząc go w przebraniu, przekonani są, że mają do czynienia z prawdziwym psem. W krótkim czasie zyskał imponującą oglądalność.

Społeczność „human pups". Krok dalej

Jenna Phillips, 23-latka z Austin w Teksasie, od najmłodszych lat – jak sama twierdzi – utożsamiała się z psami i do perfekcji opanowała naśladowanie szczeniąt. Pewnego dnia trafiła na konwent fetyszystów w Chicago, podczas którego grupa mężczyzn bawiła się w zwierzęta. W tym momencie, jak mówi, zrozumiała swoje przeznaczenie. Jeszcze będąc na stażu założyła konto na stronie OnlyFans, gdzie użytkownicy za dostęp do jej treści muszą płacić 20 dolarów abonamentu miesięcznie. Kiedy jej konto zaczęło zdobywać coraz większą popularność, w pewnym momencie swego życia zrezygnowała z pracy w zakładzie optycznym i postanowiła oddać się w pełni swojej pasji. Na jej profilu „thatpuppygirl" zaczęły pojawiać się bardziej perwersyjne treści. „Większość społeczności szczeniąt stanowią homoseksualni mężczyźni. [...] Wiem, że jest na to popyt, więc dlaczego mam z tego nie skorzystać? Teraz to moja praca na pełen etat. [...] Miesięcznie zarabiam sześciocyfrowe sumy" – mówi.

Jenna umieszcza na Tik-Toku filmiki, na których aportuje, wyławia piłeczkę wrzuconą do wody, prosi swojego „pana" o danie smakołyka, pije wodę z metalowej miski czy jest wyganiana do budy. Tworzy nagrania na żądanie i za odpowiednią opłatą. Tym większą,

eprasa.pl 84d681be0e

im bardziej perwersyjny to filmik. Mówi: „Dzięki swoim działaniom poznałam wielu przyjaciół. Mężczyźni i kobiety dziękowali mi za to, że reprezentuję ich społeczności". Najwięcej, ile udało się jej zarobić na jednym nagraniu, to 1200 dolarów. Zarzeka się jednak, że nigdy nie przekroczy granicy, jaką jest dla niej wystąpienie na jednym filmiku wraz z innym zwierzęciem.

W rozmowie z portalem Unilad Jenna Phillips stwierdziła: „Czuję się jak pies. Chcę się tarzać, aportować i być drapana po głowie. Zawsze zachowywałam się jak szczeniak, ale z początku nie miało to podłoża seksualnego. Naprawdę kocham być chwalona. Uwielbiam słyszeć, gdy ktoś zwraca się do mnie »dobra dziewczynka«. To miód na moje serce". Kobieta cieszy się, że udało się jej połączyć swoją pasję z pracą. Twierdzi, iż nigdy nie uważała swojego zachowania jako coś nienormalnego i nienaturalnego, dla niej bowiem „bycie psem" stanowi integralną część jej osobowości. Dodaje również: „Nawet gdy jestem poza kamerą, to publicznie też uwielbiam chodzić na smyczy. Nikt nigdy na to nie reagował. Reakcje pojawiły się dopiero w sieci".

Można też być kotem

Kilka lat temu głośno było o pochodzącej z Oslo w Norwegii 21-letniej kobiecie o imieniu Nano, która twierdziła, że cierpi na dziwną przypadłość z powodu wady genetycznej i że urodziła się w zupełnie niewłaściwym gatunku. Uważa bowiem, iż jest kotem uwięzionym w ludzkim ciele. Po raz pierwszy, jak mówi, zdała sobie z tego sprawę, gdy miała 16 lat, a z jej słów wynika, że nastąpiło to dzięki pomocy lekarzy i psychologów. Swój wywiad dla NRK P3 Verdens Rikeste Land zaczyna od serii „miauków". By zewnętrznie upodobnić się do kota, nosi parę spiczastych uszu, sztuczny długi ogon, na dłonie zakłada duże, bladoróżowe, puchate łapki.

W trakcie trwania wywiadu Nano chodzi po podłodze na czworaka, niczym kot drapie ręką we framugę i zachowuje się, jak kot pragnący wyjść na zewnątrz. „To również oczywiste, że jestem kotem, kiedy zaczynam mruczeć i miauczeć. Chodzę na czterech łapach i takie tam" – mówi. Stwierdza również, że posiada cechy podobne kotom – czuje niechęć do wody (twierdzi: „Nienawidzę wody. Z wodą to jest tak, jakbyś miał instynkt, by umyć sobie twarz i tak dalej"), uwielbia spać w zlewie i na parapecie – i że jej zmysły słuchu i wzroku są bardziej wyczulone niż ludzkie, dzięki czemu słyszy i widzi dużo lepiej niż zwykli ludzie. Jednak polowania jej nie wychodzą, chociaż jak mówi: „W ciemności widzę lepiej niż w świetle dziennym. To żaden problem. Dużo biegałam za zwierzętami, które można zobaczyć w cieniu".

Jak przystało na kota, Nano jest nieufna wobec innych zwierząt, szczególnie psów. Kiedy wraz z prezenterką, jak widać na nagraniu, idzie na dworzec w Oslo, cofa się o krok i zaczyna syczeć. Wyjaśnia: „Tam jest pies. [...] czasem syczę, kiedy spotykam psy na ulicy. To z powodu ich zachowania, a mój instynkt automatycznie reaguje syczeniem". Nawet ze swoim przyjacielem Svienem często rozmawia „po kociemu" – „miauczą" do siebie nawzajem i nawzajem swe „miauki" rozumieją.

Kiedy reportaż o Nano się ukazał, młoda kobieta, choć kocie cechy i zachowania towarzyszyły jej znacznie dłużej, od 5 lat żyła z pełną świadomością tego, że jest kotem. I chociaż opisuje swój sposób życia jako wyczerpujący, to przekonuje, że zamierza przeżyć tak resztę swojego życia: „Mój psycholog powiedział mi, że mogę z tego wyrosnąć, ale wątpię w to. Myślę, że przez całe życie będę kotem".

Nieadekwatne utożsamienie

Analizując te przykłady, można zadać sobie pytania – czy w dzisiejszych czasach nie potrafimy już czerpać radości z naszego duchowego wnętrza, lecz musimy odwoływać się do czegoś zewnętrznego i obcego? Czy tęsknota za byciem kimś więcej niż bycie człowiekiem, musi kierować się w takim właśnie kierunku? Współczesne możliwości powodują, że człowiek sięgać może po środki niedostępne wcześniej i może realizować siebie, w świecie bez ograniczeń, w sposób niewywołujących dlań skutków negatywnych. Wręcz przeciwnie. Odzew na tego typu performance jest w większości pozytywny.

Budowanie performatywnych tożsamości wpisuje się w tendencje nowoczesności. Dla współczesnego Zachodu sama zmiana stała się wartością pozytywną. Skoro można kreować własną płeć, dlaczego nie można byłoby utożsamiać się ze zwierzęciem? Zabawa własną cielesnością, traktowanie ciała jako tworzywo do ekspresji, wyrażania siebie stało się dzisiaj w jakiś sposób normą.

Pojęcie transgresji oznacza przejście, przemieszczenie, postawę prowadzącą do podejmowania wyzwań, pokonywania barier. Sama w sobie jest więc wartością pozytywną, prowadzi bowiem do przekraczania granic niewiedzy, odkrywania i poznawania tego, co dotychczas pozostawało przed ludźmi ukryte. Dzisiaj transgresja poszerzyła się o kategorię stawania się sobą, nawet wtedy, gdy przekraczane są w niej granice własnego gatunku. Upodabnianie się do psa czy kota może dziwić, szokować, śmieszyć. Jeśli jednak człowiek w swej egzystencji odcina się o tego, co ludzkie, to co mu zostaje? ■

eprasa.pl 84d681be0e

Piotr Lisiewicz

Rząd dusz, barwy i niemiecka bramka

W marcu 2022 roku w zbiorach Muzeum Hutnictwa w Chorzowie dokonano sensacyjnego odkrycia. Odnaleziony został dokument dowodzący, w jakich okolicznościach powstał klub sportowy Ruch Chorzów. Na maszynie do pisania wystukane zostały w 1920 roku tajemnicze słowa: „W odpowiedzi na pismo Pana z dnia 29 III. b.r. uprasza się posłać do tutejszej sekcji sportowej, Hotel Lomnitz pokój 39, zaufanego człowieka i upoważnić go do odbioru żądanego wsparcia finansowego". Przybrudzone dziś pismo Polskiego Komitetu Plebiscytowego wysłane zostało do Teofila Paczyńskiego i dotyczyło przyznania pieniędzy polskiemu klubowi Ruch Hajduki Wielkie. Teofil Paczyński, restaurator, powstaniec śląski, wielki polski patriota, wróg germanizacji, został prezesem klubu, którego celem była walka o polskość Śląska.

eprasa.pl 84d681be0e

FOT. ARCH.

eprasa.pl 84d681be0e

Najpierw osobista anegdota. Pamiętam, jak mój starszy kolega z redakcji „Gazety Polskiej" Jacek Kwieciński traktował – do pewnego czasu – z dużą rezerwą ruch kibicowski. Podejrzewał nas, w tym mnie, kibica Lecha, o zamiłowanie do chamstwa, no i ogólnie brak ogłady, w czym rzecz jasna było nieco prawdy. Pewnego dnia Jacek powiedział mi – by zaznaczyć swoją odrębność od współczesnych czasów: „Ja jestem kibicem, ale nie takim jak wy! Jestem kibicem Ruchu Hajduki Wielkie! Wiesz w ogóle, o czym mowa?". Coś tam wiedziałem...

Do tego, że kibice jednak są ważni, Jacek przekonał się w momencie, gdy zobaczył stadionowe oprawy o Żołnierzach Wyklętych. Był synem podpułkownika Wincentego Kwiecińskiego, pseudonim „Głóg", prezesa III Zarządu Głównego Zrzeszenia Wolność i Niezawisłość, czyli WiN, pośmiertnie odznaczonego Orderem Orła Białego przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego. Nie wiem, czy kibicowi Ruchu Hajduki Wielkie stanęła w oku łza, gdy zobaczył te oprawy, wiem, że przyszedł i spokojnie powiedział mi, że to będzie miało znaczenie. Na pewno nie w najbliższych wyborach, ale później, w historii. Oczywiście znowu miał rację. Od śmierci Jacka minęło 10 lat, a ja mam w głowie jego słowa, gdy piszę tekst o założycielu Ruchu Hajduki Wielkie...

Apel Korfantego

Wbrew obawom Jacka, kibice dojrzeli do realizacji swojej misji i dziś sami dokumentują historię swoich klubów. Oto 27 stycznia 1920 roku Polski Komisariat Plebiscytowy na Górny Śląsk wystosował apel, w którym nawoływał do tworzenia nowych klubów sportowych. Miały one odegrać dużą rolę przy okazji plebiscytu dotyczącego przynależności Śląska do Polski lub Niemiec. „Na Śląsku trwała prawdziwa walka o »rząd dusz«, toteż często organizowano tu mecze z udziałem polskiej czołówki. Była to wspaniała propaganda polskości" – tak pisał o tym Wojciech Korfanty.

Większość Górnoślązaków nie posiadała skrystalizowanej świadomości narodowej i dlatego trzeba było w nich obudzić polskość. Głównym inicjatorem i pomysłodawcą tworzenia owych klubów był Alojzy Budniok, któremu już poświęciłem szkic na łamach „Nowego Państwa". Natomiast za organizowanie klubu w Hajdukach odpowiedzialny był Teofil Paczyński. Dlaczego? Oprócz faktu, że był komisarzem Polskiego Komisariatu Plebiscytowego w Hajdukach/Bismarkhucie, znaczenie miała jego tradycja rodzinna.

Hrabiowskie Hajduki

Teofil Paczyński urodził się w 1876 roku w Śremie. Jak czytam w „Historii Ruchu Chorzów", miał on za sobą „nieukończoną naukę w gimnazjum i szkołę handlową, a także trzyletnią służbę w 47. Pułku Piechoty w Poznaniu". Mieszkał w Berlinie, Hamburgu i Szczecinie, ale osiąść postanowił na Górnym Śląsku. Handlował tekstyliami, artykułami pasmanteryjnymi, jednak do patriotycznej historii Polski miała przejść jego restauracja.

Paczyński nadawał się na polskiego, patriotycznego przywódcę, bo pochodził ze starego górnośląskiego rodu hrabiowskiego, władającego przez ponad dwieście lat Hajdukami, które w przyszłości miały stać się częścią Chorzowa, a konkretnie dzielnicą Chorzów Batory.

Po polskiej stronie

Jak wynika z zachowanych dokumentów, 3 kwietnia 1920 roku na pierwszym zebraniu organizowanym przez Paczyńskiego w sprawie utworzenia nowego klubu w Hajdukach/Bismarkhucie obecni byli: Jan, Józef i Franciszek Bartoszkowie; Bernard i Augustyn Skopowie oraz August Kiołbasa. Uchwalono wówczas datę zebrania konstytucyjnego, czyli mającego wybrać zarząd nowego klubu, na 20 kwietnia 1920 roku. Odbyło się ono w Domu Związkowym w Hajdukach/Bismarkhucie i wzięło w nim udział 40 osób.

Na zebraniu założycielskim wybrano nazwę klubu „Ruch". Jej pomysłodawcą był Edward Supernok. Nawiązywała ona do śląskich ruchów powstańczych. Jako barwy klubowe przyjęto na zebraniu założycielskim kolory: niebieski i biały.

W konflikcie dotyczącym przynależności państwowej Ślązaków, twórcy Ruchu opowiedzieli się po polskiej stronie. Nie przypadkiem pierwszy mecz rozegrano 3 maja 1920 roku, w dniu uchwalenia Konstytucji 3 maja. W powstaniach śląskich zginął bramkarz klubu Brol, a w walkach uczestniczyli także Józef i Jan Bartoszkowie, Józef Wieczorek, Sylwester Golasz czy Wilhelm Kałuża.

Pod Białym Orłem

Historię Teofila Paczyńskiego przywracają autorki znakomitej serii książek „Sportowcy dla Niepodległej". Katarzyna Janiszewska, Magdalena Stokłosa i Aleksandra Wójcik opisały ją w jej czwartym tomie, zatytułowanym „Sportowcy dla Niepodległej. Opowieść na rok powstań śląskich".

eprasa.pl 84d681be0e

Wspominają one ogłoszenie, jakie Paczyński zamieścił w legendarnym czasopiśmie, czyli walczącym z germanizacją „Katoliku". Pisał w nim: „Staraniem mojem będzie odbiorców moich dobrze i rzetelnie obsłużyć. Proszę zatem rodaków kochanych interes mój popierać, pozostaję z wysokim szacunkiem".

Restaurację Paczyńskiego charakteryzują: „Pod Białym Orłem to coś więcej niż lokal gastronomiczny. Gospoda staje się miejscem przyjaznym działaczom propolskich organizacji. Klienci zaopatrują się tu w trunki i tytoń, ale również wynajmują sale na zebrania czy biesiadują na popularnych w regionie świniobiciach z degustacją wyrobów mięsnych, na które zaprasza właściciel. Na tamte czasy to był bardzo majętny człowiek. Mieszkał sobie na piętrze, a na parterze miał restaurację. Tuż obok była też rozlewnia piwa pana Sitki. Może nawet robili wspólne interesy".

Paczyński nadawał się na polskiego, patriotycznego przywódcę, bo pochodził ze starego górnośląskiego rodu hrabiowskiego, władającego przez ponad dwieście lat Hajdukami, które w przyszłości miały stać się częścią Chorzowa, a konkretnie dzielnicą Chorzów Batory.

Piszą o walce żywiołu polskiego z niemieckim, iż Bismarckhütte, do 1903 roku funkcjonująca pod nazwą Górne i Dolne Hajduki, za Niemca rozkwita. „Huta pracuje pełną parą, bez przerwy wyjeżdżają stąd pociągi wypełnione wyrobami ze stali. Miasto jest bogate: jeżdżą tu tramwaje, świecą latarnie, rozkwita niemieckie życie społeczne, kulturalne i sportowe". Przy owych niemieckich zakładach powstaje Bismarckhütter Ballspiel Club (BBC).

Ale w tym czasie drużyny organizowane są też na dziko, na placach i ulicach. „Polacy nie stronią od piłki, zasilają również szeregi Towarzystwa Gimnastycznego »Sokół«, w którym działa Paczyński" – czytamy. Jak stwierdzają, to niejedyna propolska aktywność restauratora. „Ponoć ma on głos jak dzwon, zapisuje się więc do polskiego chóru Słowiczek" – stwierdzają. Dodajmy, że w tamtym czasie towarzystwa śpiewacze odgrywały daleko większa rolę, niż muzyczne, biorąc udział w propagandzie polskości.

„Paczyński, jak tysiące Polaków, dostał powołanie do armii niemieckiej i wyruszył na front. W pruskim wojsku doszedł do stopnia sierżanta. Co istotne, służba w zaborczej armii stała się dla niego bodźcem do szerzenia idei polskiej akcji narodowej" – piszą autorki „Sportowców dla Niepodłej".

Przegrane powstanie

Pojawia się w owej książce opis I powstania śląskiego. Jak piszą, poważna groźba aresztowania sprawiła, że Paczyński uciekł do Sosnowca, gdzie zaciągnął się do 7. Batalionu Strzelców, przekształconego w 1. Pułk Strzelców Bytomskich. Nielegalnie przedostał się do Świętochłowic.

Powstanie wybuchło 16 sierpnia 1919 roku. Paczyński wziął w nim udział. Powstaniec Józef Biniszkiewicz na łamach „Robotnika Śląskiego" tak wspominał ten moment: „Punktualnie o godz. 12 dała się słyszeć od Zawodzia strzelanina rewolwerów i karabinów oraz huk granatów. W ślad za tem przejechały koło mych okien dwa samochody ciężarowe z jakąś sotnią Grenzschutzu. Rozpoczęła się piekielna strzelanina, która wkrótce osłabła".

Po pewnym czasie stało się jasne, że powstanie nie wygra. Pisał Biniszkiewicz: „O godz. 4 rano wpadł do mego mieszkania pan Paczyński z Wielkich Hajduk, cały zdyszany, wołając: »Uciekajcie do Sosnowca, bo wszystko przegrane«".

Paczyński wrócił do Sosnowca. Jak piszą Janiszewska, Stokłosa i Wójcik, Polaków „po klęsce pokrzepiały wydarzenia takie jak ślub powstańca, który swoją wybrankę poznał w trakcie walk". Na weselu honory czynił – zapewne dlatego, że cieszył się dużym poważaniem – Teofil Paczyński. Wydarzenie relacjonowano na łamach czasopisma „Ziemia Śląska" następująco: „Jeden z rodaków gliwickich zapoznał się z pewną panną z Czerwonego Krzyża, pokochał ją, a ona jego i – 26-go listopada odbył się ślub. Wielka to była uroczystość, w której cały niemal Sosnowiec i wszyscy uchodźcy brali udział. Komisaryat wysłał przed dom młodej pary swój samochód, w którym nowożeńców odwieziono do wspaniałego

eprasa.pl 84d681be0e

miejscowego kościoła, gdzie związek małżeński pobłogosławił miejscowy ks. proboszcz. Wieczorem odbyła się w »Lutni« zabawa. Ks. Pośpiech i p. Paczyński w serdecznych słowach przemówili do młodej pary".

Jedna piłka, sześć par butów

W styczniu 1920 roku polscy działacze plebiscytowi ogłosili wspomniany apel, w którym zachęcali do tworzenia polskich klubów sportowych. Teofil Paczyński nie miał łatwego zadania, bo wśród miejscowej społeczności polskość była słabo zakorzeniona. Robotnicy pozostawali pod silnym wpływem swojego niemieckiego pracodawcy – Huty Bismarcka.

Paczyński uznał, że miejscowość potrzebowała silnej polskiej drużyny piłkarskiej. Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej": „Niektórzy tylko czekali na zaproszenie, bo dotąd swoją piłkarską pasję realizowali w iście partyzancki sposób. Wilhelm Kałuża, jeszcze jako 14-letni Wiluś, zebrał drużynę, lecz nie miał ani boiska, ani piłki. Zwołał chłopaków, by wspólnie uprzątnęli plac przed dyrekcją huty, a piłkę kupił na kredyt. Spłacił go częściowo dzięki sprzedaży złomu, a częściowo... z wynajmu. Udostępniał piłkę do kopania na 10 min za 5 fenigów16. Teraz Kałuża stał się zawodnikiem Ruchu – bo taką nazwę przyjął nowy klub sportowy w Bismarkhucie".

„Jedna piłka, sześć par butów i za niska bramka" – tak o sytuacji materialnej polskich piłkarzy piszą autorki. Opis oddaje koloryt tamtych czasów: „Największą bolączką pozostawał brak miejsca do gry. Zawodnicy przychodzili kopać piłkę na plac targowy (dziś nieistniejący), co czasem prowadziło do zabawnych sytuacji. Mecze rozgrywano w niedziele, wolne od pracy i niehandlowe. Ponieważ plac leżał na trasie do kościoła, ludzie tłumnie tamtędy przechodzili, nie zważając, że właśnie wkraczają na boisko i przeszkadzają w grze. Nieraz rozgrywki urozmaicały program odpustu: piłkarze biegali pomiędzy karuzelą a strzelnicą, ku uciesze dorosłych i dzieci uczestniczących w nabożeństwach".

Ale potem nastąpił poważny postęp, bo „gmina wyraziła zgodę, by BBC udostępniał polskim piłkarzom swoje boisko »na Kalinie«, zwane Hasiokiem. Obowiązywał jednak limit dwóch meczów w miesiącu, co oczywiście w żaden sposób nie zaspokajało potrzeb piłkarzy. Wracali więc na plac targowy, gdzie za każdym razem od nowa montowali bramki, przechowywane na co dzień w gospodzie Paczyńskiego. Poza sprawozdawcami sportowymi nikomu nie przeszkadzało, że słupki są o co najmniej 20 cm za krótkie".

Bismarkhuta odbita

Jak stwierdzali organizatorzy akcji, ważniejsze od problemów technicznych było to, jak przekonać Polaków, by zasilili drużynę, a w dalszej perspektywie – by w plebiscycie decydującym o przynależności Górnego Śląska zagłosowali za Polską.

W nocy z 19 na 20 sierpnia 1920 roku wybuchło II powstanie śląskie. Niestety, powstańcom nie udało się opanować Bismarkhuty, niemniej główny cel zrywu – usunięcie z terenu objętego plebiscytem Sicherheitspolizei, która notorycznie atakowała Polaków i ochraniała niemieckie bojówki – został osiągnięty. Jak piszą autorki książki, ówczesne działania m.in. Paczyńskiego, poniosły porażkę – w plebiscycie w Bismarkhucie większość głosujących, ponad 60 proc, opowiedziała się za Niemcami.

III powstanie śląskie wybuchło z 2 na 3 maja 1921 roku. Paczyński był komendantem placu w Bismarkhucie. Aż 17 zawodników Ruchu chwyciło za broń, dwóch członków klubu poległo. „Powstanie zakończyło się polskim zwycięstwem. Bismarkhuta została przyznana Polsce, co przypieczętowano w sposób symboliczny: 19 czerwca 1922 r. w drodze uchwały Sejmu Śląskiego miejscowość otrzymała nazwę Hajduki Wielkie. Tydzień później Teofil Paczyński, pełniący funkcję gminnego ławnika, witał pododdział Wojska Polskiego obejmujący miejscowość w imieniu Rzeczypospolitej. Po przemówieniu wygłoszonym przez niemieckiego burmistrza mszę polową odprawili polscy księża" – tak opisują to zwycięstwo autorki „Sportowców dla Niepodległej".

Ale relacje sportowe były nadal skomplikowane. W styczniu 1924 roku doszło do połączenia polskiego Górnośląskiego Związku Okręgowego Piłki Nożnej z niemieckim Wojewodschaft Verband. Kluby uznawane za niemieckie, a działające na polskim Górnym Śląsku, zostały dokooptowane do polskich rozgrywek. O połączeniu obu hajduckich klubów (Ruchu i BBC) pertraktowano od chwili przyłączenia Wielkich Hajduk do Polski w połowie 1922 roku. Rokowania przeciągały się, bo działacze BBC nie chcieli zaakceptować nazwy Ruch jako właściwej dla połączonych klubów. Znaleziono wreszcie sposób na wyjście z impasu: powzięto decyzję, że o nazwie zdecyduje walne zebranie członków obydwu klubów. Owo historyczne zebranie odbyło się 7 stycznia 1923 roku i w jego wyniku zawarto kompromis. Klub występował odtąd w rozgrywkach jako Ruch BBC Wielkie Hajduki. W ten też sposób Niebiescy weszli w posiadanie boiska na Kalinie.

eprasa.pl 84d681be0e

Hajduki Wielkie i inspiracja niemiecka

W II RP Paczyński pozostawał społecznie aktywny. „W 1924 roku z inicjatywy Teofila Paczyńskiego został założony Ludowy Bank w Wielkich Hajdukach, będący pierwszą polską placówką bankową w powiecie świętochłowickim. Będąc radnym gminy Hajduki Paczyński storpedował starania niemieckiego naczelnika Hajduk Ernsta Fuhrmanna skierowane ku wydzierżawieniu przez niemiecki Dresdner Bank nieruchomości po niemieckim Volksbanku. W ten sposób Paczyński otwarł drogę rozwoju polskiej gospodarki w Hajdukach. Stanowiska w lokalnej bankowości pełnił przez całe lata" – czytamy na stronie Chorzów.eu.

Rywalizacja sportowa była dla Ruchu Hajduki Wielkie na samym początku trudna, czego dowodem porażka z Cracovią 2:8. „Sportowo Ślązacy byli jeszcze nieważni, ot »pierwiosnki«. Jednakże ci nowicjusze okazali się bardzo przykrym przeciwnikiem. Byli ogromnie ambitni, chodzili na piłkę z determinacją, walczyli [...] z pasją. [...] Opowiadali nam dzieje swoich walk z Niemcami, prowadzili na miejsce, gdzie toczyły się boje powstańcze. O swym bohaterstwie mówili w prostych słowach, jak o czymś codziennym, naturalnym" – pisał o tym Stanisław Mielech w książce „Gole, faule i ofsajdy".

Jak piszą autorki „Sportowców dla Niepodległej", Paczyński zaangażował się w działania polonizujące Hajduki, które ze względów gospodarczych ciągle były pod silnym wpływem Niemców: „W jednym z czasopism z tamtego okresu znaleźć można współtworzoną przez Paczyńskiego odezwę na rzecz obrony prasy polskiej: Obywatele gminy W. Hajduki protestują przeciw podburzającej pracy dzienników niemieckich, wychodzących na terenie Śląska polskiego, i wzywają władze wojewódzkie, ażeby stanowczo wystąpiły przeciw wrogiej Państwu polskiemu agitacji prasy niemieckiej". W 1924 roku powstał w Hajdukach Wielkich, dzięki inicjatywie Paczyńskiego, polski Bank Ludowy.

Według nich Teofil udzielał się w życiu społecznym, działał wszechstronnie: przewodniczył towarzystwu śpiewu Harmonia, należał do Związku Hallerczyków w Hajdukach (miał odznakę honorową), Ligi Obrony Powietrznej i Przeciwgazowej, Ligi Morskiej i Kolonialnej, Związku Powstańców Śląskich, był jednym z założycieli Związku Polskich Restauratorów. Wspierał harcerzy, użyczał lokal na zebrania różnych organizacji czy na zawody w strzelaniu do tarczy, z których dochód przeznaczono na doposażenie armii i pomoc weteranom powstań śląskich. W czasie kryzysu gospodarczego Paczyński zorganizował kuchnię dla biednych, w której wydawano około 800 posiłków dzienne.

Lista odznaczeń, jakie za swoja działalność otrzymał, jest długa. Był odznaczany Krzyżem Walecznych, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, Gwiazdą Górnośląską, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918–1921, odznaką honorową za działalność plebiscytową, odznaką pamiątkową Armii Generała Hallera.

Był odznaczany Krzyżem Walecznych, Krzyżem na Śląskiej Wstędze Waleczności i Zasługi, Gwiazdą Górnośląską, Srebrnym Krzyżem Zasługi, Medalem Pamiątkowym za Wojnę 1918–1921, odznaką honorową za działalność plebiscytową, odznaką pamiątkową Armii Generała Hallera.

Tajemnica zniknięcia Paczyńskiego

Co stało się po 1939 roku Teofilem Paczyńskim? Nie znamy dalszych jego losów, możemy tylko podejrzewać; „Tajemnica otacza ostatnie chwile życia Teofila Paczyńskiego. W chwili wybuchu wojny miał już 63 lata. Nie wiadomo, jak dalej potoczyły się jego losy. Ostatnie informacje pochodzą z końca 1938 roku, kiedy nadal reklamował się jako właściciel restauracji »Pod Białym Orłem«. Tak wysoko postawiony i zaprawiony w politycznych bojach człowiek doskonale zdawał sobie sprawę z nadciągającego zagrożenia. Wiedział, że jego wybitna działalność zwróciła uwagę Niemców. Czy się ukrywał? Może zginął podczas kampanii wrześniowej? Może w czasie okupacji posługiwał się innym nazwiskiem i pod takim został pochowany? Tajemnica końca tego niebywale bogatego życia nadal czeka na swego odkrywcę" – czytamy na stronie Chorzów.eu. ■

eprasa.pl 84d681be0e

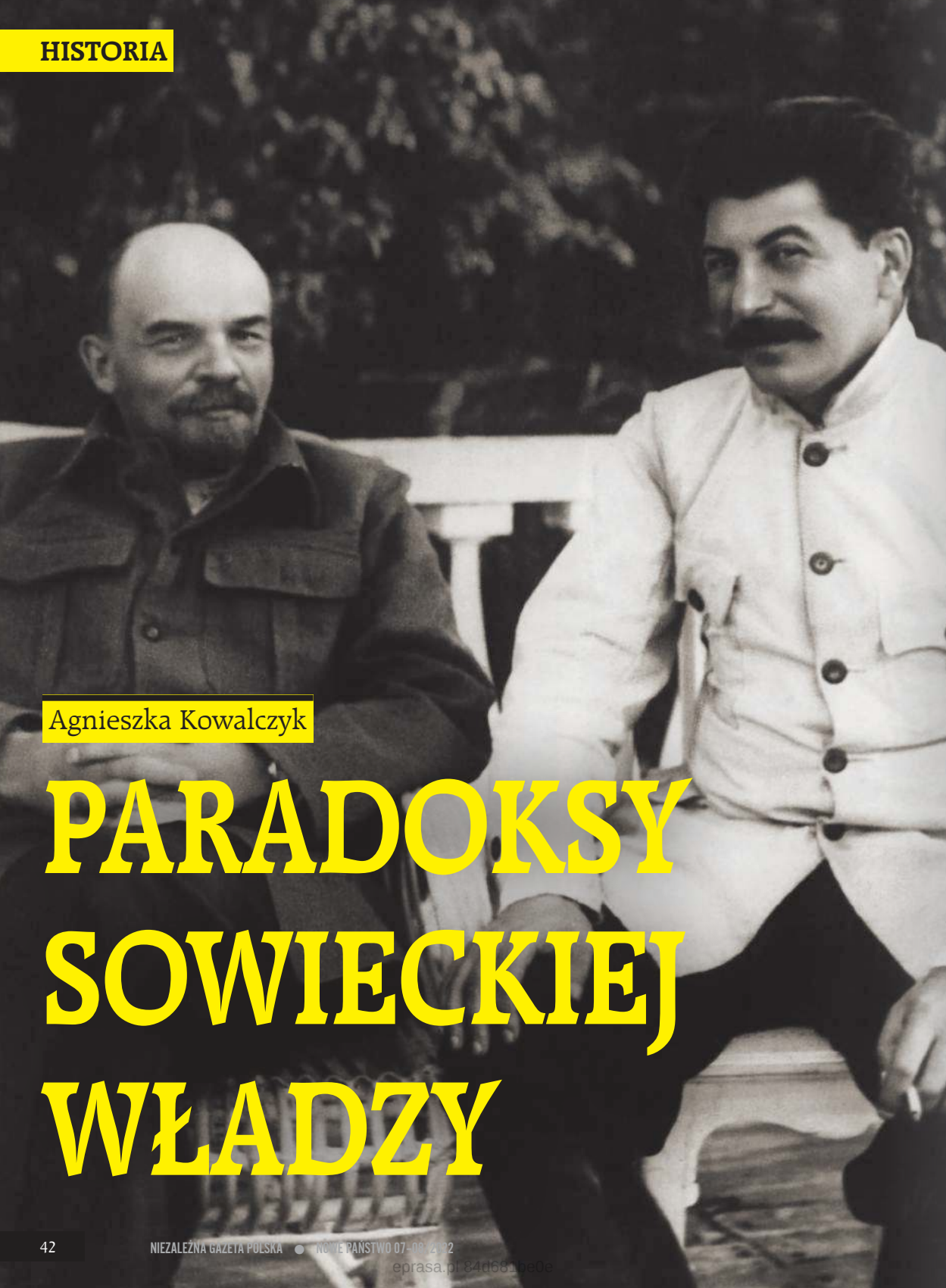

Agnieszka Kowalczyk

PARADOKSY SOWIECKIEJ WŁADZY

eprasa.pl 84d681be0e

Wszystkie wydarzenia i procesy, jakie w okresie międzywojennym zachodziły za naszą wschodnią granicą, napawały coraz większym niepokojem i uświadamiały Polakom, jak niebezpieczne skutki może przynieść dla odrodzonego państwa umacnianie się sowieckiego totalitaryzmu. Stalin, który po śmierci Lenina stał się faktycznym przywódcą ZSRS, przystąpił do przeobrażenia kraju rolniczego w przemysłowo-wojskowe mocarstwo radzieckie, co w konsekwencji miało doprowadzić do śmierci milionów Rosjan zmuszanych do niewolniczej pracy na rzecz państwa.

fot. Arch.

W zawrotnym rytmie „pięciolatek gospodarczych" Sowieci mieli rosnąć w siłę, by móc potem wziąć się za podbój Europy, a w pierwszej kolejności – Polski, której nie udało się im zdobyć w 1920 roku. Toteż po wybuchu II wojny światowej zgodnie z wydanym przez Stalina rozkazem Armia Czerwona stanęła w pełnej gotowości do dokonania kolejnego rozbioru II Rzeczypospolitej.

W ogniu bolszewizmu państwowego i ludowego

Publicyści i korespondenci II Rzeczypospolitej obszernie relacjonowali i komentowali przeobrażenia dokonujące się w państwie Stalina, drukując na łamach prasy setki artykułów poświęconych polityce i gospodarce Rosji Radzieckiej, jej życiu społecznemu, religijnemu i kulturalnemu, jej literaturze, sztuce i obyczajowości.

Znawca kwestii rosyjskiej i wnikliwy analityk mechanizmów funkcjonowania ZSRS Jan Berson „Otmar" próbował odkryć przed czytelnikami „Gazety Polskiej" podwaliny ideologiczne Rosji lat 30. jako wielkiego kraju pełnego sprzeczności, kraju „przeżywającego w męce blisko 160 mln ludzi niespotykany dotąd w tak olbrzymiej skali proces dziejowy" („GP" 20–21 I 1931). Żywiołem kształtującym oblicze ZSRS była według niego walka dwóch bolszewizmów – „państwowego" i „ludowego", które są „zjawiskiem rdzennie rosyjskim, nie do pomyślenia w żadnym innym kraju, czerpiąc źródło natchnienia z ponurej moskiewskiej tradycji". Bolszewizm państwowy to nic innego jak despotyczny system rządów, nawiązujący do wzorców sprawowania władzy przez Iwana Groźnego i Piotra Wielkiego. O ile ten pierwszy rządził za pomocą terroru, o tyle drugi wybrał obcą Rosji drogę europeizacji, dokonywanej pod przymusem, w sposób brutalny i bezwzględny, przez co ściągnął na siebie powszechną nienawiść ludu. Jego Piotrogród miał być wcieleniem marzeń o mieście arcyeuropejskim – „powstał na bagnach estońskich, na krwawym fundamencie tysięcy robotniczych trupów [...]. Drogą tej olbrzymiej ofiary Piotr Wielki przebił »okno do Europy« na nieszczęście zarówno tej ostatniej, jak i własnej ojczyzny". Po te same metody działania, sprzeczne z naturą i duchem ludów Rosji, sięga według „Otmara" władza bolszewicka, która dąży do przeobrażenia przemocą ZSRS w kraj uprzemysłowiony, co ma być dowodem wznoszenia się nowej Rosji na coraz wyższy poziom cywilizacyjny. W ten sposób „na tysiącach trupów zesłańców sołowieckich i niedoli milionów głodujących obywateli, za pieniądze uzyskane za granicą z dumpingowej sprzedaży ostatniego niemal kęsa ich chleba, powstają »Dnieprostroje«, »Turksyby«

eprasa.pl 8d681be0e

i cały szereg inwestycji, przerastających nie tylko możność, lecz i potrzeby Związku Sowieckiego".

Obok bolszewizmu państwowego, stanowiącego nową formę rosyjskiego despotyzmu, „Otmar" wyróżnił także bolszewizm ludowy, odnoszący się do sytuacji i kondycji żyjącego od wieków w poddaństwie rosyjskiego chłopa, któremu w 1917 roku przyszło przeobrazić się w rewolucjonistę, wziąć udział w krwawym buncie i wymierzyć sprawiedliwość swoim dotychczasowym panom-prześladowcom. „Na domiar złośliwej ironii – pisze publicysta – Rosjanina, z jego prasłowiańskim wstrętem do państwowości, trzymano w ciągu całej tysiącletniej przeszło historii tego narodu w ramach najsroższego despotyzmu, jaki znają dzieje. I trzymają po dziś dzień, tylko że despotyzm raz jeszcze zmienił nazwę. [...] A zatem w roku 1917 mużyk [chłop rosyjski] poczuł się jak zwierzę wypuszczone z klatki po tysiącu lat. Co jest pierwszą myślą takiego stworzenia? Ano nasycić głód i pragnienie, zaspokoić najbardziej dolegające żądze [...], wywrzeć zemstę na okrutnym poskromicielu, i... czym prędzej powrócić do stanu błogosławionej dzikości". Owemu „wyzwolonemu mużykowi", który stanął po stronie rewolucji, towarzyszyło pragnienie uwolnienia się od podległości państwu i od uciążliwych na jego rzecz świadczeń. Stało się jednak inaczej, bo choć stary porządek społeczno-polityczny został obalony, to nowy, ustanowiony przez czerwoną rewolucję, nie przyniósł oczekiwanych zmian. Do rosyjskiego chłopa przyszedł bowiem bolszewik-państwowiec i zaczął mu prawić o obowiązkach, jakie winny jest własnemu „robotniczo-włościańskiemu państwu" w imię komunizmu, mającego zbudować w Rosji świetlaną przyszłość. Historia okazała się przekorna i rosyjski chłop wprzęgnięty został w nową zniewalającą machinę państwowej podległości.

Kolektywizacja czy powrót do niewolnictwa?

W latach 1929–1933 wznowiono zatrzymany na pewien czas proces kolektywizacji rolnictwa, polegający na odbieraniu chłopom ziemi i łączeniu wydartych im gospodarstw w państwowe przedsiębiorstwa spółdzielcze zwane kołchozami, co w konsekwencji załamało produkcję rolną i wywołało klęskę głodu. O sytuacji mieszkańców wsi sowieckiej traktuje szczegółowo zamieszczony w ówczesnej prasie artykuł poświęcony książce Stanisława Przybyłowskiego „Chłopi pod panowaniem bolszewickim" (1930). Jej autor, znany działacz Stronnictwa Chłopskiego, zafascynowany ideologią bolszewików, wyjechał do Rosji Sowieckiej, by poznać z autopsji owe „rajskie" warunki życia, jakie komunistyczny rząd „robotniczo-włościański" stworzył dla niegdysiejszych poddanych cara. Na miejscu okazało się jednak, że chłopi rosyjscy nie posiadają żadnej, choćby najmniejszej władzy, a obowiązująca konstytucja i cały wielostopniowy system wyborów do rad to „chytra mechanika", osłaniająca w istocie rzeczywisty absolutyzm partii bolszewickiej i czyniąca chłopów królikami doświadczalnymi, na których przeprowadza się nieludzkie eksperymenty. Zastanawiające jest, jak doszło do tego stanu rzeczy, skoro rewolucji rosyjskiej patronowało hasło: „Cała ziemia dla chłopów pracujących". Mianowicie w 1917 roku ta warstwa społeczna poszła masowo za Leninem, a „Włodzimierz Iljicz – jak konkluduje Przybyłowski – przekonał ich, że nie należy czekać na żadne Zgromadzenia Narodowe [...], ale po prostu – ruszyć z frontu z karabinem w ręku, ziemię dworską zabrać, dwory popalić, właścicieli wypędzić lub wymordować. Chłopi program Iljicza wykonali skrupulatnie, w nagrodę dostali rząd »robotniczo-włościański«, ale w roku trzynastym po dokonanej rewolucji znaleźli się nagle bez ziemi, bez inwentarza, bez własnego dachu nad głową, częstokroć i bez duszy w ciele". Posłużyli więc jedynie za skuteczne narzędzie zdobycia władzy. Tak Lenin, jak i Stalin wiedzieli, że chłop jest jednostką niebezpieczną dla systemu komunistycznego, ponieważ w jego naturze tkwi zamiłowanie do posiadania, dorabiania się i oszczędzania. W takim rozumieniu jest on „drobnym burżujem", a takich „drobnych burżujów" w chłopskich sukmanach naliczono w państwie rosyjskim aż 120 milionów. „Prędzej czy później – w przekonaniu Przybyłowskiego – musiałby nastąpić moment, gdy potężny żywioł chłopski zalałby wierzchołki władzy sowieckiej i zatopił je bez śladu. Państwo komunistyczne z natury swej nie znosi istnienia jednostek samodzielnych gospodarczo".

Chcąc uniknąć zagrożenia ze strony chłopstwa, władze podjęły zatem radykalne działania, nakazując zupełne zlikwidowanie samodzielnych gospodarstw rolnych, co wiązało się z pozbawieniem włościan wszelkiej własności prywatnej i zapędzeniem ich do kołchozów. Patronująca bolszewikom maksyma *divide et impera* (dziel i rządź) pozwalała bez jakichkolwiek skrupułów na wyodrębnienie z rzeszy chłopskiej: 1. parobków, 2. biedaków, 3. małorolnych, 4. średniaków, 5. zamożnych, 6. kułaków (bogatych chłopów). Za największego wroga państwa komunistycznego uchodził ostatni z przedstawicieli tej hierarchii i to jego czekał najgorszy los – utrata całego mienia, zesłanie na daleką północ bądź skierowanie do robót przymusowych. Kułakom zabroniono nawet wstępu do kołchozu. Tak potraktowano od 10 mln do 12 mln chłopów, skazanych tym samym na śmierć głodową. Przybyłowski zdradza również, że chłopi rozstrzeliwani są codziennie „bez rozgłosu, bez sądów i komunikatów prasowych".

eprasa.pl 84d681be0e

Na tym jednak nie koniec, bo doprowadzonym do rozpaczy chłopom rosyjskim Stalin otworzył wrota kołchozów, czyli gospodarstw komunistycznych. W związku z tym, że ludziom trudno było wyrzec się resztek samodzielności, władza sowiecka uciekała się do sprawdzonych metod łamania jakiegokolwiek oporu. W celu wyegzekwowania „należności" wobec państwa wykorzystano 25 tys. „twardych komunistów" rekrutujących się spośród robotników fabrycznych, którzy rozesłani po całej Rosji, „»namówili« chłopów z takim skutkiem, że przeszło to najśmielsze oczekiwanie samego Stalina". W niektórych okręgach zgłosiło się do pracy w kołchozie nawet sto procent mieszkańców wsi. Ale zanim wkroczyli na tę „drogę powszechnego dobrobytu", to „wyprawiali »tryznę« (stypę) po zgonie swej samodzielności gospodarczej. Zabijano konie, sprzedawano skóry. Za te pieniądze kupowano monopolkę. Krowy i świnie szły pod nóż – uczta była co się zowie i trwała przez dni parę z rzędu. Po czym chłop zgłaszał się do kołchozu bez inwentarza, z połamanymi narzędziami rolniczymi: »Bierzcie mnie, karmcie i odziewajcie! Prócz pary pustych rąk nie mam już nic, a więc jestem komunistą«". Kolektywnym gospodarstwem zarządzał zwykle robotnik fabryczny, który wypłacał sobie astronomiczną pensję w wysokości 200 rubli miesięcznie i zajmował najlepsze mieszkanie, gdy tymczasem zwykły pracownik miał pobierać tylko 24 ruble, z czego na rękę dostawał jedynie 12, resztę zaś obiecywano mu po zakończeniu roku gospodarczego z ewentualnych zysków. W praktyce, ponieważ nadwyżki nigdy nie było, nigdy też nie oglądał drugiej połowy swej pensji.

„Pańszczyzna czy nie pańszczyzna? – ocenia Przybyłowski stosunki panujące w Rosji. – Nie, to już nie pańszczyzna. To powrót do czasów niewolnictwa". Według ustaleń Normana Daviesa, w ciągu jednego dziesięciolecia, między rokiem 1929 a 1938, aż 94 proc. spośród 26 mln małych gospodarstw rolnych ZSRS połączono w ćwierć miliona kołchozów. Ci wszyscy, którzy protestowali przeciwko kolektywizacji, byli rozstrzeliwani bądź deportowani. W związku z tym życie straciło w sumie około 15 mln mężczyzn, kobiet i dzieci.

Państwo bez Boga

Narodzinom nowej Rosji bolszewickiej od początku patronowała idea walki z religią i budowa społeczeństwa ateistycznego. Polityka wyniszczania życia religijnego w Sowietach prowadzona była wszelkimi możliwymi sposobami – już w styczniu 1918 roku wydano dekret „O oddzieleniu Kościoła od państwa i szkoły od Kościoła", wspólnotom wyznaniowym odbierano ziemię i dokonywano jej nacjonalizacji, ograniczono zakres kształcenia religijnego, pozbawiono mocy prawnej sakramentalne związki małżeńskie, wprowadzono powszechnie cenzurę kazań... „Więzienia, zsyłki, rozstrzeliwanie, nieprzezwyciężone trudności przy wstępowaniu do szkół wyższych, zwolnienia z zajmowanych stanowisk, zakaz wykonywania zawodu, [...] zamykanie kościołów, psychologiczna nagonka w szkole i pracy – oto niepełna lista chwytów i środków, które wykorzystywano w imię stworzenia człowieka formacji komunistycznej" – wymienia współczesny badacz zagadnienia Adam Bobryk. Księży i zakonników, jako reprezentantów klasy wyzyskiwaczy, pozbawiono praw obywatelskich, opieki medycznej i kartek żywnościowych, odmawiano im zgody na podjęcie pracy i otrzymanie mieszkania, nakazując jednocześnie spełnienie wszystkich należności wobec państwa, włącznie ze służbą wojskową.

Armia wojujących bezbożników

W czerwcu 1925 roku powołano do istnienia specjalną organizację do prowadzenia walki z religią i Kościołem – był to propagujący ateizm Związek Bezbożników, od 1929 roku działający jako Związek Wojujących Bezbożników, na którego czele stanął Jemieljan Jarosławski. Całkowicie podporządkowany Wszechzwiązkowej Partii Komunistycznej w swych działaniach koncentrował się na zwalczaniu Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego oraz innych grup wyznaniowych poprzez denuncjowanie osób wierzących, niszczenie obiektów sakralnych, profanację cmentarzy i przedmiotów kultu religijnego. Na sztandarach związku powiewały hasła propagandowe: „Przez bezbożnictwo do leninizmu" oraz „Walka przeciw religii – walka za socjalizm". Propagowanie i kultywowanie ateizmu uskuteczniano za pośrednictwem takich organów prasowych jak: „Bezbożnik", „Nauka i Życie", „Antyreligijność", „Młody Bezbożnik", „Wiejski Bezbożnik", „Wojowniczy Ateizm". Do Związku Wojujących Bezbożników z początkiem lat 30. należało blisko 5 mln osób. Specjalnością „bezbożników" było urządzanie ekspozycji antyreligijnych w domach kultury i prowadzenie szkoleń oraz kursów z zakresu ateizacji. Stanowili oni również główną siłę odpowiedzialną za masowe likwidowanie kościołów. Świątynie w całym Związku Radzieckim były zamykane bądź zamieniane w składy zboża i cementu, a wiele z nich, zwłaszcza w latach trzydziestych i czterdziestych, przeobrażono w muzea ateizmu.

Korespondent „Gazety Polskiej" Florian Sokołów miał sposobność zwiedzić w roku 1932 centralne muzeum „bezbożników" w jednym ze starych klasztorów rosyjskich – w „Strastnym Monastyrze". W artykule

eprasa.pl 84d681be0e

„Impresje moskiewskie" pisał, iż można było w nim obejrzeć relikwie świętych, w których cudowną moc wierzyła cała prawosławna Rosja („GP" 13 III 1932). Były tam m.in. szczątki świętego Serafina z Sarowa – mnicha, ascety, mistyka związanego z monasterem Zaśnięcia Matki Bożej w Sarowie, ostatniego świętego Rosyjskiego Kościoła Prawosławnego, który został kanonizowany jeszcze przed upadkiem caratu i był szczególnie czczony przez Mikołaja II Romanowa oraz jego rodzinę. Na ścianach widniały karykatury wyszydzające różne religie świata, a o tym, że „religia to przeżytek burżuazji, narzędzie ucisku w ręku klas posiadających, opium, którym zatruwa dusze i umysły narodów kapitalizm", miały przekonywać zwiedzających całe sterty dokumentów „propagandy ateistycznej" zgromadzone niemal we wszystkich językach. Polski dziennikarz był jednak świadkiem znamiennej sceny, która dowodziła, jak trudno jest poddać ateizacji człowieka wierzącego. W jego obecności bowiem rozgorzała gwałtowna dyskusja między muzealnym przewodnikiem, „demaskującym relikwie jednego ze świętych", a jakimś obdartym rosyjskim chłopem o fanatycznych oczach, który zdecydowanie wystąpił w obronie Boga. Podobne wrażenie odniósł też sowietolog Jan Berson „Otmar" podczas zwiedzania muzeum ateizmu urządzonego w słynnej Trojce, czyli Siergiejewskiej Ławrze. W świątyni tej, obok trumny z relikwiami świętego Sergiusza, wisiała analiza chemiczna jego szczątków, mająca udowodnić, że jest tylko zwykłym śmiertelnikiem, a stojąca nieopodal skarbonka służyła wyjaśnieniu „prawdziwego celu" dawnych pielgrzymek. Uwadze „Otmara" nie mogło ujść zachowanie zwiedzających i ich różne reakcje na tę prowokację – „niektórzy żegnają się ukradkiem, starsi mają łzy w oczach, a obok wielki chłop w czapie na głowie stoi przed cudownym obrazem (wiszącym jako eksponat), przed którym czołgałby się w prochu, gdyby go nie »uświadomiono«" („GP" 19 IV 1933).

Nową i jedyną religią w państwie sowieckim miał być „monizm komunistyczny". „Otmar", zgłębiając tajniki życia w Rosji Radzieckiej, wskazał na charakterystyczne znamiona bolszewickiej wiary, pisząc, że „kierunek obecnie rządzący odpowiada dawnej »carosławej« cerkwi nikoniańskiej. Jej święty synod stanowi »Politbiuro« z »ober-prokuratorem« – Stalinem na czele". Komuniści mają nawet swoje święte księgi, oba testamenty – stary Marksa i nowy Lenina. Rodzajem katechizmu jest tu linia generalna partii, a szereg jej uczonych komentatorów stanowią bolszewicy prowadzący iście scholastyczne, czy raczej talmudyczne dyskusje. Nabożeństwa przybierają postać oficjalnych posiedzeń, które odbywają się w Związku Radzieckim bez końca. Komunizm jako religia ma własne relikwie – mauzoleum Lenina z jego zmumifikowanymi szczątkami oraz liczne ikony i ołtarzyki – tak zwane kąciki Iljicza – we wszystkich instytucjach państwowych. W państwie Stalina funkcjonuje nawet inkwizycja w postaci GPU oraz rodzaj spowiedzi publicznej, czyli składanie samokrytyki, a surogatem pierwiastka nadprzyrodzonego jest „fanatyczny stosunek do sprawy, graniczący u bardziej ideowych jednostek wręcz z mistycyzmem".

▶ „Przedstawienie skończone – ciąg dalszy na froncie"

Skutecznym narzędziem szerzenia kłamliwej propagandy był podporządkowany władzy sowieckiej teatr, działający na wyobraźnię, umysły i emocje swoich współczesnych za pomocą umiejętnie dobranych środków i efektów scenicznych. Korespondentowi „Gazety Polskiej" zapadła w pamięć jedna z takich sztuk, którą oglądał w Moskwie, pod wymownym tytułem „Posliednij rieszitielnyj" (Ostatni, decydujący). Oddajmy więc głos autorowi relacji z tego osobliwego sowieckiego spektaklu o mocno ideologicznym finale:

„Treść sztuki sprowadza się do tego, że w życie pokojowe Sowietów, upływające pod hasłem wytężonej pracy, wdziera się świadomość o wojnie, która wybuchła, oczywiście na granicy zachodniej. Oddział marynarzy zostaje wysłany na pomoc oddziałom pogranicznym. Na jednej ze strażnic załoga złożona z 27 ludzi zostaje otoczona przez nieprzyjaciela; nie poddaje się, broni się do ostatniego naboju, do ostatniego człowieka. Efekty sceniczne są bardzo brutalne; na scenie faktyczny okop, ułożony z worków z piaskiem, obok »wyszka« obserwacyjna. Nieprzyjaciel otwiera ogień z galerii ponad głowami widzów, załoga odpowiada ogniem silnym, gęstym; nie brak nawet karabinu maszynowego. Powstaje piekielny trzask ognia karabinowego, któremu wtóruje huk wystrzałów armatnich i wybuchów pocisków, doskonale imitowanych. Widownię wypełnia dym i zapach prochu. Na scenie giną stopniowo obrońcy: zwierzęca zawziętość na twarzach walczących, ostatnie przedśmiertne grymasy, wszystko doskonale oddane. Lecz cóż to? W ten hałas walki wdzierają się jakieś niesamowite dźwięki! To głośnik radiowy podaje smętną, kapryśną melodię tanga – pewnie Warszawa lub Paryż. Zgniła Europa wdziera się na okopy bolszewizmu, chcąc osłabić hart ducha »bojców« komunizmu. Więc dowódca załogi woła wielkim głosem: „zamkni, zamkni Jewropie!" (odetnij się od Europy!), wreszcie strzela z nagana w głośnik – głośnik milknie. Charakterystyczne, nieprawdaż? – i mocne!

Wreszcie cała załoga pada na posterunku. Ostatni z obrońców, marynarz, ostatnim śmiertelnym wysiłkiem dźwiga się i kredą pisze na ścianie strażnicy: 161.000.000 – 27 = 160.999.973. Ma to oznaczać, że

eprasa.pl 84d681be0e

śmierć obrońców strażnicy pomści gniew wielomilionowego proletariatu ZSRR" („GP" 16 VI 1931).

Na tym jednak symbolicznym akcie przedstawienie się nie kończy. Finał będzie jeszcze bardziej zaskakujący. Oto na środek sceny wychodzi spiker i przemawia do publiczności słowami: „Wróg czyha, musimy być gotowi w każdej chwili do obrony. Sprawdzimy naszą gotowość mobilizacyjną. Wszyscy uczestnicy wojny domowej i czerwoni partyzanci – wstać!". Na ten okrzyk wywołani wstają jak jeden mąż. „Czerwoni dowódcy i żołnierze – wstać!" – rozlega się ponownie. I na to wezwanie część publiczności podnosi się z miejsc. Po czym słychać znów: „Wszyscy dowódcy i żołnierze rezerwy – wstać!"; „Wszyscy komsomolcy i komsomołki – wstać!" i wreszcie: „Wszyscy sympatycy – wstać!". Wtedy już cała widownia powstaje, bo przecież nie może być niesympatyków. Na koniec spiker wykrzyknie: „Piesa konczena – prodołżenje na frontie"! (Przedstawienie skończone – przedłużenie na froncie), a cała widownia odpowiada niekończącymi się brawami. Takich sztuk jak ta w Związku Sowieckim były krocie. Uczyły one, jak wczuć się w rolę wzorowego obywatela idealnego państwa radzieckiego.

W obliczu terroru

Z biegiem lat ze stalinowskiej Rosji docierały coraz bardziej niepokojące wieści o ciągle wzrastającej liczbie ofiar komunistycznego aparatu przemocy, który pod egidą Stalina dążył do usunięcia wszystkich będących jeszcze przy życiu bolszewików-ideowców, a do tego rzesze funkcjonariuszy partii, wojska i tajnej policji. Według ustaleń sowietologów w okresie stalinowskich czystek życie straciło około 30 tys. oficerów, w tym 80 proc. pułkowników i generałów. Historyk Robert Conquest szacuje, że w latach 1936–1938 aresztowano co najmniej 6 mln osób, 3 mln zginęły podczas egzekucji, a co najmniej 2 mln – w obozach pracy przymusowej. W 1939 roku Stalin i Mołotow podpisywali już codziennie listy z nazwiskami kilku tysięcy ludzi przeznaczonych na śmierć.

Eliminowaniu „niebezpiecznych" dla systemu jednostek służyły m.in. wielkie pokazowe procesy dygnitarzy radzieckich, takich jak Grigorij Zinowiew (1936), Jurij Piatakow (1937) i Nikołaj Bucharin (1938), które szczegółowo relacjonowała polska prasa. Tak na przykład w artykule „18 wyroków śmierci w procesie Bucharina i towarzyszy" czytamy, że po prawie siedmiogodzinnej naradzie Kolegium Wojskowe Najwyższego Sądu ZSRR ogłosiło wyrok w sprawie 21 członków „bloku prawicowo-trockistowskiego" („GP" 14 III 1938). Na śmierć przez rozstrzelanie skazanych zostało obok Bucharina – starego bolszewika, znanego teoretyka marksizmu, długoletniego członka Politbiura i redaktora „Izwiestii", 18 innych oskarżonych, w tym Aleksiej Rykow – generalny komisarz partii, Gienrich Jagoda – szef GPU i NKWD, Nikołaj Krestiński – wicekomisarz spraw zagranicznych i ambasador w Berlinie, Arkadij Rozenholc – ekonomista, ludowy komisarz handlu zagranicznego. Cztery dni później w gazetach donoszono, że wyroki zostały wykonane. „Największe poniżenia nie uchroniły 18 skazańców przed rozstrzelaniem, jeśli Bucharina i Krestińskiego nie spotkało coś gorszego od śmierci w związku z częściowym oporem stawianym przez nich w toku rozprawy sądowej prokuratorowi Wyszyńskiemu. Bo jedynie przypuszczenie, iż w Sowietach istnieje coś gorszego od kary śmierci przez rozstrzelanie – czyni w pewnym stopniu zrozumiałym zachowanie się oskarżonych w kolejnych procesach politycznych" – komentowano zaistniałe wypadki w artykule „Po wyroku moskiewskim". Pisano również o „makabrycznym »liście otwartym« żon rozstrzelanych, proszących o udzielenie im... rozwodu z nieboszczykami". Taka prośba nie dziwiła jednak nikogo w Związku Radzieckim, gdyż rodzina napiętnowanego więźnia politycznego w świetle dekretu z 8 czerwca 1934 roku skazywana była na zesłanie trwające od 5 do 10 lat, niezależnie od wiedzy o popełnionym przez niego przestępstwie. Najdalszym nawet krewnym eksdygnitarza groziło długoletnie bezrobocie, gdyż żadna instytucja ani przedsiębiorstwo sowieckie nie ośmieliłoby się zatrudnić takiego człowieka. Proces Bucharina miał dopiero rozkręcić krwawą machinę terroru, bo w „kolejce na śmierć" lub jeszcze straszniejszy los więźnia Gułagu czekały kolejne tysiące radzieckich dygnitarzy oskarżanych najczęściej o zdradę, szpiegostwo czy sabotaż, do czego prędzej czy później przyznawali się złamani torturami. Taki los miał spotkać m.in. dawnych „lewicowych" komunistów, komisarzy ludowych, dyplomatów i wojskowych. Wszystko to prowadziło do wniosku, że „ostatni proces bynajmniej nie oczyścił atmosfery politycznej w Sowietach w sensie pożądanym dla tamtejszej dyktatury i że gorszące nawet najbardziej zaślepionych sowietofilów widowiska polityczno-sądowe będą się odbywały w Związku Sowieckim jeszcze przez czas dłuższy".

O tym, że w okresie wielkiego terroru Rosja spłynęła krwią, świadczą odkrywane wciąż makabryczne znaleziska, jak chociażby jeden z masowych grobów stalinowskich ofiar z lat 30. odnaleziony w 1989 roku w okolicach Czelabińska na Uralu. Okazało się, że ogromny dół mieścił 80 tys. szkieletów ludzi, których czaszki podziurawiono kulami. Żyjący świadek zbrodni, miejscowy fotograf, przekazał, że nie byli to więźniowie pracujący w łagrach, lecz ludzie zabierani z mieszkań i rozstrzeliwani w tym miejscu razem z dziećmi. Krwawy ślad masowego mordu rodzi przy tym pytanie, ile jeszcze takich nieodkrytych grobów kryje w sobie rosyjska ziemia. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Tomasz Łysiak

Władysław Anders

– GENERAŁ POLSKICH NADZIEI DRĘCZONY PRZEZ SOWIETÓW

eprasa.pl 84d681be0e

Mija 130 lat od urodzin generała Władysława Andersa – tego, który z nieludzkiej ziemi wyprowadził sto kilkadziesiąt tysięcy Polaków. Jak Mojżesz. Powiódł bowiem całe rodziny (nie tylko żołnierzy, lecz także kobiety i dzieci) z domu niewoli ku wyzwoleniu, ku życiu. Zanim jednak Anders został dowódcą Polskich Sił Zbrojnych w ZSRS, sam przeszedł „sowieckie piekło". Wiedział więc dobrze, co zgotował Polsce Stalin, dlaczego nie wolno mu ufać i czemu z Sowietami należy się bić tak samo jak z Niemcami.

fot. Arch.

Władysław Anders urodził się w Krośniewicach, na terenie byłego Królestwa Kongresowego. To właśnie tam ojciec przyszłego generała, Albert Anders, administrował majątkiem Rembelińskich. Mały Władzio zapewne miał w domu opiekę domowych nauczycieli, guwernerów, którzy zadbali o jego prawidłową edukację. W 1900 roku został wysłany na naukę do szkoły realnej w Warszawie i od tego czasu zamieszkał u krewnych przy ulicy Nowy Zjazd. W trakcie wieloletniej nauki w „riealnom uczilisczce" Władysław poznał znakomicie język rosyjski, który później tak bardzo miał mu się przydać w walce o polską sprawę. Rodzina Andersów przeprowadziła się w tamtym czasie do Taurogów na Litwie, więc chłopak jeździł tam na wakacje. Maturę zdał w roku 1909, a zaraz potem zgłosił się do służby wojskowej w rosyjskiej armii. Czemu? Między innymi z tego powodu, iż ci, którzy zgłaszali się ochotniczo, musieli odsłużyć jedynie rok, zamiast obowiązkowych dwóch, trzech lat. To dlatego Polacy często zgłaszali się sami, by w ten sposób szybciej mieć za sobą zobowiązania wobec caratu.

Zawód rycerski

I tak w 1910 roku Władysław znalazł się w 3. Noworosyjskim Pułku Dragonów w Kownie. Rok później awansował na kaprala, a w czerwcu skończył pułkową szkołę podoficerską. We wrześniu był już chorążym rezerwy i mógł zacząć studia na Politechnice w Rydze. Ale postudiował jedynie trzy lata. Wybuchła wielka wojna. Początkowo przydzielono go do jakichś taborów, co oczywiście młodemu oficerowi nie odpowiadało. Pomogło wtedy wydarzenie sprzed roku, gdy Anders uratował generała Rennekampfa, któremu konie poniosły powóz, którym podróżował. Polak, dokonując iście woltyżerskiego popisu, chwycił pęknięte lejce i opanował spanikowany zaprzęg. Rennekampf odwdzięczył się potem, pozwalając Andersowi przenieść się do pułku dragonów. Dobrze się stało, bo ten znakomity jeździec i wojskowy właśnie w czasie wojny zaczął wykazywać niezwykłe talenty. O jego odwadze świadczą nie tylko odznaczenia i awanse, ale też odniesione kilkakrotnie rany i kontuzje. W roku 1916 awansował na sztabrotmistrza, a w 1917 roku, po obaleniu caratu, został szefem sztabu 7. Dywizji Strzelców. 6 września wstąpił do I Korpusu Polskiego pod dowództwem generała Dowbor-Muśnickiego. Kariera toczyła się dalej – a były w niej tak chwalebne karty jak szefowanie sztabowi Armii Wielkopolskiej w trakcie powstania w 1919 roku czy

eprasa.pl 84d681be0e

dowodzenie 15. Pułkiem Ułanów Poznańskich podczas wojny z bolszewikami.

Generał Stanisław Kopański tak podsumował ów czas w pośmiertnym wspomnieniu o Andersie: „Sądzę, że właściwości jego charakteru predestynowały go do zawodu rycerskiego, co potwierdziła pierwsza wojna światowa. Liczne rany i najwyższe odznaczenia oraz powołanie do Szkoły Sztabu Generalnego potwierdziły jego niezwykłą wartość jako bojowego młodszego dowódcy. Poznanie trudów wojennych oraz psychiki walczącego dało mu podstawy do niezawodnych ocen możliwości skutecznego wykorzystania żołnierza w najtrudniejszych warunkach walki". Sam gen. Anders w swoich wspomnieniach „Bez ostatniego rozdziału" (napisanych już po II wojnie światowej), przywołał tę służbę – „właśnie we wrześniu 1939 roku mija 25 lat od czasu, gdy jako oficer rezerwy armii rosyjskiej wjeżdżałem, w składzie korpusu kawalerii Chana Nachiczewańskiego, do tych samych Prus Wschodnich, których granic, jako granic Rzeczypospolitej, strzegę teraz na czele brygady kawalerii polskiej".

Nóż w plecy

W czasie wrześniowej walki z Niemcami Anders dowodził Nowogródzką Brygadą Kawalerii. 11 września dostał rozkaz objęcia dowództwa nad 20. i 8. dywizjami piechoty. Wszystko jednak w odwrocie, sytuacja była już tragiczna. Pod Warszawą przejął dowodzenie nad 10. dywizją. Potem od generała Rommla otrzymał nakaz wycofywania się na południe. Wreszcie nastał ten dzień potworny, który miał wyznaczyć punkt zwrotny w dziejach Polski, całego naszego narodu i samego Andersa... 17 września... „Nóż w plecy: Rosja" – zatytułował rozdział temu poświęcony w swojej książce. Opisał zarówno walkę, jak i próby rozmów z Sowietami, które tym się skończyły, że wysłany na owe rozmowy oficer, rtm. Stanisław Kuczyński został przez Rosjan obrabowany i ledwo uszedł z życiem. Trwały boje, kończyła się amunicja, brakowało środków opatrunkowych. Generał stwierdził, że najlepszym wyjściem jest rozdzielenie się na małe grupy i podjęcie prób przebijania się do granicy z Węgrami. Tak też zrobiono. Sam ruszył wraz z kilkunastoma podkomendnymi. W okolicach wsi Zastówka grupka Polaków została zaatakowana przez Sowietów, zaczęła się wymiana ognia. „Widać błyski wylotowe – wspominał Stanisław Koszutski – podbiegam do generała. Ten w pewnej chwili chwyta się za udo i mówi spokojnie: – Zdaje się, że jestem ranny. O! Dostałem i drugi raz! Ogarnęła nas w tej chwili jakaś straszliwa, zdeterminowana wściekłość. Bez słów wyrywamy granaty i rzucamy w strzelających".

Podkomendni chwycili Andersa pod ręce wywlekli dowódcę na szczyt wzniesienia, gdzie spróbowali założyć opatrunki. Były dwie rany – „jedna w krzyż, w okolicy nerek – maleńki otwór wlotowy, trochę siny, słabo krwawiący, bez rany wylotowej. Druga wysoko w udzie, silnie krwawiąca". Opatrzono je, jak umiano, za pomocą opatrunków osobistych. Rana nadal krwawiła i właściwie uniemożliwiała dalsze poruszanie się. „Byłem zdecydowany nie oddać się żywy w ręce napastników – zapisał Anders – ale moi towarzysze broni nie chcieli o tym słyszeć. Z największym trudem i poświęceniem właściwie prawie nieśli mnie na rękach. Dostałem krwotoku raz, potem drugi. Dałem kategoryczny rozkaz, żeby szli na Węgry. Żegnam tych świetnych żołnierzy".

Chciał zostać sam. On, ciężko ranny polski generał, naprzeciw nadchodzącym Sowietom. Ale nie opuściło go siedmiu najwierniejszych. Trwali przy nim niczym ostatni rycerze. W końcu jednak wszyscy wpadli w ręce Rosjan. To wówczas usłyszał słowa, które wypowiedział jeden z sowieckich sołdatów, a które trwale zapadły mu w pamięci: „My i Niemcy jesteśmy obecnie prawdziwymi przyjaciółmi i razem pójdziemy przeciwko kapitalizmowi światowemu. Polska wysługiwała się Anglii i dlatego musiała zginąć. Polski już nigdy nie będzie. Niemcy dokładnie zawiadamiają nas o ruchach wszystkich oddziałów polskich, które kierują się na Węgry i do Rumunii". A więc taki był plan Stalina – Polski miało nie być.

Katorga w Brygidkach

W początku października wywieziono generała Andersa do Lwowa, najpierw umieszczono go w Szpitalu Wojskowym na Łyczakowskiej, a potem przerzucono do innego, na Kurkową. To tam, któregoś październikowego dnia, zobaczył kuriera od gen. Januszajtisa – Tadeusza Strowskiego, który zabrał meldunek Andersa do Sikorskiego, do Paryża. Potem zaczęły się mordercze przesłuchania przez NKWD. Wożono go i innych oficerów w kilkunastostopniowym mrozie, jakimś rozklekotanym autobusem. Potem stawiano na korytarzach urzędu NKWD przy Pełczyńskiej. Czekać trzeba było, bo NKWD przesłuchuje nocą, zaczyna o godz. 22. Czego mógł się Polak dowiedzieć, gdy długimi godzinami oślepiano go światłem żarówek i wrzeszczano do ucha? Iż był przestępcą. Przestępstwem było postawienie tamy postępującemu bolszewizmowi w roku 1920. Przestępstwem było stawianie oporu we wrześniu 1939 roku. W końcu płk Krasow oświadczył Ander-

eprasa.pl 84d681be0e

sowi, że jest aresztowany. I tak dowódca Nowogródzkiej Brygady trafił do więzienia – do okrytych złą sławą Brygidek. To tam stosowano iście średniowieczne tortury w trakcie przesłuchań – bito, katowano aż do śmierci, nie tylko mężczyzn, lecz także kobiety i dzieci. Warunki były straszne. Cele zawszone i przepełnione – w takich przeznaczonych dla dziesięciu, dwunastu ludzi upychano po stu więźniów. Generał był cały czas ranny i słaby, poruszał się o kulach. W „Bez ostatniego rozdziału" zapisał: „Niestety, po kilku dniach jeszcze przed 1 stycznia 1940 roku, w nocy wpadło kilku enkawudystów; wyciągnęli mnie z łóżka i zaciągnęli do innego bloku, do celi pojedynczej. Zachowywali się z całą brutalnością. Kiedy szedłem z trudem po schodach, zostałem umyślnie potrącony i nie mogąc się utrzymać na kulach spadłem na dół". Andersa głodzono, bito, zostawiano w pomieszczeniu bez szyb w oknach przy trzydziestostopniowym mrozie. A jednocześnie cały czas kuszono, namawiano, by wstąpił do Armii Czerwonej. Wtedy katorga by minęła. Sowietom zależało na Andersie – miał za sobą dobrych kilka lat służby w carskiej armii, a w dodatku znakomicie władał językiem rosyjskim. Wreszcie 29 lutego 1940 roku przewieziono go do Moskwy – najpierw pociągiem, wagonem zwanym stołypinką, potem samochodem z zaciemnionymi szybami, tzw. czornym woronem.

Każdy musi się przyznać

Na dziedzińcu moskiewskiego więzienia zarządzono kilkakrotne rewizje. Generał wspominał, że enkawudziści robili je zawsze brutalnie, nie omieszkając sprawdzić każdego otworu ciała. Rozpruli mu ubranie, pocięli buty. W końcu znaleźli... medalik z Matką Boską. Zaczęli się grubiańsko śmiać: „No, zobaczymy, czy ci ta k... pomoże w sowieckim więzieniu". „Później w więzieniu – wspominał – często śnił mi się ten medalik. Ciągle widziałem twarzyczkę Matki Częstochowskiej, najczęściej podobną do św. Teresy. Czułem Jej ciągłą opiekę nade mną. Im więcej słyszałem koło siebie śmiechu bezbożników, tym głębiej utrwalała się wiara w Boga. Dodawała mi siły do zwalczania ludzkich słabości w tych ciężkich dla mnie chwilach".

Władysława Andersa więziono najpierw na Łubiance. Można tu było rozmawiać jedynie szeptem. Co chwila przez judasza w drzwiach cel zaglądali strażnicy. Ale przynajmniej okna były całe, więc więźniowie nie zamarzali. „Z miejsca nauczono mnie o trzech rzeczach: po pierwsze nie bać się, gdy sędzia śledczy będzie mówił, że wszystko wie i że na wszystko ma dowody, bo ich najczęściej nie ma; po drugie, niczemu nie wierzyć, ponieważ w Rosji sowieckiej nikt nigdy nie mówi prawdy; po trzecie na nic nie liczyć, gdyż nieznane są wypadki, by kogoś sprawiedliwie potraktowano i zwolniono z więzienia. Każdy musi się przyznać do wszystkich zarzucanych mu przestępstw. Jeżeli nie uczyni tego z dobrej woli, uczyni na torturach". Na ścianie pokoju przesłuchań wisiał napis głoszący, że NKWD „nigdy się nie myli". A system, rytm i sens przesłuchań był zgodny ze starą enkawudowską ideą – lepiej stu niewinnych rozstrzelać, niż jednego winnego zostawić na wolności. Jednocześnie w Związku Sowieckim narastały rządy terroru. Polaków wywożono setkami tysięcy na Sybir, zamykano w łagrach, deportowano całe rodziny, umieszczano w przysiołkach odległych o tysiące kilometrów od Polski, w skrajnie trudnych warunkach. Oni wszyscy doświadczali tego samego piekła, co cierpiący wówczas w Moskwie generał, ich przyszły Zbawca, ich przyszły Mojżesz wojskowy. Modlił się Anders w niewoli. Rozmawiał też o sytuacji politycznej i strategicznej, gdy tylko komukolwiek udało się przemycić jakieś „nowinki" z ogarniętego wojną świata. Generał przekonywał, że wojna będzie trwać długo, kilka lat, ale że najważniejsze są dwa przełomowe akty, które odmienią losy świata – po pierwsze Niemcy i Sowieci rzucą się sobie w końcu do gardeł, a po drugie Ameryka włączy się do wojny. Czekał więc w napięciu, marzył o tym, by w końcu wybuchła wojna między Hitlerem i Stalinem. Któryś z przesłuchujących go oficerów sowieckich rzucił mu prostu w twarz z ironicznym śmiechem: „Cóż wy myślicie, że wam pomnik wystawią w Warszawie?".

Zawsze wolni

W końcu nastąpił przełom – to, o czym z taką pewnością mówił Anders. 22 czerwca 1941 roku Niemcy zaatakowały Związek Sowiecki. 30 lipca ambasador Sowietów w Londynie Iwan Majski podpisał w imieniu ZSRS układ z gen. Władysławem Sikorskim, polskim premierem. Przywracano stosunki dyplomatyczne między obu państwami. Miała zostać sformowana polska armia. 4 sierpnia, na kilka dni przed urodzinami, do celi Władysława Andersa zastukał sowiecki oficer. „Jesteście wolni" – zakomunikował Polakowi.

Mylił się. Generał Anders był zawsze wolny. Jego prawdziwej, wewnętrznej wolności nie udało się Sowietom mu odebrać. Podobnie jak nie udało się im uczynić niewolników z milionów polskich obywateli. To oni poszli razem ze swoim generałem, by bić się o wolność dla Polski i dla świata. ■

eprasa.pl 84d681be0e

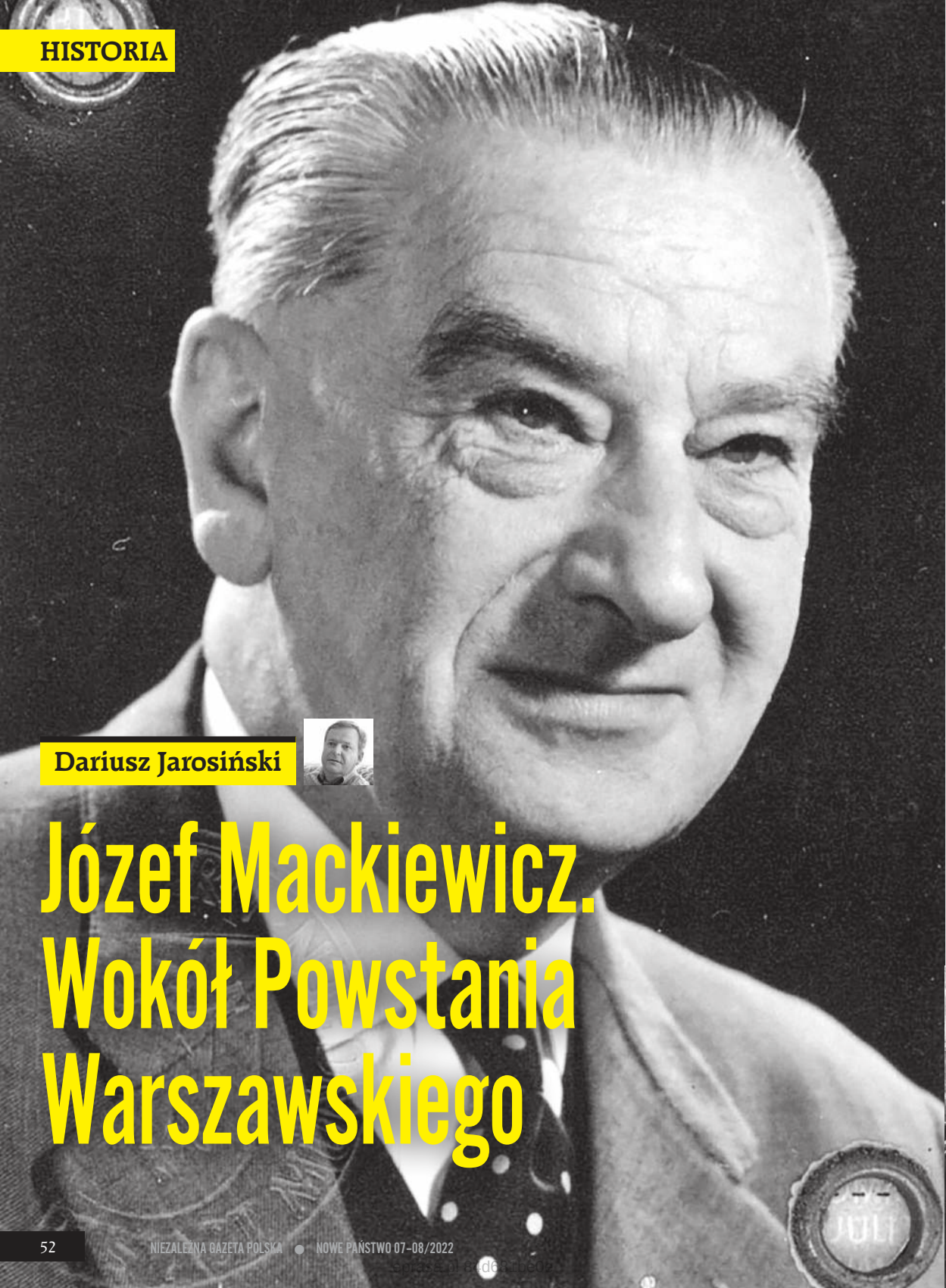

Dariusz Jarosiński

Józef Mackiewicz. Wokół Powstania Warszawskiego

Józef Mackiewicz należał do grona najbardziej surowych, lecz zarazem rzetelnych krytyków Komendy Głównej Armii Krajowej – uważał na przykład za bezsensowne działania „Wachlarza", akcji „Burza", operacji „Ostra Brama", które kosztowały wiele polskiej krwi, a służyły *de facto* bolszewikom – „sojusznikom naszych sojuszników". Ku zaskoczeniu wielu osób, znających poglądy autora „Drogi donikąd", ten twardy realista, bezkompromisowy antykomunista, pozbawiony złudzeń w ocenie sytuacji politycznej, bronił decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego.

fot. Arch.

Polscy konserwatyści, polityczni realiści prezentowali krytyczny stosunek do tradycji powstańczej, nie inaczej też przedstawia się sprawa z Powstaniem Warszawskim. Nawet historycy, publicyści utożsamiający się z poglądami Józefa Mackiewicza, mają inne zdanie niż autor „Kontry" na temat sensu wywołania powstania. Piotr Zychowicz, historyk, autor książki o wymownym tytule „Obłęd '44, czyli jak Polacy zrobili prezent Stalinowi, wywołując Powstanie Warszawskie", nazwany przez Krzysztofa Masłonia „późnym wnukiem Józefa Mackiewicza", w swojej publikacji jakoś dziwnie pominął wątek stosunku wileńskiego pisarza do Powstania Warszawskiego. Chociaż w „Obłędzie" znalazło się wiele cytatów z Mackiewicza, to nie zauważył jego tekstu z roku 1947 „Powstanie warszawskie z innej strony". Potraktował twórczość Mackiewicza w sposób wybiórczy – przytoczył jedynie te teksty swego politycznego mentora, które pasowały mu do tezy, że dowódcy AK zwariowali, wszczynając powstanie.

▶ Poświęcenie polskie podniesione do piedestału bohaterstwa

Tak się złożyło, że Józef Mackiewicz spędził dwa miesiące przed godziną „W" w Warszawie. Doskonale był zorientowany w sytuacji politycznej, poznał nastroje warszawskiej ulicy. W październiku 1944 roku, po upadku powstania, Biuro Studiów hrabiego Adama Ronikiera wydało w Krakowie broszurę Mackiewicza pt. „Optymizm nie zastąpi nam Polski". Pisał w niej: „Plan [Powstania Warszawskiego] był rozumny i pod każdym względem politycznie moralny. Nieprawdą jest, że wybuchło przedwcześnie, że działała tu »zbrodnicza lekkomyślność generała Bora«. [...] Mimo wszystko powstanie przyniosło nam ogromne korzyści polityczne. [...] odsłoniło istotne oblicze sowieckie, podniosło poświęcenie polskie do piedestału bohaterstwa i wstrząsnęło sumieniem świata. Daliśmy o sobie mówić na początku tej wojny, ale nie zawsze w sposób fortunny, gdyż nagły upadek Polski w 1939 roku był zbyt niespodziewany dla opinii nieprzywykłej wówczas do wojen błyskawicznych. Dajemy o sobie mówić u schyłku tej wojny, co jest rzeczą o wiele ważniejszą".

„Bóg zechce rozsądzić, czy równoważą one krew, mord, cierpienia naszych rodaków, hańbę kobiet, zniszczenie klejnotów rodzimej kultury, płacz dzieci. Czy ruiny splamione krwią, czy rozwłóczone po ulicach trupy naszych najlepszych, nie przeszkadzają nam w zimnym rachunku politycznym?" – to dramatyczne pytanie Józefa Mackiewicza dowodzi, jak bardzo przeżywał on ogrom tragedii wielkiego zrywu wolnościowego warszawiaków.

Kiedy na łamach emigracyjnej prasy przetaczała się fala krytyki Powstania Warszawskiego, Józef Mackie-

d681be0e

wicz ripostował w londyńskich „Wiadomościach" z 18 maja 1947 roku w artykule „Powstanie warszawskie z innej strony": „Cała sprawa powstania zwekslowana jest dziś na jednotorową propagandę i przedstawiana w ten sposób, jakby chodziło o to, że garstka bezbronnych szaleńców rzuciła się w niepoczytalnym stanie podniecenia i patriotyzmu na opancerzonego kolosa i za straty, jakie wywołała skutkiem swej lekkomyślności, powinna ponieść odpowiedzialność. Tak wcale nie było".

▶ Z Sowietami nie można się układać

Autor „Drogi donikąd" okupację sowiecką 1940 –1941 przeżył na Kresach, w Czarnym Borze pod Wilnem – to przede wszystkim wówczas nabrał przekonania, że główne zagrożenie dla naszego bytu narodowego stanowią Sowieci. Zdecydowanie krytykował politykę wschodnią polskiego rządu w Londynie, nie akceptował poczynań kierownictwa Armii Krajowej. Bezwarunkowe podporządkowanie się polskiego rządu na emigracji wobec decyzji państw alianckich oznaczało po roku 1941 w istocie pomoc śmiertelnemu wrogowi Polski – Sowietom.

Wiosną roku 1944 Józef Mackiewicz z żoną Barbarą Toporską postanowili opuścić Czarny Bór i Wilno. Doskonale wiedzieli, że wraz z nadciągającą od wschodu Armią Czerwoną zbliża się sowiecka okupacja Polski. W załatwieniu formalności związanych z wyjazdem do Generalnej Guberni, do Warszawy, pomógł im Władysław Studnicki.

Z żalem żegnał się autor „Kontry" z Wileńszczyzną: „Gdy wychodziłem po raz ostatni z domu...(Ileż tragizmu mieściłoby się w tym wyświechtanym zdaniu w czasach, gdy prawo własności było tak święte jak ołtarz parafialnego kościoła!) Nie spojrzałem nawet na masę własnych rzeczy. Siekiera tkwiła w pniu? Niech tkwi. Walizki miał podwieźć nazajutrz sąsiad, któremu zostawiałem całe obejście, bo choć to Pan Bóg dobry, a sąsiad ukradł mi kiedyś łańcuch od studni, ale zawsze lepiej, jak już zostawiać, to raczej na łasce sąsiada niźli na Boskiej opiece. Zresztą z tym łańcuchem to było dawno. A dziś wszystko jest dawno. Nachyliłem się jedynie przed budą, ażeby pogłaskać psa. Spał, wyciągnąwszy przednie łapy i na nich ułożył swój kudłaty łeb. Gdy go głaskałem na wieczne pożegnanie, ledwo otworzył oko i tylko ogonem wewnątrz budy wystukał takt. Może myślał, że idę sobie po prostu do stajni, albo przez dziedziniec do wygódki. Ani przeczuwał, że to na zawsze, ani, ani" (opowiadanie „Na drogę do Kalwarii").

W ostatnich dniach maja dotarli do Warszawy. Józefa Mackiewicza zadziwiła pogodna atmosfera warszawskiej ulicy – jakże inny nastrój panował na Kresach, w Wilnie. W Warszawie autor „Drogi donikąd" odbył kilka spotkań, rozmów. Czesław Miłosz, który spotkał się wówczas z wileńskim kolegą pisarzem, tak relacjonował owo spotkanie po latach w książce „Rok myśliwego": „Ostatnie rozdziały »Nie trzeba głośno mówić« dają miarę różnic aury pomiędzy Wilnem a Warszawą, tak jak je odczuwał przybyły z Wilna latem 1944 roku Mackiewicz. I obraz Warszawy, zwariowanej, lekkomyślnej, obojętnej na strzelaniny tu i ówdzie, dumnej ze swego bohaterstwa, wesołej, bo blisko zwycięstwo, jest u niego poprawny. Dla Mackiewicza była to beztroska dzieci, które nie chcą wiedzieć, że jeszcze chwila, a nic nie zostanie z ich zabawek, tak jak nic nie zostało w Wilnie. Mackiewicz po przyjeździe do Warszawy wyraził życzenie spotkania się ze mną i z Januszem Minkiewiczem. Odbyliśmy długą rozmowę. Z jego strony było to powtarzane na różne sposoby pytanie »jak to jest możliwe?« Więc teraz, kiedy jasne dla każdego, że alianci są daleko, nic? Żadnej próby dogadania się, choćby w ostatnim momencie, z przegrywającymi Niemcami, skłonnymi już do ustępstw? Teraz przecie można by było wydawać pismo, żeby mówić głośno prawdę o okupacji sowieckiej tłumioną przez polskie podziemie na usługach Londynu, a pośrednio Moskwy. Słuchaliśmy go z niedowierzaniem, jak się słucha człowieka niespełna rozumu. I wyśmialiśmy go. Powiedzieliśmy mu, że nikt by z takim pismem nie współpracował, że kolaborantom, Emilowi Skiwskiemu i Feliksowi Rybickiemu, nikt nie podaje ręki, a on, gdyby zaczął wydawać takie pismo, zostałby napiętnowany jako zdrajca. Mackiewicz nic nam nie powiedział o gazetce »Alarm«, której trzy numery podobno wydali wiosną 1944 we dwójkę z żoną. [...] Był to wówczas człowiek zrozpaczony i być może bardziej zrozpaczony niż Minkiewicz i ja, bo my zachowywaliśmy jakieś nadzieje".

Przychodzi mi tutaj na myśl inna sytuacja. Wiosną roku 1943 w wileńskim „Gońcu Codziennym", niemieckim piśmie, zaczęto publikować listy zamordowanych oficerów polskich w katyńskim lesie. W Wilnie nikt nie miał wątpliwości, że zbrodni na jeńcach wojennych dopuścili się Sowieci. Mieszkańcy Warszawy przyjmowali wiadomości niemieckich mediów z niedowierzaniem. Jak pisał Janusz Zawodny, autor słynnej pracy o Katyniu pt. „Death in the Forest", w Warszawie stali ludzie pod głośnikami i komentowali: „jeszcze jedno kłamstwo Goebbelsa". Niestety, bardzo podobnie było latem 1944 roku, kiedy do Warszawy z Wilna przyjechali Józef Mackiewicz z Barbarą Toporską – warszawiacy nie bardzo chcieli słuchać ich ostrzeżeń o zagrożeniu ze strony Sowietów.

Mieszkańcy Wilna, Wileńszczyzny już wiosną 1940 roku odczuli sowieckie represje na bezbronnej ludności – aresztowania, deportacje, zsyłki na Sybir. Warszawiacy nie mieli okazji do poznania perfidii bolszewickiej władzy.

Nie znamy dokładnej daty spotkania Józefa Mackiewicza z Czesławem Miłoszem i Januszem Minkiewiczem. Musiało to jednak być przed 6 lipca 1944 roku, bo

eprasa.pl 84d681be0e

nie było mowy w czasie spotkania o powstaniu wileńskim, czyli operacji „Ostra Brama", wszak, z 6 na 7 lipca z rozkazu dowództwa AK, oddziały Armii Krajowej rozpoczęły walki o zdobycie Wilna. Po tygodniu ciężkich zmagań polscy żołnierze kresowi przy współudziale Sowietów wyzwolili miasto spod okupacji niemieckiej. Operacja „Ostra Brama" zakończyła się polskim sukcesem militarnym, ale niestety nie politycznym. Sowieci w sposób dla siebie właściwy – zdradziecki i podstępny – aresztowali dowództwo AK Okręgu Wileńskiego, kilka tysięcy żołnierzy AK wywieźli do Kaługi, do łagrów, wielu partyzantów zamordowali. Polacy zdobyli Wilno dla Sowietów – taki był efekt polityczny operacji.

Wielka trójka – tzn. Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Wielka Brytania i Rosja Sowiecka – uznały operację „Ostra Brama" za niezgodną z międzyalianckimi umowami, ponieważ linia Curzona wyznaczała granicę polsko-sowiecką, a Kresy wedle niej miały być przynależne Sowietom. Wielka Brytania nałożyła za pośrednictwem swego ministra informacji cenzurę prewencyjną na wszelkie informacje o operacji „Ostra Brama" – powstaniu wileńskim. Zachód nigdy nie dowiedział się o tym zwycięstwie Polaków.

W Wilnie Komenda Główna AK przeprowadziła swoisty test lojalności „sojusznika naszych sojuszników".

Warto przy okazji wspomnieć, że udziału w operacji „Ostra Brama" odmówił dowódca 5. Wileńskiej Brygady AK, rotmistrz Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka". „Łupaszka" zebrał dowódców swoich szwadronów i oznajmił, iż nie ma zamiaru „defilować przed Ruskimi w Wilnie". „Trudno panowie, widocznie generał »Wilk« nie mógł inaczej. Oświadczam wam, że ja też inaczej nie mogę. [...] W tej defiladzie udziału nie weźmiemy. Dowódcy, zwracam się do was [...] pójdźcie teraz do swoich ludzi i powtórzcie im to, co wam powiedziałem". Wypowiedział też wówczas słowa, które na długo zapadły w pamięci jego żołnierzy: „Niech mnie historia osądzi, ale nie chcę, żeby kiedykolwiek nasi żołnierze byli wieszani na murach i bramach Wilna". „Łupaszka", najwaleczniejszy z najwaleczniejszych polskich oficerów, dowódców, który żadnej bitwy nie przegrał na Kresach, odmówił wzięcia udziału w wyzwoleniu bliskiego mu miasta. Zbyt dobrze rozumiał intencje, zamiary Sowietów, wiedział, że z nimi nie można się układać. Z nimi należy jedynie walczyć.

▶ Alarm

Józef Mackiewicz z Barbarą Toporską wydali w Warszawie tuż przed wybuchem powstania trzy numery pisma „Alarm". Już sam tytuł wskazywał na zawartość podziemnej bibuły wydrukowanej na powielaczu – ostrzeżenie przed Sowietami, a podtytuł nie pozostawiał żadnych wątpliwości: „Nadpartyjny organ do walki z bolszewizmem". Pierwszy numer ukazał się w kolportażu z datą 24 czerwca 1944 roku. Mackiewicz zdecydowanie odrzucał pomysły Jana Emila Skiwskiego wydającego za pieniądze niemieckie pismo „Przełom", który opowiadał się po stronie przegrywających wojnę Niemiec: „Pan Skiwski nie stoi na stanowisku przyszłej suwerenności Polski, a więc przestaje nas interesować".

Warszawiacy, wedle Mackiewicza, sprawiali wrażenie ludzi nieświadomych zagrożenia nadciągającego z Moskwy. Propaganda akowska nie chciała drażnić Sowietów – „sojusznika naszych sojuszników", więc pomijała milczeniem zbrodnie bolszewickie na Kresach. Krótko mówiąc: kłamała. Jedną z niewielu osób, u których Mackiewicz znalazł zrozumienie w Warszawie, był pułkownik Wacław Lipiński. Pisarz przekazał m.in. Lipińskiemu maszynopis książki traktującej o sowieckiej okupacji na Wileńszczyźnie. Pułkownik podzielał opinię autora „Drogi donikąd" o „inności psychicznego aspektu okupacji sowieckiej w zestawieniu z okupacją niemiecką". Uznawał pogląd, że nie warto marnować sił polskich żołnierzy, walcząc z wycofującymi się wojskami niemieckimi, a należy gromadzić energię, przygotowywać się do walki z okupantem sowieckim. Ludzi oceniających podobnie jak Lipiński sytuację w Polsce w kierownictwie AK było mało i nie mieli żadnej siły przebicia. Ich głos był głosem wołającego na puszczy. Kierownictwo AK ignorowało opinie, oceny Józefa Mackiewicza. (Pułkownik Lipiński został zamordowany w roku 1949 przez Urząd Bezpieczeństwa).

Józef Mackiewicz wyjechał z żoną z Warszawy tuż przed wybuchem powstania, 31 lipca 1944 roku. Wspominał później: „Dnia 30 lipca 1944 roku przyjaciel mój namawiał, bym został. Staliśmy wtedy na chodniku Alei Jerozolimskich w Warszawie, a jemu się zdawało, że się waham. Przez Wisłę z Pragi ciągnęły czołgi niemieckie w odwrocie. Jakoś ten rytm powolny, ten tylekroć słyszany zgrzyt żelaza, a przecież przypominał mi nagle pierwsze wrażenia sprzed lat, gdy szły tak samo ze wschodu na zachód sowieckie, w tryumfalnym pochodzie, a później wkraczały do miasta oblepione czerwienią, wiwatowane przez rozmaitą hałastrę uliczną. Wszystko co było między tym pierwszym wrażeniem i dniem obecnym stanęło mi nagle w pamięci, i gdy słuchałem przyjaciela, to miałem uczucie, jakby mi wciskał do ręki sznurek, sznurek od ciężkiej zasłony, za który mam dobrowolnie i własnoręcznie pociągnąć, aby zasłonę opuścić i perspektywę przed sobą zamknąć. Zasłonę, za którą jest duszno. Nie nazywano jej jeszcze wtedy »żelazną kurtyną«. Brrr, ocknąłem się z zamyślenia. – »Chodź lepiej na wódkę« – powiedziałem, żeby się otrząsnąć" („Na drogę do Kalwarii").

„Wyzwoleńcza" Armia Czerwona docierała już do Warszawy.

eprasa.pl 84d681be0e

Optymizm i Polska

Mackiewiczowie wyjechali z Warszawy 31 lipca w południe z zamiarem dotarcia do Krakowa. Po drodze zatrzymali się w Częstochowie. Na Jasnej Górze zanotował pisarz:

„Obraz Matki Boskiej pozostał nietknięty; wisiały wota i ciężkie, ociekające srebrem świeczniki; w krużgankach i korytarzach cicho było, tą wilgotną ciszą historycznych murów, tym spokojem wieków, majestatem starości, który zbyt dużo rzeczy widział, by mu się przyszło wzruszać widokiem nowych z naszej perspektywy, ale nie z perspektywy tego, co już się nieraz przewalało u stóp Jasnej Góry".

W Krakowie udali się na swój pierwszy spacer nad Wisłę w pobliżu Wawelu. Ciągle urzędował jeszcze tutaj gubernator Hans Frank. Krakowianie, inteligencja krakowska, szczerze wierzyli, że Sowieci nie mają złych zamiarów wobec Polski, a Armia Czerwona już wkrótce przyniesie im wolność. Wiara krakusów w dobre intencje Sowietów była dużo większa niż mieszkańców Warszawy.

Mackiewicz nie byłby sobą, gdyby nie przystąpił do działania, uświadamiania przede wszystkim ówczesnych elit krakowskich. Nawiązał wkrótce współpracę z prezesem Rady Głównej Opiekuńczej (RGO), hrabią Adamem Ronikierem, założycielem Biura Studiów. Była to zakonspirowana instytucja pomagająca Polakom i zajmująca się studiami nad polską myślą polityczną. Jak pisał w pamiętnikach hrabia Ronikier, 7 sierpnia, a więc tydzień po wybuchu powstania, delegacja w składzie: Józef Mackiewicz, Aleksander Bocheński, Jerzy Rogowicz i oczywiście hr. Ronikier, udała się do kardynała Adama Sapiehy, księcia metropolity krakowskiego, by go prosić o „zwrócenie się do władz polskich z odpowiednim pismem, zaś do władz niemieckich, by zechciał się zwrócić, by Jemu lub osobie przez niego upoważnionej, pozwoliły jechać do Warszawy dla zapośredniczenia w zawieszeniu broni". Kardynał Sapieha trzymając się zasady niemieszania się do polityki, odmówił. „[...] nie poszedł po linii naszych rozumowań i zamierzeń, które dopiero post factum stwierdzić mogliśmy, jak dalece były słuszne i jedynie celowe".

W październiku Biuro Studiów hr. Ronikiera wydało broszurę Józefa Mackiewicza pt. „Optymizm nie zastąpi nam Polski", w której autor powtarzał ostrzeżenia sformułowane już wcześniej w warszawskim „Alarmie". Pisał o uległości Zachodu wobec Stalina, analizował przyczyny filosowietyzmu w Polsce, przestrzegał przed grożącą nam w krótkim czasie sowiecką okupacją. Wiele miejsca w swoich rozważaniach poświęcił oczywiście Powstaniu Warszawskiemu. Było to przecież wkrótce po upadku powstania. Jakże gorzko, a zarazem aktualnie brzmią słowa Mackiewicza: „Wzajemne stosunki państw nie są wiązane węzłami uczuciowymi. W polityce międzynarodowej nie ceni się przyjaciół całkowicie oddanych, a w dodatku słabych". Widać wyraźnie z tekstu, że Mackiewicz wyzbył się wszelkich złudzeń, jeżeli chodzi o możliwość współpracy z Niemcami. Starał się pójść tokiem rozumowania osób podejmujących decyzję o wybuchu powstania:

„Plan jest taki: Ponieważ dalsza bierność wobec bolszewików wkraczających do Warszawy staje się rzeczą niemożliwą, a zatem, żeby nie drażnić koalicji Zjednoczonych Narodów oporem zbrojnym przeciw Sowietom, wywołać powstanie przeciwko Niemcom. Ale wywołać je w ostatniej chwili dla uniknięcia niepotrzebnych ofiar, wnieść przez to swój wkład do wspólnej puli wojennej Zjednoczonych Narodów, a następnie, w opanowanej już przez wojsko i władze polskie stolicy, spotkać wojska czerwone, stawiając zarówno je, jak cały świat, przed faktem dokonanym. Plan był raczej rozumny i pod każdym względem politycznie moralny. [...] Niemcy nie wstydziły się nazwać Warszawy »drugim Katyniem«, przyznając otwarcie, że leżał on w interesie Sowietów, z czego wynika, że wojska niemieckie w Warszawie spełniły tę samą rolę, co enkawudziści pod Smoleńskiem, na zlecenie tego samego Stalina [...]. Mimo wszystko, powstanie przyniosło nam ogromne korzyści polityczne. Bóg zechce rozsądzić, czy równoważą one krew, mord, cierpienia naszych rodaków, hańbę kobiet, zniszczenie klejnotów rodzimej kultury, płacz dzieci. Czy ruiny splamione krwią, czy rozwłóczone po ulicach trupy naszych najlepszych, nie przeszkadzają nam w zimnym rachunku politycznym? [...] Powstanie warszawskie odsłoniło istotne oblicze sowieckie, podniosło poświęcenie polskie do piedestału bohaterstwa i wstrząsnęło sumieniem świata. Daliśmy o sobie mówić na początku tej wojny, ale nie zawsze w sposób fortunny, gdyż nagły upadek Polski w 1939 r. był zbyt niespodziewany dla opinii nieprzywykłej wówczas do wojen błyskawicznych. Dajemy o sobie mówić u schyłku tej wojny, co jest rzeczą o wiele ważniejszą".

Widać, choćby z tych wybranych fragmentów rozważań, że Mackiewicz nie potępiał decyzji o wybuchu Powstania Warszawskiego. Uważał, że polski rząd na emigracji powinien wykorzystać tę przelaną polską krew w powstaniu w twardych negocjacjach z państwami alianckimi – Stanami Zjednoczonymi i Wielką Brytanią. Światowa opinia publiczna obszernie informowała o przebiegu zrywu. Zdecydowanie stała po stronie bohaterskich Polaków. Nigdy na pierwszych stronach gazet w czasie wojny nie znalazło się tyle informacji o Polsce, co właśnie wówczas. Brakowało jednak Polsce charyzmatycznego, roztropnego przywódcy – premier Stanisław Mikołajczyk miast domagać się od państw zachodnich – sojuszniczych – gwarancji suwerenności i niepodległości RP, zawierał kompromisy ze Stalinem, a jak wyszedł na tych kompromisach – wkrótce pokazał czas.

eprasa.pl 84d681be0e

Warto przytoczyć też znamienne słowa Mackiewicza z broszury „Optymizm nie zastąpi nam Polski: „Dziś bowiem jest rzeczą bardziej oczywistą niż kiedykolwiek przedtem, że każde nowe powstanie zbrojne na ziemiach polskich, jeżeli reprezentować ma wolę Narodu do bytu niepodległego, skierowane być winno wyłącznie już przeciwko bolszewikom".

I to powstanie wybuchło – powstanie antykomunistyczne. Do walki z bolszewią stanęli Żołnierze Wyklęci.

Śniadania z Sowietami

Po wojnie Józef Mackiewicz nie przyłączył się na emigracji do licznego chóru krytyków samego faktu wszczęcia Powstania Warszawskiego, wielu jednak przywódcom AK, politykom zarzucał brak umiejętności myślenia w interesie narodu, państwa. Miał odwagę kwestionować autorytety. Pisarz nie uznawał milczenia w imię „wyższych racji politycznych", nie pozwalało mu na to przywiązanie do prawdy.

Do tematu Powstania Warszawskiego powrócił Mackiewicz w artykule „Powstanie warszawskie z innej strony", zamieszczonym w londyńskich „Wiadomościach" nr 20 (59) z 1947 roku. Dyskusja na temat Powstania Warszawskiego w pismach emigracyjnych była niezwykle gorąca. Zryw miał niewielu obrońców, do tych nielicznych należeli Jan Bielatowicz, ks. Kazimierz Kantak czy Tymon Terlecki. Autor „Drogi donikąd" uważał jednak, że wszystkie teksty nie dotykają sedna sprawy – unikają jednoznacznego stwierdzenia, że Sowieci byli naszym takim samym wrogiem jak Niemcy, że ciągle gdzieś w głowach publicystów tkwi jak zadra termin „sojusznik naszych sojuszników" na ich określenie. Takie stawianie sprawy uważał za wypaczanie sensu powstania.

„Na tle fatalnej sytuacji r. 1944 trudno zrozumieć – pisał Mackiewicz – dlaczego ogół Polaków potępia akcję, której najoczywistszym celem było restytuowanie suwerennej stolicy z suwerennymi władzami i suwerennym wojskiem, wtedy gdy rzecz ta była łatwa do zrobienia? Jeden wróg odchodził, drugi nadchodził. Pomiędzy tych dwóch wrogów wstawić niepodległy skrawek, ba, centrum Polski! Co w tym było głupiego albo zbrodniczego?".

W artykule opowiedział o swoich przeżyciach z Warszawy sprzed wybuchu powstania. Wyjechał niemal w ostatniej chwili – 31 lipca o godzinie 12 w południe. Poznał zatem dobrze sytuację na kilkadziesiąt godzin przed godziną „W":

„Odwrót armii niemieckiej był w pełnym toku. W ostatnich dniach lipca osiągał swój punkt szczytowy, a wraz z nim nieuchronny bałagan. O żadnej mobilizacji mężczyzn pod pretekstem robienia fortyfikacji nie było mowy. [...] W piątek i sobotę okna pobrzękiwały od dalekiej kanonady. Radio Londyn nadało wiadomość, że marszałek Rokossowski przeniósł swą kwaterę w orbitę widoczności Warszawy i że stamtąd spogląda gołym okiem na stolicę Polski. 30 lipca al. Jerozolimskimi wycofywały się ostatnie tabory niemieckie, a później zaczęły iść czołgi za Wisłę. Na ulicach wisiały niezrywane obwieszczenia delegatury podziemnej. Żałuję, że nie miałem aparatu, gdyż sfotografowałbym następujący dokument historyczny. Na rogu Brackiej i Widok, wokół obwieszczenia delegatury rządu, naklejonego na słupie, zebrał się tłum ludzi. W tłumie tym stało czterech »granatowych« policjantów i dwóch żołnierzy Wehrmachtu. Była 10 rano. Żołnierze ci pytali o drogę, a zwabieni zbiegowiskiem, zainteresowali się, co plakat zawiera, i odeszli następnie obojętnie. O 11-ej byłem na Pradze. Niemcy palili dworce i składy, jak się normalnie pali przed oddaniem terenu w ręce wroga. [...] Nie było już ani porządku, ani kontroli. Każdy, kto chciał, mógł siadać i jechać bez żadnej przepustki. W takich warunkach powstanie, które wybuchło dopiero 1 sierpnia po południu, mogło liczyć na zupełny sukces i minimalne straty, co najwyżej w potyczkach z cofającymi się strażami tylnymi. Formalnie, przed światem, Warszawa wyzwolona by była przez wojska polskie, a wkraczającego nowego najeźdźcę powitałby suwerenny sztandar, zatknięty w suwerennej, wolnej stolicy. Otóż tego właśnie bolszewicy chcieli uniknąć za wszelką cenę".

Józef Mackiewicz uważał, że dowództwo AK miało prawo sądzić, iż osłabione Niemcy nie zechcą mieć „ogniska powstania na tyłach swego frontu", a także rozszyfrują zamiary Rokossowskiego stojącego na przedpolach Warszawy. O stawieniu czoła powstańcom mógł zdecydować jedynie maniak Hitler w ataku szału. Wódz III Rzeszy nazwał powstanie „drugim Katyniem" – to dowodzi, że rozumiał w czyim interesie rzuca duże siły wojska do Warszawy i tłumi zryw Polaków. Zdaniem Mackiewicza „niepodobieństwem było przewidzieć bezmiar zaślepionej, zaciętej tępoty Hitlera".

Mackiewicz nie uważa, by „Bór" Komorowski popełnił błąd, dając hasło do powstania. Jednak nie zostawia suchej nitki na generale, który w czasie pobytu po roku 1945 w Stanach Zjednoczonych „podkreślał, jak to Polacy wspomagali Armię Czerwoną w akcji, a jej dowódców podejmowali w Polsce śniadaniami i bankietami. Trudno zaprzeczyć, że w tradycji przywykliśmy do innych zwyczajów, które zresztą utrzymane są w większości krajów. Nie zwykło się wrogów podejmować śniadaniami, gdy wkraczają, by odebrać terytorium i niepodległość. Toteż wydaje się, że niejeden cudzoziemiec, mniej zorientowany w subtelnościach politycznych labiryntów Polski, może wyrazić zdziwienie w taki np. sposób: »Skoroście im tak pomagali w opanowaniu własnego kraju i podejmowali śniadaniami na powitanie, dlaczego się skarżycie, że u was pozostali?!«". ■

eprasa.pl 84d681be0e

Piotr Lisiewicz

Po napaści na Ukrainę Rosja ogłosiła, że walczy z nazistami. Potem Oleg Morozow, przewodniczący Komisji Kontroli Dumy Państwowej, zagroził, że Polska może być następna „w kolejce do denazyfikacji". W repertuarze propagandowym Rosji jest też zarzucanie Polsce niewdzięczności za wyzwolenie od nazistów w czasie II wojny światowej. Artykuł Jana Nowaka-Jeziorańskiego „Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941" z 1947 roku wydaje się w tej sytuacji szczególnie aktualny, także dlatego, że pokazuje, jak zmieniał się stosunek ZACHODNICH komunistów do hitlerowskich Niemiec. Ponieważ pakt Ribbentrop–Mołotow był utajniony nawet przed kierownictwami poszczególnych komunistycznych partii, początkowo wydawały one oświadczenie potępiające Hitlera, by po przyjściu odpowiednich wytycznych z Rosji zmienić poglądy o 180 stopni. Tak działał „Najlepszy sojusznik Hitlera", by przypomnieć tytuł świetnej książki Aleksandra Bregmana, który dziś bredzi o swoich wolnościowych zasługach.

Jan Nowak

Komunizm w sojuszu z Hitlerem: 1939–1941

Bombardowanie Londynu rozpoczęło się 7 września 1940. Partia komunistyczna – jak zwykle czujna i energiczna – zareagowała na to utworzeniem tzw. People's Convention. Celem tych organizacji miało być szerzenie rewolucyjnego defetyzmu wśród ludności. W tym samym czasie komuniści amerykańscy przy pomocy wszelkich dostępnych środków (w obu izbach, w prasie, w opinii publicznej) rozpętali wściekłą kampanię przeciwko pomocy gospodarczej i wojskowej Stanów Zjednoczonych dla Anglii.

W okresie narastania fali nazistowskiej w latach 1929–1933 komuniści stanowili po hitlerowcach i socjalistach trzecią najsilniejszą partię polityczną w Niemczech. Gdyby złączyli swe siły z socjaldemokracją niemiecką przeciwko Hitlerowi, gdyby zastosowali już wówczas taktykę „frontu ludowego", hitleryzm zapewne nie doszedłby do władzy i losy świata potoczyłyby się zupełnie innym torem. W owym czasie wszelka ugoda z socjalistami była jednak traktowana przez Komintern jako „zdrada", a propaganda komunistyczna określała niemiecką socjaldemokrację mianem „socjal-faszyzmu". Epitet miał oznaczać, że między hitlerowcami a socjalistami nie zachodzi żadna istotna różnica. Ci i tamci byli w pojęciu komunistów wrogami, których należało zwalczać, przyjmując kolejność: naprzód socjaliści, a dopiero później hitlerowcy. Elementy demokratyczne w Rzeszy musiały więc walczyć na oba fronty jednocześnie: z hitlerowcami i z komunistami. Mając przed sobą przeciwników skłóconych i wzajemnie zwalczających się, hitleryzm odniósł łatwe zwycięstwo, a komuniści w najbardziej namacalny sposób, bo na własnej skórze, doświadczyli, na czym polega różnica między demokracją a faszyzmem [...].

Na linii „frontu ludowego"

Historia tych czasów, które wydają się dziś odległe, nasuwa porównanie z okresem pomiędzy wybuchem wojny a zaatakowaniem Z.S.S.R. przez Hitlera, kiedy to Niemcy i Rosja związane były paktem Ribbentrop-Mołotow. Litera-

eprasa.pl 84d681be0e

tura i prasa anglosaska, wydobywając na światło dzienne coraz więcej nieznanych szczegółów z dziejów ubiegłej wojny, pozostawia w dyskretnym cieniu zachowanie się Rosji.

Tajne klauzule paktu 23 sierpnia 1939 pozostały tajemnicą nie tylko dla szerokiego ogółu, lecz nawet dla najwyższych kół i czynników kierowniczych poszczególnych partii komunistycznych. Rosji potrzebne było zaskoczenie i w tym celu nie wahała się poświęcić osobistego prestige'u najwybitniejszych apostołów komunizmu, narażając ich na jaskrawe dezawuowanie samych siebie wobec opinii publicznej ich własnych krajów.

Czołowi przywódcy komunistyczni na Zachodzie, nie będąc poinformowani o radykalnej zmianie sytuacji, działali dalej po dotychczasowej linii „frontu ludowego". Na drugi dzień po zaatakowaniu Polski przez Hitlera partia komunistyczna Wielkiej Brytanii wydała odezwę, w której głosiła: „Jesteśmy za uruchomieniem wszelkich niezbędnych środków dla zapewnienia zwycięstwa demokracji nad faszyzmem". Harry Pollitt, generalny sekretarz partii komunistycznej, w broszurze „Jak wygrać wojnę? (How to win the war?)" pisał: „Partia Komunistyczna popiera wojnę, wierząc, że jest to wojna sprawiedliwa, która powinna być poparta przez całą klasę pracującą i wszystkich przyjaciół demokracji w Wielkiej Brytanii. Stać z dala od tego konfliktu, kiedy faszystowskie bestie tratują Europę, byłoby zdradą tego wszystkiego, o co walczyliśmy w ciągu długich lat przeciwko kapitalizmowi".

Komuniści francuscy nie pozostawali w tyle za swymi brytyjskimi kolegami. 1 września 1939 komunistyczna grupa parlamentarna pod przewodnictwem Thoreza uchwaliła jednomyślnie rezolucję, dającą wyraz zdecydowaniu „wszystkich komunistów wysunięcia się na pierwszą linię oporu przeciwko agresji hitlerowskiego faszyzmu, w obronie wolności, niepodległości narodowej, podstaw demokracji i cywilizacji".

W kilka tygodni później „hitlerowscy faszyści" podali sobie ręce z czerwonymi wojskami na Bugu. Nowy pakt sowiecko-niemiecki, zawarty 28 września 1939, mówił o podjęciu przez oba rządy niezbędnych kroków dla położenia kresu wojnie wobec „uregulowania wszystkich spraw, wynikających z faktu, że państwo polskie przestało istnieć". Dosłownie w dwa dni później, 1 października, ta sama parlamentarna grupa komunistów pod przewodnictwem tegoż Thoreza wystosowała na ręce przewodniczącego izby deputowanych Herriota pismo z postulatem natychmiastowego zawarcia pokoju z Niemcami. W kilka dni później Thorez zdezerterował z szeregów armii francuskiej.

► „Najbardziej reakcyjną siłą na świecie jest Wielka Brytania"

W Anglii nie obeszło się bez zgrzytu na tym nieco zbyt ostrym zakręcie. W końcu września komitet centralny partii komunistycznej powziął uchwałę o „zmianie linii". Przeciwko uchwale padły dwa głosy: Pollitta i Campbella. Wkrótce potem obaj ogłosili listy w „Daily Worker", w którym poddawali ostrej „samokrytyce" własne stanowisko i przepraszali za „naruszenie dyscypliny". Ponieważ komitet centralny, do którego należeli, stanowi formalnie najwyższy organ partii, mogła być mowa tylko o nieposłuszeństwie popełnionym w stosunku do czynnika nadrzędnego, a więc wobec Kremla.

Jeszcze farba drukarska nie wyschła na broszurze Pollitta, a już ukazała się druga broszurka, tym razem pióra Palme Dutta, p.t. „Walczymy o życie (We Fight for Life)". Cele wojenne Churchilla, za które brytyjscy robotnicy mają umierać, pisał Dutt, są celami wojennymi brytyjskiego imperializmu – celami obrony i utrzymania panowania Imperium Brytyjskiego nad jedną czwartą częścią świata.

Gdy komuniści francuscy i angielscy przekonywali swoich współrodaków, że „nieprzyjaciel znajduje się we własnym domu", cóż mówili w tym samym czasie komuniści niemieccy?

Na tydzień przed zawarciem paktu niemiecko-sowieckiego Walter Ulbricht, członek komitetu centralnego niemieckiej partii komunistycznej, przemawiając przez radio z Moskwy, oświadczył: „Walka z Hitlerem wszelkimi środkami, będącymi w naszej mocy, jest absolutną koniecznością i dlatego francuski i polski lud muszą wspólnie przeciwstawić się odważnie niemieckiej agresji".

W pół roku później, z lutego 1940, na łamach pisma Kominternu „Die Welt", wydawanego w Stockholmie, ukazał się artykuł podpisany przez tegoż Ulbrichta. Oto niektóre jego ustępy:

„Ci, co intrygują przeciwko przyjaźni narodu niemieckiego i sowieckiego, są wrogami społeczeństwa niemieckiego i muszą być napiętnowani jako wspólnicy angielskiego imperializmu". „Klasa robotnicza, chłopi i pracująca inteligencja Niemiec, Austrii, Czechosłowacji i Polski stanie się najmocniejszą gwarancją niemiecko-sowieckiego paktu i przeszkodą w angielskich planach".

„... najbardziej reakcyjną siłą na świecie jest Wielka Brytania".

Czym był w praktyce pakt nieagresji między Niemcami a Rosją, można było najlepiej przekonać się na linii styku obu mocarstw, a więc w Polsce. Na terenach, okupowanych przez Niemców, znalazło się ponad 700.000 Ukraińców. Okupant niemiecki powstrzymywał się jednak od wszelkich posunięć, przyrzeczeń, słów pod adresem Ukraińców, które strona sowiecka poczytać by mogła jako wygrywanie przeciwko niej sprawy ukraińskiej. Z drugiej strony na terenie Generalnej Gubernii zamarł całkowicie wszelki ruch komunistyczny, nie było ani jednego organu podziemnej prasy komunistycznej,

eprasa.pl 84d681be0e

a wszyscy dzisiejsi dygnitarze P.P.R. przebywali albo w głębi Rosji, albo we Lwowie i w Wilnie [...].

Nie wiemy nic o jakichkolwiek objawach działalności podziemnych organizacji komunistycznych przeciwko Hitlerowi w Niemczech, w Austrii, w Czechosłowacji i Polsce, a raczej wiemy, że organizacje takie w owym czasie nie istniały. Wiadomo również, że ożywiona działalność komunistów na zachodzie nie ograniczała się do samych słów. W tym samym czasie, gdy przez Przemyśl i Terespol szły transporty ropy naftowej, bawełny i rudy żelaznej z Rosji do Niemiec, komuniści francuscy wysadzali w powietrze francuskie fabryki amunicji.

Los bezbronnej Anglii wisiał na włosku

Norwegia została zaatakowana przez Niemców 10 kwietnia 1940. Na dzień przedtem „Daily Worker" w artykule „Skandynawia w niebezpieczeństwie" pisał: „Rząd koalicyjny zdecydował się pogwałcić neutralność Norwegii". O inwazji zaś doniósł następnego ranka w następującym zdaniu: „W ciągu jednego dnia i nocy rządy brytyjski i francuski, łamiąc neutralność Norwegii, rozciągnęły front na długość 1.000 mil". Ani słowa, dosłownie ani słowa o tym, że Norwegia zaatakowana została nie przez Wielką Brytanię, ale przez Hitlera.

Z chwilą wkroczenia Niemców do Oslo przestały wychodzić wszystkie dzienniki stołeczne nie będące na usługach Quislinga, z jednym wszakże jedynym wyjątkiem. Wyjątek ów stanowił komunistyczny organ „Arbeideren". Pod nagłówkiem „Communists Stand Fast in Norway" „Daily Worker" pisał 3 maja 1940: „Ruch robotniczy może legalnie kontynuować swoją działalność i pomimo ścisłej cenzury wojskowej wydawać swój dziennik. Partia komunistyczna ogłosiła odezwę do narodu norweskiego na temat sytuacji. Okupowanie kraju przez Niemców przedstawione zostało jako rezultat angielsko-francuskich usiłowań rozszerzenia wojny imperialistycznej".

Po sukcesie w Oslo komuniści postanowili spróbować szczęścia w okupowanym Paryżu. W końcu czerwca 1940 trzej członkowie Centralnego Komitetu Partii Komunistycznej, Maurice Treand, Jean Catelas i Robert Foissin, zwrócili się do władz okupacyjnych o pozwolenie na wydawanie „L'Humanite".

„Należy pamiętać – pisali petenci – że my, komuniści, byliśmy jedynymi, którzy przeciwstawiali się wojnie, żądali pokoju, w chwili kiedy ściągaliśmy przez to na siebie niebezpieczeństwo".

Wskutek interwencji prefektury policji rządu Vichy, „L'Humanite" nie otrzymała pozwolenia na jawne i legalne istnienie. Nie przestała jednak ukazywać się jako pisemko podziemne, i broszura Daladiera „Reponse aux chefs communistes" przytacza następujący ustęp z numeru z 13 lipca 1940 :

„Przyjazne rozmowy pomiędzy robotnikami paryskimi a żołnierzami niemieckimi stają się coraz częstsze".

„Jesteśmy z tego bardzo radzi. Mówiąc żołnierzom niemieckim, że deputowani komuniści byli wtrącani do więzienia za obronę pokoju, mówiąc o tym, jak w r. 1923 komuniści buntowali się przeciwko okupacji Ruhry, pracujemy dla braterstwa francusko-niemieckiego".

Francja upadła, a los bezbronnej Anglii wisiał na włosku. Zdawało się że Niemcy stoją na progu zwycięstwa. Nie zmieniło to jednak taktyki komunistycznej ani o jotę. W sierpniu 1940, a więc bezpośrednio po klęsce francuskiej, komunista angielski John Lewis pisał: „Jeżeli rządzące klasy tego kraju (Wielkiej Brytanii) wygrają wojnę, nic nie będzie w stanie ocalić społeczeństwa brytyjskiego przed faszyzmem".

Szkodzić skutecznie

Jak dalece komuniści troszczyli się, by „klasy rządzące" Wielkiej Brytanii nie wygrały wojny, świadczyć może następujący fakt. Organizowana zaraz po Dunkierce „Home Guard" cierpiała na brak instruktorów. Zgłosili się wówczas na ochotnika dwaj wyżsi oficerowie Brygady Międzynarodowej i uczestnicy wojny domowej w Hiszpanii, Tom Wintringham i Hugh Slater. Pierwszy zorganizował obóz dla ochotników, drugi napisał broszurę „Home Guard for Victory", w której nie było zresztą ani słowa o polityce. Obu bezzwłocznie wyrzucono z partii komunistycznej.

Bombardowanie Londynu rozpoczęło się 7 września 1940. Partia komunistyczna – jak zwykle czujna i energiczna – zareagowała na to utworzeniem tzw. „People's Convention". Celem tych organizacji miało być szerzenie rewolucyjnego defetyzmu wśród ludności.

W tym samym czasie komuniści amerykańscy przy pomocy wszelkich dostępnych środków (w obu izbach, w prasie, w opinii publicznej) rozpętali wściekłą kampanię przeciwko pomocy gospodarczej i wojskowej Stanów Zjednoczonych dla Anglii.

Wszystkie te fakty prowadzą wyraźnie do jednego wniosku. Zachowanie się komunistów dalekie było od neutralności wobec dwóch wielkich państw „imperialistycznych", toczących między sobą wojnę. Postawa komunistów była postawą czynną, postawą wspomagania jednej strony przeciwko drugiej. Czy to we Francji, czy w Anglii, czy w Stanach Zjednoczonych organizacje komunistyczne czyniły wszystko co było w ich mocy by szkodzić sprzymierzonym, i to szkodzić skutecznie. ■

Przedruk za „Wiadomości", Londyn, 22 czerwca 1947. Śródtytuły pochodzą od redakcji „Nowego Państwa".

eprasa.pl 84d681be0e

Małgorzata Matuszak

Czym jest... współczesny hedonizm

Termin „hedonizm" wywodzi się od greckiego słowa „hedone", oznaczającego „przyjemność, rozkosz". I choć hedonizm różne ma znaczenia, obejmuje różne jego rodzaje – od materialistycznego i skrajnego po umiarkowany; w różny sposób pojmuje go też filozofia i choćby psychologia, to w każdej z jego postaci przyjemność właśnie uznawana jest za główny motyw ludzkich działań.

Hedonizm, jako myśl filozoficzna, narodził się w starożytnej Grecji. Za jego ojca uważa się Arystypa z Cyreny, ucznia Sokratesa. Uważał on, że przyjemność jest najważniejszą cnotą, dążenie zaś za wszelką cenę do niej – najważniejszym celem człowieka. Myślenie Arystypa rozwinął Epikur z Samos. Epikurejski hedonizm uważany jest za umiarkowany, racjonalny, przyjemność związana jest w nim bowiem z racjonalnym wyborem, w którym brany jest pod uwagę bilans przyjemności i przykrości, sama przyjemność postrzegana zaś jako potrzeba naturalna, a nie „wmówiona". Starożytny hedonizm wyewoluował w XVIII i XIX wieku w utylitaryzm i pragmatyzm. Najważniejsza różnica między hedonistami starożytnymi a współczesnymi polega na tym, że pierwsi dążąc do przyjemności, pragnęli przede wszystkim minimalizować cierpienie, drudzy zaś największy nacisk kładli na samej maksymalizacji przyjemności.

Hedonizmu nie należy utożsamiać z egoizmem. Dla starożytnego Greka dobro jednostki, czyli jego samego, było częścią dobra wspólnego i ogólnego. Był on równocześnie jednostką i istotą społeczną, myślenie jednostkowe zawsze związane było z myśleniem wspólnotowym. Także więc myślenie hedonisty. (Może z wyjątkiem skrajnego hedonizmu Arystypa). Także współczesny hedonista nie zawsze jest egoistą, choć oczywiście może nim być. Jeśli bowiem uważa przyjemność za najważniejszą wartość w życiu, może troszczyć się także o przyjemność innych ludzi i czerpać przyjemność z samego im pomagania.

Mówi się, że społeczeństwo we współczesnym świecie przyjęło postawę hedonistyczną, że coraz bardziej pragnienie, by „mieć" bierze górę nad pragnieniem, by „być". Stajemy się hedonistami materialistycznymi. Wmawia się nam, że posiadanie czegoś uczyni nas szczęśliwszymi, a nasze życie – lepszym. Owszem, pozyskanie dla sobie nowej rzeczy może sprawić nam przyjemność, tyle że jest to przyjemność ulotna, krótkotrwała i nie tak głęboka, jak tego oczekiwaliśmy. I bynajmniej nie stajemy się za jej sprawą szczęśliwi. Ci, którzy sądzą, że dzięki nowym rzeczom, a nawet – w szerszej perspektywie – nowej pracy czy nowemu miejscu zamieszkania, samorzutnie osiągną szczęście, doznają raczej rozczarowania i frustracji.

Atrakcyjność konsumpcjonizmu hedonistycznego opiera się na założeniu, że przyjemność i szczęście (rozumiane właśnie jako przyjemność) są ostatecznymi celami, do których warto i trzeba dążyć. Tym zaś, co pozwala ten cel osiągnąć, są dobra konsumpcyjne, posiadające zdolność „wytwarzania" przyjemności, a przez to również szczęścia. Nowoczesny hedonizm zwraca się w stronę emocji i pragnień, które wywołane są przez idealny obraz przyjemności, która związana jest z osiągnięciem wymarzonego dobra. Dobro to jest jednak najczęściej wyimaginowane. Po jego nabyciu ten, kto tego dobra pragnął, traci nim zainteresowanie, gdyż zaczyna już marzyć o kolejnym, budując w sobie następny wyimaginowany obraz przyjemności, która stanie się jego udziałem wtedy, gdy po to dobro sięgnie. Inna forma hedonizmu konsumpcjonistycznego związana jest z pragnieniem przeżywania czegoś ekscytującego, nowego, niedostępnego w codziennym życiu.

> Kiedy zaciera się granica między przyjemnością życia a życiem przyjemnością, redukujemy samych siebie do istot zmysłowych i żyjących tylko na poziomie emocji.

Hedonizm ma się dzisiaj, rzec można, bardzo dobrze. Niczym złym, pożądanym wręcz nawet, jest czerpanie radości z życia. Kiedy jednak zaciera się granica między przyjemnością życia a życiem przyjemnością, redukujemy samych siebie do istot zmysłowych i żyjących tylko na poziomie emocji. Siła przyjemności jest naprawdę wielka, nie można jednak zapomnieć o tym, że wartość przyjemności wypływa z wartości tego, czemu towarzyszy. ■

eprasa.pl 84d681be0e

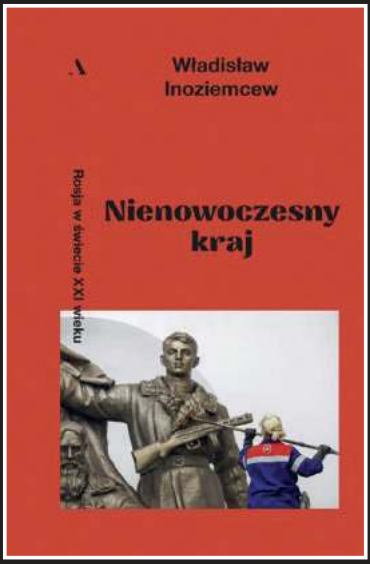

Władisław Inoziemcew „Nienowoczesny kraj. Rosja w świecie XXI wieku", Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020

Krzysztof Wołodźko

OBCA I WROGA. PRZEKLEŃSTWO NIENOWOCZESNEJ ROSJI

„Nienowoczesny kraj. Rosja w świecie XXI wieku" Władisława Inoziemcewa jest lekturą wymagającą pewnej znajomości rosyjskiej filozofii politycznej i politologicznych koncepcji, które współkształtowały globalne myślenie o współczesności. Książka napisana w znacznej mierze w Polsce, ale z myślą o Rosjanach, jest ostrzeżeniem, które zbyt późno wzięły na serio elity zachodnich państw. Także dla nas może być pożyteczna; rosyjski politolog przygląda się raczej procesom niźli ludziom, które – zgodnie z jego powiedzeniem – doprowadziły do „nędzy ruskiego miru".

eprasa.pl 84d681be0e

Ważna sprawa: „Nienowoczesny kraj" nie jest rynkową nowością. Książka ukazała się w Polsce w 2020 roku. Ale – podobnie jak wiele prac rosjoznawczych i sowietologicznych – trafiła na witryny i najbardziej eksponowane miejsca w księgarniach po napaści Rosji na Ukrainę. Inoziemcew jest rosyjskim zapadnikiem, metapolitycznym liberałem. W kwietniu 2022 roku na łamach niezależnego portalu „The Moscow Times" zauważył: „Zachodnie sankcje dotknęły dotąd rosyjskich polityków i propagandystów – ale nie ideologów. To błąd, bo to ci ludzie odpowiadają za zbrodniczą ideologię, która popchnęła Rosję do inwazji na Ukrainę". To trafna diagnoza, wszak kremlowskie starania o odbudowę imperialnej pozycji państwa spaja przede wszystkim ideologiczne dążenie głęboko wpisane w dzieje Rosji.

Zapóźnienie i odrębność Rosji

To państwo nie istnieje bez metafizycznej niemal historiozofii, której dwuznaczność z całą siłą pokazał w początkach XIX wieku rosyjski myśliciel Piotr Czaadajew, na którego powoływali się później i rosyjscy zapadnicy, i słowianofile. Jego losy jeszcze lepiej tę dwuznaczność wydobyły. W słynnym „Pierwszym liście filozoficznym" pisał o odrębności cywilizacyjnej Rosji wobec Europy jako dziejowej tragedii tego państwa.

Z rozkazu Mikołaja I został uznany za szaleńca, skazany na izolację w areszcie domowym i przymusowe leczenie. Po latach, w nie mniej głośnej „Apologii szaleńca" (1837 rok) ogłosił, że zapóźnienie i odrębność Rosji jest nie tyle jej przekleństwem, ile wielką dziejową szansą na wytyczenie nowej historycznej drogi, która przyniesie ocalenie nie tylko jego krajowi, lecz także całej Europie.

Rosyjska polityka historyczna nie jest zatem jedynie miękkim politycznym marketingiem, przydatnym soft power na miarę zachodnich sposobów uprawiania politycznego marketingu na arenie międzynarodowej; sposobem wzmacniania więzi społecznych w ramach narodowych państw i zbudowanych przez nie instytucji. Rosyjska polityka historyczna jest hipostazą imperialnej natury tego państwa, emanacją jej idei/ideologii.

Putin, czyli kieszonkowy Piotr I

Nie bez powodu przy okazji obchodów 350. rocznicy urodzin Piotra Wielkiego Władimir Putin posłużył się znanym nam również z czasów rozbiorowych hasłem „odzyskiwania" ruskich ziem. W grę wchodzi nie tylko megalomania obecnego prezydenta Rosji, który chętnie porównuje się z największymi tamtejszymi reformatorami i autokratami. On mówi językiem, który przeniknął każde włókno rosyjskiej duszy: „Możecie pomyśleć, że [Piotr Wielki – przyp. KW] walczył ze Szwedami, by zająć ich ziemie. Ale on nic nie zajął, on je odzyskał. [...] Wygląda na to, że i nam przypadł obowiązek odzyskania Ukrainy. Jeśli przyjmiemy, że te podstawowe wartości stanowią podstawę naszego istnienia, to odniesiemy sukces w rozwiązaniu problemów, które stoją przed nami". Putin najwyraźniej uważa, że i jego misją jest wyrąbanie nowego okna ku Europie – ale jest jedynie kieszonkowym Piotrem Wielkim.

Inoziemcew ze swoimi analizami Rosji przypomina zdecydowanie bardziej wczesnego Czaadajewa, który odrębność i zapóźnienie własnego państwa postrzegał jako drogę ku katastrofie, destrukcyjnej zarówno dla Rosji, jak i dla świata. Umiejętnie łączy opis analityczny, bazujący na koncepcjach metapolitycznych/politologicznych, z faktografią dotyczącą choćby stanu rosyjskiej gospodarki, demografii, instytucji. Ze smutną fascynacją stwierdziłem, że większość jego prognoz nie tyle się spełniła, ile ich spełnianie się nabrało niesamowitego tempa po 24 lutego 2022 roku. Historia Rosji przyspieszyła gwałtownie, mocno wpływając na bieg dziejów Europy i całego świata – być może nie doceniamy perwersyjnej radości, jaką mogą czerpać z tego faktu elity rosyjskie. Ale w tym przypadku radość niszczenia najprawdopodobniej nie będzie radością tworzenia.

Społeczeństwo pogodzone z upadkiem

Nie bez powodu Inoziemcew pisze we wstępie: „W gospodarce odwracamy się od stosunkowo otwartego świata zewnętrznego ku autarkii; od osiągniętej częściowo rynkowej gospodarki ku systemowi państwowych korporacji i banków; od konkurencyjnego środowiska ku monopolistycznemu. W społeczeństwie trwa renesans archaicznych norm w tradycjach niemal ruskiego »domostroju«; Cerkiew ponownie jednoczy się z państwem; powraca cenzura, rejestruje się coraz to nowe próby ograniczania swobody informacji. W polityce demokratyczne instytucje zostały prawie całkowicie zniszczone [...]". Najbardziej złowrogo brzmi puenta tego wątku: „Gospodarcza, polityczna, intelektualna i demograficzna degradacja nie przeraża społeczeństwa, które praktycznie całkowicie utraciło zarówno poczucie historycznego czasu, jak i instynkt samoobrony".

Zostańmy jeszcze na moment przy „szczególnej tożsamości" Rosji, która łączy „dojmujące poczucie peryferyjności" z dążeniem ku mocarstwowości. Jako czynniki integrujące rozległą rosyjską państwo-

eprasa.pl 84d681be0e

wość Inoziemcew wskazuje mitologizację i ideologizację dziejów. Jeśli oburza nas i zdumiewa dewastacja dzieł kultury, którą przyniosła wojna Rosji przeciw Ukrainie, Inoziemcew daje odpowiedź: Rosjanie nie cenią materialnej spuścizny dziejowej, są oswojeni z jej destrukcją: „Pod względem liczby zburzonych przez nas samych pomników architektury, zniszczonych dzieł sztuki, książek i dokumentów nie może się z nami równać nikt na świecie".

Dość oczywiste skojarzenie odeśle nas do czasów bolszewickiej rewolucji/wojny domowej w Rosji. Może jednak zastanawiać się, na ile jest to dziedzictwo ludowych rewolt, znanych nam jako pugaczowszczyzna, i tego specyficznego rosyjskiego nihilizmu, którego na poły groteskowe, na poły straszliwe oblicze stanowi tamtejsze wielowiekowe sekciarstwo i tajemnice głubinki, przejmująco pokazanej choćby w filmie Siergieja Łoźnicy „Szczęście ty moje".

Rosja między skrajnościami

Paradoksem tej sytuacji jest to, że Rosja żyje między skrajnościami: głęboko utajone w życiu społecznym anarchizm i nihilizm trzymane są na ogół w ryzach przez autorytarną władzę. Termin „gosudarstwo", czyli po rosyjsku „państwo", źródłowo odsyła do „gosudara", czyli „władcy". Nie chodzi jednak o człowieka, ale o swoistą „władczość", która na różne sposoby „sakralizuje" jednostki, którym udaje się sięgnąć po pełnię władzy. Gosudarska władza wywyższa ich ponad „dobro i zło": czyni zwierzchnikami nie tylko cywilnych instytucji, takich jak wymiar sprawiedliwości, ale też gwarantuje kontrolę nad Cerkwią. To ponadczasowy fundament ustroju Rosji: państwowość należy do aparatu władzy, na czele którego stoi gosudar. W tym systemie nie ma miejsca na jakikolwiek republikański czy demokratyczny rys; najprawdopodobniej dlatego – dodam od siebie – najłatwiejszym sposobem zastąpienia starego władcy nowym jest jego naturalne lub nagłe śmiertelne zejście.

Nie bez powodu Inoziemcew pisze o Rosji jako o „europejskim kraju autorytarnym". Pomimo pewnych złudzeń, jakie w tej sprawie żywiła zachodnia opinia publiczna, żaden władca na Kremlu nie był wybrany demokratycznie. I to właśnie w XX wieku, gdy historia Rosji w większym stopniu uległa „europeizacji": rewolucja bolszewicka/wojna domowa, czyli realna i radykalna zmiana władzy rękoma z udziałem mas ludowych – pisze politolog – była równoznaczna ze zniszczeniem państwa rosyjskiego w jego wielowiekowej postaci. Inaczej się tego w Rosji przeprowadzić nie dało. A później? Ani rządy Michaiła Gorbaczowa, ani Borysa Jelcyna, ani Władimira Putina nie miały nic wspólnego z demokracją: były to formy kremlowskich intryg i przewrotów: „Rosja [...] była i pozostaje krajem autorytarnym, a rzadkie w jej historii okresy słabnięcia władzy autorytarnej przetrwały w pamięci narodu nie inaczej niż jako »smuta«".

Siła i słabość neoimperializmu

To, co wydaje się źródłem imperialnej potęgi Rosji, jest jej równoczesną słabością. Inoziemcew nazywa swoje państwo „nierozwijającym się": wskazuje, że zarówno model jelcynowskiej prywatyzacji i oligarchizacji rosyjskiej gospodarki, jak i putinowska „oligarchia na usługach państwa" okazały się gospodarczo nieefektywne. W odróżnieniu od wielu rosjoznawców podkreśla jednak, że wcale nie były one tak różne od siebie: „W latach dziewięćdziesiątych powstały gospodarcze fundamenty współczesnego autorytaryzmu: wszystkie duże firmy okazały się zorientowane na budowę monopolistycznego kapitalizmu i zaczęły dostosowywać się do działań państwa, zamiast starać się na nie wpłynąć". To ważne, ponieważ tłumaczy, że Putin miał o wiele łatwiejsze zadanie, niż mogłoby się wydawać z opowieści skłóconych z nim dziś oligarchów: system postsowieckiej Rosji dryfował ku swojemu naturalnemu stanowi, niezależnemu od historycznych scenerii: zależności każdej sfery życia od woli i potrzeb gosudara.

Posłużmy się efektownym skrótem myślowym: w tej sytuacji istnienie świata innego niż rosyjski jest dla Kremla śmiertelnym zagrożeniem. Pokazuje bowiem możliwości, dla których jedyną odpowiedzią może być albo nowy model izolacjonizmu, albo globalna destrukcja. Przyjmijmy realistycznie/optymistycznie* (*niepotrzebne skreślić), że ta druga nie leży również w egzystencjalnym interesie rosyjskich gosudarów. W tej sytuacji osuwanie się w skrajną odrębność i pogłębioną izolację leży w interesie Rosji – co nie wyklucza wzrostu jej imperialnych dążeń; paradoksalnie, to się mocno warunkuje. Rzuca to interesujące światło także na rzekomy konserwatyzm Rosji i jej władzy: „Pozycjonuje się ona jako opoka konserwatyzmu i tradycyjnych wartości nie tyle dlatego, że jej liderzy rzeczywiście w nie wierzą, ile dlatego, że wszyscy oni zdają sobie sprawę, iż nowocześnie pojmowany rozwój jest nie do pogodzenia z utrzymaniem przez nich kontroli nad gospodarką i społeczeństwem".

Sprawy utrudnia jeszcze jeden fakt: potwierdzony choćby ucieczką z Rosji „ajtiszników", czyli pracowników branży IT na początku wojny, odpływ młodych Rosjan z kraju. Masowa emigracja przyspiesza społeczno-ekonomiczną degradację tego państwa. Ino-

eprasa.pl 84d681be0e

ziemcew nie ma przy tym złudzeń: młodzi Rosjanie niekoniecznie przyjmują zachodnie wartości – chcą za to bardzo zachodniego stylu życia, który być może właśnie znika z ich kraju ojczystego na długie dekady. Osobną kwestią jest, jakie niebezpieczeństwa wiążą się z taką sytuacją dla krajów, które przyjmą młodych, pozornie tylko zintegrowanych Rosjan.

HIV i inne tragedie

Jeden z najbardziej dających do myślenia rozdziałów „Nienowoczesnego kraju" nosi tytuł „W oczekiwaniu na społeczną katastrofę". W kwestiach społecznych Rosję dręczy pełzający kryzys, a mówiąc ściślej – regres, który rzutuje nie tylko na jakości życia młodszych i starszych Rosjan i Rosjanek, ale także odbija się negatywnie na gospodarce tego państwa (relacje między zdrowiem publicznym a gospodarką są niestety często przeoczane w krajach naszego regionu). Problemem są nie tylko niskie emerytury, kryzys demograficzny i niski poziom usług medycznych w przypadku większości społeczeństwa. Inoziemcew przypomina, że „Rosja pozostaje dziś jedynym dużym krajem [...], gdzie szybko rośnie liczba ludzi zarażonych HIV". I choć dziś wirus HIV i wywoływana przez niego choroba, czyli AIDS, nie stanowią tak wielkiego wyzwania w krajach zamożnych, to w Rosji „państwo nie gwarantuje chorym nawet tych preparatów, które są im wydawane w sąsiedniej Białorusi, nie mówiąc już o tych, których podawanie pacjentom jest rekomendowane przez WHO".

Nie mniejszym problemem jest zapaść polityki społecznej jeśli chodzi o osoby z niepełnosprawnościami: znaczna ich część pozostaje bez pracy, zasiłki są niskie, a dostosowanie nawet wielkich miast do ich potrzeb stoi na zatrważająco niskim poziomie. Inoziemcew wskazuje, że z roku na rok w Rosji kurczy się oferta „bezpłatnych usług medycznych": władze coraz mniej wydają na leczenie onkologiczne, zachodnie preparaty od lat zastępują rosyjskimi, opartymi na starszych formułach, ogranicza się nawet leczenie z pomocą antybiotyków, a fundacje zajmujące się choćby zapobieganiem zakażeniom HIV są rozbijane jako „wroga agentura". Czy kogoś może w tej sytuacji dziwić, że opium mas staje się w Rosji ideologia „ruskiego mira"?

Dodajmy do tego mocno aktualne spostrzeżenie: to wszystko może po części tłumaczyć, dlaczego państwo uchodzące za militarną potęgę ma takie problemy z kadrami wojskowymi – najprawdopodobniej na poziomie czysto biologicznym rezerwy rosyjskiej armii nie przedstawiają się najlepiej, nawet jeśli weźmiemy poprawkę na to, że w Rosji „ludiej mnogo". I jeszcze jedno: wojna przeciw Ukrainie jest wojną neokolonialną, jeśli spojrzeć właśnie pod kątem „ludzkich zasobów". „Za matuszkę Rossiję" walczą przede wszystkim ubodzy żołnierze z Kaukazu, giną fizycznie i duchowo, bo rosyjski model wojny na wyniszczenie napadniętego narodu/państwa straszliwie demoralizuje. Etniczni Rosjanie to najczęściej wyżsi dowódcy: Kreml robi wszystko, by oszczędzić życie moskwian – czy szerzej: obywateli Federacji ze swojej europejskiej części. Polityczny pragmatyzm pokrywa się w tej kwestii z wielkoruskim szowinizmem i straszliwą indoktrynacją nierosyjskiej części obywateli tego państwa.

Skażona ziemia, woda, powietrze

Tragikomicznie w świetle po części udanych starań Kremla o zapewnienie sobie wpływu na zachodnie ruchy ekologiczne brzmią informacje dotyczące stanu środowiska naturalnego w Rosji: „Według danych Greenpeace prawie 15 procent terytorium europejskiej części kraju powinno być uważane za strefę katastrofy ekologicznej". Można podejrzewać, że są to dane zaniżone, biorąc pod uwagę, że z różnych przyczyn zachodnie organizacje ekologiczne mają niepełne informacje o stanie faktycznym rosyjskiej przyrody. Inoziemcew przytacza dane, z których wynika, że prawie połowa ludności Rosji nie ma dostępu do zdrowej wody pitnej: „Co trzecia próbka wody z jej ujęć nie odpowiada nie tylko europejskim, lecz i nawet rodzimym standardom".

Dodajmy do tego gigantyczne wycieki ropy i produktów naftowych z rurociągów (coraz szybsze topnienie wiecznej zmarzliny na Syberii przyspiesza ten proces) oraz potężne ilości śmieci wokół rosyjskich metropolii. Dane sprzed kilku lat mówiły o ponad 210 milionach ton odpadów wokół Moskwy, zatruwających powietrze i wody głębinowe. Można się tylko domyślać, że z dala od miejskich centrów w europejskiej części Rosji jest tylko gorzej. W tym kontekście wojna na Ukrainie stanowi również biologiczną formę ucieczki do przodu – Kreml i jego zachodni partnerzy być może cynicznie szukali nowych terytoriów dla rabunkowej gospodarki.

Inoziemcew otwiera oczy czytelników i czytelniczek na procesy metapolityczne i społeczno-gospodarcze, które determinują historię i współczesność Rosji. To wszystko ma wpływ na jej relacje ze światem, które politolog podsumowuje krótko: podwójne standardy, niezbyt zręczne kłamstwa, narastająca agresja, niespotykana od dawna histeryczność. Nie mamy żadnego wyjścia. Musimy być przygotowani zarówno na kolejne militarne triumfy Rosji, jak i jej cywilizacyjną katastrofę. Do pewnego momentu mogą być one zresztą mocno ze sobą splecione. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Olga Doleśniak-Harczuk

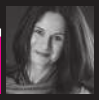

INNY BERLIN

Trasa biegnie od bazyliki św. Jana na Südstern po dziedzińce kompleksu Hackescher Höfe. Po drodze miniemy monumentalny posąg Chrystusa autorstwa Juliusa Mosera, nagrobek w kształcie astronauty (autor nieznany), antykwariat na świeżym powietrzu pod bramą Uniwersytetu Humboldtów. Dalej w muzeum historii Niemiec spotkamy Merkel, Marksa i Wagnera, by pod koniec stanąć oko w oko z Chopinem.

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

eprasa.pl 84d681be0e

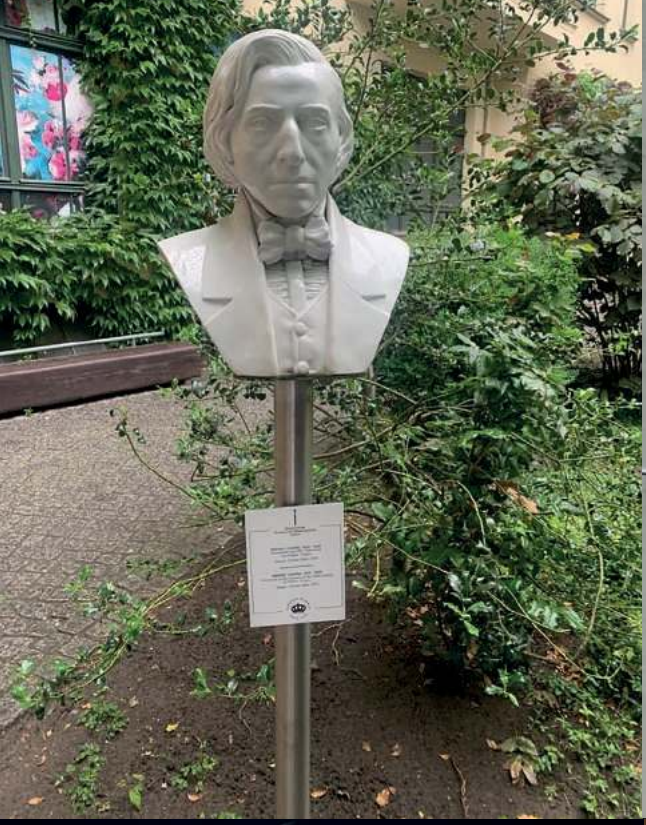

IN 2 MONATEN HAT
DEUTSCHLAN
9 MRD. € FÜR GAS UND
ÖL AN PUTIN GEZAHLT
#FossilsOrFreedom
MAGICUM
BERLIN MAGIC MUSEUM
WORLD'S FIRST INTERACTIVE
MAGIC MUSEUM
AM HACKESCHEN MARKT

FOT. OLGA DOLEŚNIAK-HARCZUK

Mozaikowa podłoga bazyliki św. Jana najpiękniej wygląda z wiązką witrażowego światła. Różowe, czerwone, żółte nasycone plamy skaczące z posadzki na ołtarz, z ołtarza na mury, by na końcu oświetlić plecy któregoś z wiernych, przenoszą człowieka w świat średniowiecznych katedr, w te wszystkie wspomnienia Huysmansa nasycone światłem i surowością. Ta bazylika została wybudowana w stylu neoromańskim pod koniec XIX wieku. Kościół garnizonowy, największy katolicki w Berlinie, a w dodatku siedziba Polskiej Misji Katolickiej. Przekraczasz próg i jesteś u siebie. Matka Boża Katyńska tuli głowę z widocznym śladem po kuli, nad ołtarzem głównym mozaikowy Chrystus Pantokrator, na jednym z witraży wizerunek Dietricha Bonhoeffera, duchownego ewangelickiego straconego w 1945 roku w obozie KL Flossenbürg. „To jest koniec – ale dla mnie początek życia" – miał powiedzieć przed egzekucją. Jest i błogosławiona Maria Teresa od św. Józefa, córka niemieckiego pastora, która w wieku 33 lat przeszła na katolicyzm, a w Berlinie założyła Dom dla niemających domu. Patrzy z kolorowych szkiełek na mozaikową posadzkę „polskiej bazyliki".

▶ Na przekór przeznaczeniu miejsce tętniące życiem

Julius Moser był synem cukiernika, ale nie poszedł w ślady ojca. Najpierw była Akademia Berlińska (zwana też Pruską Akademią Sztuk Pięknych), podróż studyjna do Rzymu i Paryża, a w 1888 roku profesura w Berlinie. To on wyrzeźbił monumentalną statuę Chrystusa Błogosławiącego na cmentarzu Trójcy Świętej II, największego z czterech cmentarzy ewangelickich zlokalizowanych w obrębie Bergmannstrasse. Rzeźba Mosera znajduje się pod kopułą kompleksu nagrobnego rodziny Friedricha Wilhelma von Krause, bankiera, przedsiębiorcy, handlarza winem. Zresztą cmentarz, na którym spoczywa, został założony na terenie winnicy. Winorośl oplata posągi, nagrobki, altanki cmentarne. Nad grobami berlińskich bankierów, poetów, kupców, polityków latają ptaki, mieszkańcy cmentarza. Z myślą o nich do ściany przylegającego do nekropolii budynku przytwierdzono dziesiątki ptasich budek. Dzięki temu to miejsce na przekór przeznaczeniu tętni życiem i jest wręcz parkowo rozśpiewane.

Idąc od strony bazyliki w kierunku dzieła Mosera i innych, mijamy cmentarz Trójcy Świętej III, gdzie pochowano m.in. terrorystkę RAF-u, Ulrike Meinhoff, ale najmocniej w tamtej okolicy uwagę przykuwa zakład kamieniarski usytuowany vis-à-vis bramy cmentarnej. Za siatką widać nagrobek w kształcie astronauty i jeden opatrzony kodem QR. Są również wszelkiego rodzaju spersonalizowane rzeźby nagrobne, w tym piłka. Taka niemiecka odpowiedź na „wesoły rumuński cmentarz" w Marmarosz.

Alexander von Humboldt siedzi na swoim marmurowym tronie wpatrzony w czerwcowe niebo. Uczelnia za jego plecami już niejedno przeszła i niejedno wymyśliła. Ostatnio na przykład konferencję

eprasa.pl 84d681be0e

antynatowską. W trzecim miesiącu wojny na Ukrainie. Przed bramą tradycyjnie rozłożyli stoły antykwariusze. Książki, stare aparaty fotograficzne, pocztówki z lat 30. XX wieku, mnóstwo maleńkich przedmiotów wrzuconych w spore naczynie. Jest i jedno z pierwszych wydań kultowej książki Gordona A.Craiga „O Niemcach". To dobry adres dla poszukiwaczy antykwarycznych skarbów w samym sercu uniwersyteckiego Berlina.

Upiory w muzeum

Wchodzi się do pokoju, zamyka drzwi i wciska zielony przycisk świecący w ciemności. I nagle głos kobiecy w jidysz żongluje antysemickimi cytatami, w rytm wagnerowskich rytmów. Jest głośno, jak w horrorze, ale takim w starym stylu, z lat 70. Zwiedzający wchodzą do czarnej skrzynki, przysiadają na pufie i nagle w popłochu wstają i wychodzą. A raczej wybiegają. Z takim gestem rąk, jakby coś od siebie odpędzali. Ten mroczny spektakl to część wystawy poświęconej Richardowi Wagnerowi i „niemieckiemu uczuciu" w Niemieckim Muzeum Historycznym w Berlinie. Antysemityzm i nacjonalizm Wagnera posłużyły za pretekst do wciągnięcia zwiedzających w wir kolażu dźwiękowego. Instalacja nazywa się „Schwarzalbenreich" i jest dziełem reżysera Barriego Kosky. I jest to najbardziej zaskakujący wątek wystawy. Chociaż portret Wagnera wystylizowanego na Albrechta Dürera, wyszywany pantofel kompozytora skryty w szklanej gablocie czy rysunek przedstawiający rodzinę Wagnerów wystylizowanych na Świętą Rodzinę też robią wrażenie.

Wyżej w tym samym budynku nowego skrzydła muzeum są jeszcze dwie wystawy. Jedna poświęcona Marksowi i druga – Angeli Merkel. Trudno powiedzieć, która bardziej upiorna. Ta marksistowska z pewnością jest jednak ciekawsza. Zapaleni proletariusze mogą spróbować swoich sił w „pompowaniu zysków kapitalisty", co wygląda trochę jak polowanie na pierwszą nagrodę w wesołym miasteczku. Po prostu tłok, pompka i determinacja, by machina ruszyła. Mało komu się jednak udaje. Czerwone twarze zwiedzających potwierdzają próżność wysiłków. Cel dydaktyczny osiągnięty.

Wiadomości na murach

Ukraina jest obecna. Na ulicach, murach, flagach powiewających chociażby z budynku Miejskiej Biblioteki przy Unter den Linden. Jest i Putin. Niech każdy sam sobie jednak tłumaczy wiadomości, jakie zostawiają dla niego na murach berlińczycy.

Na jednym z podwórek Hackerscher Höfe stoi popiersie Chopina. Przed chwilą padało, więc zieleń, z której wygląda Fryderyk, pachnie intensywnie i może zakręcić się w głowie. Chopin ma kolegę, starego Fryca, którego popiersie również jakaś kreatywna dusza ustawiła na środku niewielkiego placyku. Za chwilę znowu zacznie padać. Czerwiec w Berlinie jest duszny i mokry. Pora wracać do domu. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Krzysztof Karnkowski

„Stranger Things 4”. Bardzo znajome rzeczy

Na czwarty sezon serialu „Stranger Things” braci Dufferów czekaliśmy trzy lata. Prace spowolniła pandemia. Czy było warto? Oczywiście!

Choć w czwartej serii aktorzy postarzeli się trochę bardziej od granych przez siebie postaci – akcja toczy się bowiem rok od wydarzeń z serii trzeciej – po tym przedłużonym oczekiwaniu dostaliśmy jednak bardzo porządną produkcję. Sezon podzielony został na dwie części. Siedem krótszych (ale i tak długich) odcinków premierę miało w maju. Gdy piszę te słowa, fani czekają jeszcze na kolejne dwa potężne, trwające łącznie cztery godziny, kończące czwarty i, jak już wiemy, przedostatni sezon „Stranger Things”.

Bardzo krótkie streszczenie

Sam podział serii dodatkowo nakręca zainteresowanie i rozbudza apetyty. Zauważmy, że jest to zabieg typowy raczej dla kilkuczęściowych produkcji filmowych niż seriali. Jednak zważywszy na rozmach i stopień dopracowania poszczególnych odcinków, można być pewnym, że i za tym doliczonym czasem znów stoi ogrom pracy, a także pieniędzy. Efekty specjalne czy wykreowane anty-światy swoje musiały kosztować, lecz nie były to na pewno środki wyrzucone w błoto. Podejrze-

eprasa.pl 84d681be0e

wam, że większość z czytających, zainteresowanych tematem, widziała już przynajmniej pierwsze siedem odcinków, co osłabia czujność w kwestii spojlerów. Spróbuję jednak zminimalizować ich liczbę. Gdyby ktoś w ogóle nie zetknął się wcześniej z fenomenem „Stranger Things", bardzo krótkie streszczenie: w 1983 roku znika jeden z czwórki dzieciaków, na co dzień grających w gry fabularne i jeżdżących na rowerach po typowej, małomiasteczkowej amerykańskiej okolicy. W tym samym czasie z pobliskiego tajemniczego laboratorium, prowadzącego niesympatyczne eksperymenty nad psychiką posiadających nadzwyczajne moce dzieci, ucieka dziewczynka, nazywana Nastką (w oryginale – „Eleven" od wytatuowanego na ręku numeru 11). Oczywiście los styka ją z trójką szukających przyjaciela chłopców. W poszukiwania włącza się też kilkoro ich trochę starszych kolegów, mama zaginionego i miejscowy komendant policji. Mniej więcej wtedy zaczynają się orientować, że obok istnieje równoległy świat, który więzi małego Willa. Bohaterowie próbują uratować chłopca, nawiązują więc walkę ze złowieszczym demogorgonem, a jakby tego było mało, muszą też ukrywać się przed służbami ścigającymi Nastkę. W drugim sezonie demogorgona zastępują łupieżcy umysłów, a w trzecim na to wszystko ładują się jeszcze Rosjanie, chcący wykorzystać do swoich celów zło gnębiące małe, lecz mające opinię przeklętego, miasteczko Hawkins. I tu pojawia się pewna wartość dodana – utrzymanie całości w stylistyce lat 80. pozwoliło wprowadzić na scenę dawno już nieobecną w nowej amerykańskiej popkulturze figurę złych Rosjan.

Z klasyki amerykańskiego horroru

Wyłapywanie kodów i nawiązań popkulturowych jest ulubioną rozrywką widzów serii i jej wielką wartością dodaną, dlatego nie będę tu wymieniał zbyt wielu inspiracji. W czwartej serii, poza piosenką Kate Bush kluczową dla wątku Max, wyróżniają się zdecydowanie inspiracje postacią i schematem działania Freddy'ego Krugera, a najważniejszy odtwórca jego postaci, Robert Englund, pojawia się w jednym z epizodów. Znajdziemy tu dużo nawiązań do klasyki amerykańskiego horroru, w tym do obrazów skierowanych do starszych widzów – inspiracje poważnieją wraz z bohaterami. Antagonista serii, Vecna, jest postacią z uniwersum gry „Dungeons & Dragons", jednak pierwowzór ubogaciło nadanie mu cech kilku postaci filmowych, w tym Krugera. O ile jednak bohater serii Vesa Cravena atakował bohaterów w czasie snu, Vecna wciąga ich do alternatywnego świata (znanego już z poprzednich serii, choć zamieszkiwanego przez inne kreatury), podczas gdy w świecie realnym postacie pozostają w specyficznym stuporze. Trzeba docenić, że bracia Dufferowie bardzo pilnują dat premier filmów i innych tego typu niuansów, więc nasi bohaterowie emocjonują się dokładnie tym, czym pasjonowali się ich rówieśnicy ze sfilmowanego czasu – „Niekończąca się opowieścią", „Powrotem do przyszłości" czy „Ghost busters".

Istotnym elementem jest też zaistniała w Stanach drugiej połowy lat 80. panika moralna, która w świecie coraz bardziej popularnych gier czy muzyki metalowej kazała konserwatywnej Ameryce tropić praktyki satanistyczne. Pierwsze ofiary społeczność miasteczka z archetypowymi sportowcami z liceum na czele przypisuje długowłosemu graczowi i fanowi metalu, którego postać inspirowana jest zresztą prawdziwą historią skazanego wraz z dwójką przyjaciół za niepopełnione morderstwo nastolatka. Gdy chłopaka trzeba będzie ukrywać przed mieszkańcami, demon szaleć będzie w najlepsze, atakując kolejne ofiary za pomocą ich lęków i tajemnic, by finalnie miotać nimi niczym opętaną Regan w „Egzorcyście". Do klasycznej warstwy horroru dołożono jednak wiele, w tym jedną, według mnie niesamowicie plastyczną scenę, w której zły lata nad kolekcją potencjalnych ofiar, a uwięzieni w tej mrocznej pajęczynie ludzie (a może tylko awatary ludzi?) wymawiają normalne, codzienne, ukazujące niepokoje zdania, które Vecna może zmienić w śmiertelny koszmar. Tak jak robi to z kolejnymi nastoletnimi bohaterami serialu.

Trochę „Gry o tron", trochę „Dark"

Oczywiście to znów tylko część historii. Nastka, po stracie mocy i doświadczeniu szkolnej przemocy, wróci do laboratorium, by odkryć swą przeszłość, a dzielny szef policji, którego chyba tylko bardzo naiwni widzowie zdążyli opłakać po jego zasugerowanej w finale trzeciego sezonu śmierci, odnajdzie się... w Rosji, bardzo podobnej do świata z północnej granicy świata „Gry o tron" i strażnicy Wron. Być może to tylko moje skojarzenie, mam natomiast pewność, że tym razem to twórcy „Stranger Things" postanowili poczęstować się kilkoma inspiracjami z pokrewnego „Dark", i wyszło im to na zdrowie. Pojawią się różne plany czasowe i dość znajomo wyglądające przejścia między światami. Na koniec warto dodać, że dwa odcinki z pierwszej części czwartego sezonu wyreżyserował Nimród Antal, twórca znany z kultowego węgierskiego filmu „Kontrolerzy". A więc – do oglądania! Nie zapomnijcie tylko Państwo, w którym roku jesteście. ■

FOT. MAT. PRAS.

eprasa.pl 84d681be0e

Marek Kalinowski

Zespół marzeń

Kto z nas nie budował w wyobraźni zespołu marzeń? A gdyby tak połączyć Thoma Yorke'a i Jonny'ego Greenwooda z muzykami londyńskiej sceny jazzowej i jeszcze zabarwić to wszystko dźwiękami London Contemporary Orchestra? Poznajcie nową supergrupę – The Smile!

Dokładnie 25 lat upłynęło od wydania płyty „OK. Computer" przez brytyjski zespół Radiohead, albumu dla wielu słuchaczy przełomowego. Płyta jest szczególnie ważna dla osób dorastających w latach 90., w pewnym sensie zamykająca erę bezwzględnej fascynacji muzyką gitarową. To także rozliczenie z czasem dobrobytu, luzem, który z rock'n'rollem był nierozerwalnie związany. Jeśli pełne obaw społeczne przepowiednie Thoma Yorke'a mogły wydawać się wówczas nieco obsesyjne, na kolejnych płytach lider Radiohead mógł już tylko odcinać kupony od zarysowanych wcześniej perspektyw i w rytm coraz bardziej ambientowej muzyki krzyczeć: zobaczcie, to już się dzieje!

Od kilku lat muzycy Radiohead zrobili sobie dłuższą przerwę od wspólnego grania, ostatnia płyta „A Moon Shaped Pool" ukazała się w 2016 roku. Thom Yorke oraz gitarzysta Jonny Greenwood – główna siła napędowa zespołu – skupili się w tym czasie na własnych solowych projektach, z sukcesem poświęcając czas muzyce filmowej. Pierwszy jest autorem znakomitej ścieżki dźwiękowej do filmu „Suspiria", a Greenwood kontynuował wieloletnią współpracę z reżyserem Paulem Thomasem Andersonem oraz napisał nominowaną do Oscara muzykę do westernu „Psie Pazury".

Teraz, po latach przerwy, muzycy znów razem wrócili do studia, ale w ich nowym zespole The Smile zabrakło miejsca dla reszty załogi Radiohead. Na pokład zawitali natomiast wirtuozi związani z bardzo żywą ostatnio londyńską sceną jazzową. Na perkusji gra Tom Skinner z zespołu Sons of Comet znanego saksofonisty Shabaki Hutchingsa. Pojawiają się też w sekcji dętej bracia Nathaniel i Theon Cross, saksofonistka Chelsea Carmichael, trębacz Byron Wallen, a nawet muzycy London Contemporary Orchestra. Patrząc na tak oryginalny skład można by się spodziewać kolejnej muzycznej rewolucji, którą ku uciesze fanów uknuli York i Greenwood, a tymczasem otrzymujemy całkiem zgrabną, ale i nieco nudnawą retrospektywę całej twórczości Radiohead w pigułce, w sam raz na rocznicę legendarnej płyty „OK. Computer".

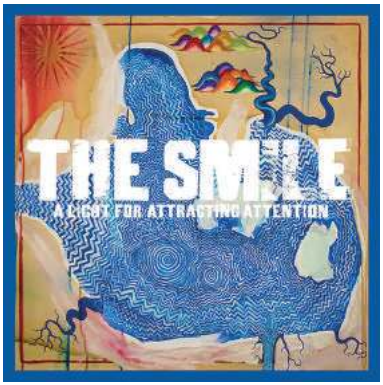

The Smile, A LIGHT FOR ATTRACTING ATTENTION, XL

Ci, którzy ze szczególną nostalgią wspominają gitarowe początki Radiohead, z zainteresowaniem przyjmą wykrzyczane „You Will Never Work In Television Again". Thom York w punkowej furii rzuca oskarżenia w kierunku potentatów medialnych wykorzystujących swoją pozycję dla wykręcania kolejnych świństw. Nawet średnio dociekliwi słuchacze nie będą mieć problemów, by odnaleźć w tej piosence konkretne nazwiska. „Skating On The Surface" przypomni melancholijny fragment pamiętnego „Knives Out", a utwór „Pana-vision" przeniesie skojarzeniami do „Pyramid Song" z tej samej, doskonałej płyty „Amnesiac".

York i Greenwood fundują słuchaczom emocjonalny rollercoaster często nawet w obrębie jednego utworu. Szalone pomysły kompozytorskiej dwójki trzyma na szczęście dość sprawnie w ryzach Tom Skinner. Najbardziej jednak brakuje na albumie The Smile miejsca dla tych wszystkich fantastycznych muzyków, których udało się zaprosić do nagrań. Choćby niskie brzmienia tuby Theona Crossa stanowią jedynie nieśmiały akcent na jednym z najlepszych fragmentów tego albumu „The Smoke". Byłoby wspaniale, gdyby potencjał tych muzyków znalazł więcej przestrzeni. Może na kolejnej płycie? ■

eprasa.pl 84d681be0e

Krzysztof Karnkowski

Przygotuj się na najszybsze

„Przygotuj się na najlepsze!" – wykrzyczeli do nas wokaliści Luxtorpedy w promującym nowy materiał singlu pod takim właśnie tytułem. „Omega" to siódmy studyjny, a szósty zawierający premierowe utwory, album zespołu. Nie jest to na pewno najłatwiejsza w odbiorze płyta poznańskiej kapeli.

Wspominany singiel jest dość nośnym kawałkiem, talentu do tworzenia takich utworów zespół nie stracił, niemniej nie jest to raczej przebój na miarę „Autystycznego" czy „Mambałagi". Tym razem bowiem Luxtorpeda odeszła od swego „patentu na hit", w którym regularnie, na niemal każdej płycie łączyła przynajmniej w jednym utworze lżejszy tekst, ostre, lecz melodyjne gitary i taneczną perkusję. Tu zamiast kolejnego „Autystycznego" dostajemy rapowany, jadący do przodu kawałek, którego klimat znakomicie podkreśla nakręcony w wynajętym autobusie „ogórku" teledysk. Co jeszcze można napisać o „Omedze"? Po nagranym w 2020 roku „Anno Domini MMXX" muzycy odpłynęli na chwilę w eksperymenty z lżejszym, podbitym elektroniką brzmieniem na płycie „Elektroluxtorpeda". Być może właśnie dlatego tym razem nabrali ochoty, by zagrać szybciej i ostrzej niż wcześniej. „Omedze" jest najbliżej ze wszystkich płyt grupy do klasycznego thrashu i hardcorepunka. Mamy tu dużo perkusyjno-gitarowych galopad, nieodległych od tego, co lata temu Litza nagrywał wspólnie z K. Staszewskim w Kaziku na Żywo. Więcej tu na pewno KnŻ niż Arki Noego, nawet w wersji dla dorosłych. Przekaz, cały czas politycznie niepoprawny, stał się jeszcze bardziej nastroszony, co słychać zwłaszcza wtedy, gdy kapela bierze się a to za poprawność polityczną, a to za zmiany, jakie w ludzkim zachowaniu wywołała pandemia. Cóż, wystarczy przypomnieć sobie, że w 2020 roku Luxtorpeda nagrała przecież utwór „Na czworakach", który bardzo różnił się od medialno-społecznego konsensusu. Na nowej płycie te wątki ciągną kawałki „Fetor mentora" i „Rauchen". To jednak nie dziwi, przecież to właśnie Litza z Hansem, okupujący mikrofony, zajmowali się nieraz choćby kwestią aborcji, podchodząc do niej zupełnie odwrotnie, niż czyni to artystyczny, w tym przecież i muzyczny, mainstream. W tekstach na tej płycie sporo, czasem aż za dużo, rozmaitych gier słownych, co widać już w samej liście tytułów (ot, weźmy zaczynającą materiał „Antonówkę"), profil ideowy wciąż jest jednak ten sam. Najważniejszy jest po chrześcijańsku widziany człowiek, jego wolność i godność. Luxtorpeda to w ogóle fenomen na polskiej scenie muzycznej. Gra ostrzej, niż lubią to media, a jednak jest w tych mediach obecna, a zarazem stać ją na bojkot Facebooka czy granie w Trójce, gdy artyści na pokaz Trójkę bojkotują. Muzykę tworzy w niezmienionym składzie i z tym samym przekazem, trafiając do tysięcy, również bardzo młodych słuchaczy, dla których świat ma przecież zupełnie inną ofertę. Ta odrębność zostaje więc zachowana, uszlachetniając zespół i jego kolejne nagrania. Nie wiem, czy to płyta, która powtórzy komercyjne sukcesy poprzedniczek, nie po to zresztą powstała. Sprawdzi się natomiast na koncertach i pozwoli kolejny raz wykrzyczeć i przepracować targające nami w trudnym czasie emocje – a na pewno było potrzebne i słuchaczom, i, co bardzo słychać, muzykom. ■

Luxtorpeda, OMEGA, Stage Diving Club 2022

eprasa.pl 84d681be0e

Wakacje „marzeń”? Ku przestrodze

Stefan Czerniecki
czerniecki.net

Ta miejscówka naprawdę ma prawo się podobać. Zwłaszcza w kontekście wakacyjnego wypoczynku nad morzem. Bo i woda taka czysta. I las tropikalny za naszymi plecami. I ta plaża z tonami białego piasku. Tu prawie wszystko się zgadza. No właśnie... Prawie. O tym „prawie” z całą pewnością słyszała także dwudziestopięcioletnia Ally. Podobnie słyszał trzy lata od niej młodszy James. Dla nich pobyt tutaj także miał być spełnieniem wakacyjnych marzeń. Stał się jednak koszmarem.

eprasa.pl 84d681be0e

Centrum Cairns to publiczny basen dla mieszkańców. Prawdziwe wytchnienie w słonecznej spiekocie dnia

eprasa.pl 84d681be0e

Tak, to prawda. Trudno niektórym wymarzyć sobie lepszą miejscówkę na rozpoczynające się właśnie wakacje. Wkoło błękitno-szmaragdowa toń morza. Z przeźroczystością sięgającą przynajmniej kilku metrów. Na niebieskim, niezmąconym najmniejszą chmurką niebie słońce w pełni. Złocisty, przesypujący się między palcami stóp, drobniusieńki piasek plaży. I te sławne z widokówek na wpół zgięte palmy. Jakby chcące pokłonić się morzu. Bez wątpienia nawet jeśli ktoś nie lubi morza, na kilka chwil spędzonych w takiej właśnie aurze z pewnością dałby się szybko namówić.

– To wszystko prawda, co mówisz. Ta plaża jest wyjątkowa. Warto ją zobaczyć – od początku rozmowy wyczuwam w głosie Staszka, że nie podziela on mojego entuzjazmu wizytą w północno-wschodniej części Australii. Kraju, który on sam zna jak własną kieszeń. Wszak żyje na tej ziemi od lat. –Warto, żebyś wiedział, że wśród najpiękniejszych plaż świata wybrałeś zarazem jedną z najbardziej niebezpiecznych. Mam nadzieję, że masz tego świadomość...

▶ Nie ma plaży, jest publiczny basen

Jesteśmy. Samolot delikatnie dotyka płyty lotniska. Po pożegnaniu się z sympatycznymi papuaskimi stewardesami i opuszczeniu kokpitu spodziewam się gwałtownego uderzenia fali gorąca. I nieposkromionej duchoty. Jak to zwykle, gdy samolot ląduje gdzieś w okolicach strefy międzyzwrotnikowej. Jednak ku mojemu zdziwieniu nic takiego nie następuje. O dziwo powietrze na zewnątrz jest całkiem przyjemne. No tak, zapomniałem. Ocean. Wielka woda Morza Koralowego oblewająca lotnisko w odległości zaledwie kilkuset metrów od pasa startowego. Wszystko jasne. Klimat perfekcyjny.

Po załatwieniu kilku podstawowych formalności mogę wreszcie wyjść na miasto. Do oddalonego siedem kilometrów na południe centrum miasta zawozi mnie lokalny autobus. Cairns wita mnie leniwą wręcz aurą.

– Hi guy! Mogę ci w czymś pomóc? – zagaduje mnie wytatuowana od ramion po stopy czarnoskóra dziewczyna pełniąca akurat dyżur na recepcji hostelu, który znalazłem w przewodniku. Widzi, że właśnie studiuję mapę jej miejscowości.

– Tak, myślałem o jakimś przyjemnym kawałku plaży... Możesz polecić coś konkretnego? Bo z tej mapy mało co wynika – odpowiadam, podnoszą wzrok znad kolorowego folderu z mapą, jaki akurat znalazłem na korytarzu naszego hosteliku.

– Hmm, widzisz, u nas w Cairns tak naprawdę nie ma plaży do wypoczynku.

– Nie wygłupiaj się. W miejscu słynącym z najpiękniejszej rafy koralowej na świecie?! Nie ma plaży?!

To dość ciekawe. Miasto, z którego fizycznie najbliżej jest do przylądka Cape Tribulation – miejsca znanego jako jedna z najpiękniejszych śmiercionośnych plaż świata – samo w sobie plaży nie posiada. Przylatując tu miałem o nim zupełnie inne wyobrażenie. Tym razem jednak wyobraźnię trzeba nieco okiełznać. Cairns to bowiem 200-tysięczne miasteczko, które owszem, słynie z kursów na rafę koralową, ale do tego trzeba jednak popłynąć minimum godzinkę na wschód. Samo bowiem wybrzeże to głównie muł i kamienie.

– Mamy za to publiczny basen! – dziewczyna z recepcji woła do mnie z daleko, gdy wychodzę na ulicę. – Wystarczy kierować się na port. Nie da się ominąć.

▶ Ulga

Kilkadziesiąt minut spaceru wzdłuż ulicy Esplanade, gdy po naszej lewej stronie rozciąga się ocean z mało zachęcającym wybrzeżem, wystarczy, aby dojść do centrum Cairns. Swoją drogą centrum niewyróżniającego się niczym wyjątkowym. Ot, szerokie ulice przecinające się pod kątem prostym. Niska zabudowa. Troszkę galerii handlowych. Sporo biur organizujących nurkowanie w wodach Wielkiej Rafy Koralowej. A prócz tego? Prócz tego nic godnego uwagi. No, może poza tym jednym. Wspominanym przez naszą czarnoskórą koleżankę.

Ma długość 130 metrów. Brzeg o nieregularnym, rwanym kształcie. Z lotu ptaka przypomina troszkę ustawioną do góry nogami choinkę. To publiczny basen Cairns. Wstęp dla każdego bezpłatny. Władze miasta chociaż w taki sposób próbują zrekompensować swoim mieszkańcom, a zwłaszcza przyjezdnym, brak opcji opalania się na plaży.

To trochę dziwny widok. Kilkaset osób chlapiących się z seledynowej wodzie basenu, gdy tuż za nimi rozciąga się cień wielkiej wody. Tuż-tuż rozpościera się przecież Morze Koralowe. Akurat nieszczęśliwie dla samego Cairns na tym odcinku morze przybierające dość paskudną formę rozpaćkanego błocka z zupełnie nieprzystającą do sławy tego miejsca formą wybrzeża. Trudno. Nie ma opcji opalania się na plaży? Pozostaje więc gigantycznych rozmiarów basen. Przy piekącym słońcu będzie to z pewnością jakieś wytchnienie. I po-

eprasa.pl 84d681be0e

Dzisiejsze Cairns to przede wszystkim długie wybrzeże. Pozbawione jednak plaży do kąpieli.

moc dla ciała, by zebrać siły. Wszak za kilka dni wielka wyprawa. Na jedną z najbardziej niebezpiecznych plaż świata. Tę samą, przed którą przestrzegał mnie kilka dni temu troskliwy Staszek.

Gdy odkrywca ma zły nastrój

Jako kapitan okrętu „Endeavour" James Cook pokonywał już swego czasu Wielką Rafę Koralową. Był przekonany, że gdzieś tam, na południowych morzach musi znajdować się wielki, nieodkryty kontynent. Z pewnością pełen wszelakich bogactw. Tak odkrył przylądek, w pobliżu którego jego statek osadził się na płytko zalegających rafach. I właśnie wraz z tym wydarzeniem dla Cooka zaczęły się kłopoty.

W 1770 roku doszło do zderzenia kadłuba jego okrętu z jedną z raf. Cook i załoga ocaleli. Ale statek poszedł na dno. Kapitan miał prawo mówić o pechu. Wszystko, o czym marzył, wszelkie plany i założenia, musiały ulec zmianie. Cook był pełen żalu. Swym emocjom dał upust po kilku latach, gdy wymyślał, jaką nazwę na brytyjskich mapach morskich nadać temu miejscu. Miejscu, przy którym jego „Endeavour" osiadł na mieliźnie i zatonął. Skończyło się na „Cape Tribulation". Przylądku Boleści.

Dziś turystom i wędrowcom Cape Tribulation ma prawo kojarzyć się bardzo podobnie. Biura podróży nie organizują tu swoich wycieczek. Nikt dotąd nie odważył się postawić w tym miejscu żadnego większego hotelu. Nie jeżdżą tu wczasowicze ani pragnący leniwego wypoczynku na plaży turyści. Wszystkim im jednak wcale nie chodzi o zatopiony nieopodal stąd brytyjski okręt Cooka. A o coś znacznie groźniejszego. Oto w jednym z przewodników o plażach na Cape Tribulation napisali wprost: „Tutejsza plaża stanowi dom dla meduz, jadowitych węży, krokodyli i kazuarów." Po Jamesie Cooku nic się tu nie zmieniło. Przylądek Boleści nadal starszy, nie ciesząc się najlepszą sławą.

Skok dziesięciocentymetrowego pazura

– Stefan, na pewno chcesz prowadzić? – od samego ranka w głosie Magdy, którą udaje mi się namówić na eksplorację Cape Tribulation, wyczuwam nutkę troski. I niepewności zarazem. Chyba faktycznie boi się jechać ze mną autem z umieszczoną po prawej stronie kierownicą.

eprasa.pl 84d681be0e

Plaża na Przylądku Utrapienia. Jedna z najniebezpieczniejszych na świecie

– Chcesz się zamienić? Chętnie oddam ci kierownicę – odpowiadam przekornie.

– Nie, nie. W życiu! – odkrzykuje koleżanka.

– Pewności, że dowiozę nas do celu w jednym kawałku, nie dam ci żadnych. Za kierownicą po prawej stronie jadę po raz pierwszy w życiu – kontynuuję z nieukrywanym rozbawieniem. – Na pocieszenie mogę ci tylko zdradzić, że odcinek z wypożyczalni samochodów do naszego hostelu przejechałem bez wypadku.

– Bardzo śmieszne... Pamiętaj, że mamy dziś do przejechania ponad trzysta kilometrów... Dasz radę?

– Nie mamy za bardzo wyjścia. A chyba oboje chcemy zobaczyć tę plażę, prawda?

Trasa do Cape Tribulation wiedzie po stanowej drodze nr 44. Dwupasmowej i zupełnie pustej. Tu naprawdę nie ma znaczenia, czy jedziemy prawą, czy lewą stroną drogi. Tym bardziej, że dziś piękny, słoneczny dzień. Od morza nie czuć żadnego wiatru. Trzeba ratować się klimatyzacją w samochodzie. Samochód pokonuje kolejne kilometry nudnej i dość monotonnej trasy.

Wreszcie po ponad dwóch godzinach jazdy z odległego o 140 kilometrów Cairns dojeżdżamy na miejsce. Naraz naszym oczom ukazuje się pocztówka niczym z zaginionego świata. Przed nami prawdziwy dziki zakątek kontynentu. Ocean, plaża i australijski busz. I nikogo wokół. Od dobrych kilkudziesięciu minut nie minęliśmy żadnego auta. Drogę mamy na wyłączność. Nie widać też żadnego pieszego.

Mijamy żółty znak. Udekorowany obfitym zielonym bluszczem rosnącej wkoło dżungli. Na znaku wielki ptak. Przypominający strusia. To ostrzeżenie przed kazuarami. Niezwykle niebezpiecznymi ptakami, dla których Cape Tribulation jest domem. Tutaj czują się bezpiecznie. A przez to potrafią być mało gościnne dla przybyszów. Zwłaszcza tych, którzy przeszkadzają im w spokojnych spacerach po tutejszym lesie. Atak 80-kilogramowego ptaszyska najczęściej kończy się skokiem na ofiarę wyprostowaną nogą zakończoną szponami z przeszło 10-centymetrowymi pazurami. Rozpędzony nawet 50 kilometrów na godzinę ptak potrafi w ten sposób rozszarpać każdą ofiarę. Tak było zresztą trzy lata temu w przypadku pewnego 75-letniego hodowcy tych niebezpiecznych ptaków. Mężczyzna został zaatakowany przez kazuara podczas karmienia. Nie przeżył.

eprasa.pl 84d681be0e

Krokodyle uwielbiają rzeki wpływające do morza. Trzeba naprawdę bardzo uważać

Widząc żółty znak z namalowanym na czarno kazuarem prędko przypominam sobie tę historię. I przyznam, że od tej pory jakoś nie mam większej ochoty, by wychodzić z samochodu. Powoli też zaczynam rozumieć, dlaczego tak długo nikogo tu nie mijaliśmy.

▶ Ally, która miała szczęście

Dojeżdżamy do dżungli. Asfalt skończył się kilka minut temu. Póki co nasze autko daje sobie jakoś radę po zabłoconej, acz utwardzonej drodze. Zatrzymujemy się dopiero wówczas, gdy przed nami rozpościera się szeroka na jakieś dziesięć metrów rzeka. Dalej już nie pojedziemy.

Otwieram drzwi. Z zewnątrz dochodzą mnie cudowne dźwięki lasu deszczowego. Hałaśliwy koncert cykad. Egzotyczne pianie. Nieznany cichy skowyt. Wreszcie zaś kołyszące do snu ćwierkanie. Podchodzę bliżej wody. Obok widać sporych rozmiarów żółtą tabliczkę. I ostrzeżenie. „Uwaga, miejsce występowania krokodyli. Spotkanie grozi śmiercią lub kalectwem". Rozglądam się uważnie dookoła. Nic. Żadnego ruchu. To tym gorzej. Krokodyle to przecież mistrzowie kamuflażu. Jedynie wytrawni przewodnicy są w stanie dostrzec ich źrenice wystające gdzieś ponad płynącą wodą lub wśród błotnistych rozlewisk. Często dodatkowo porośniętych jeszcze krzewami. Kryjówka nie do odkrycia. Właśnie z takich miejsc atakują najczęściej.

Najnowsze badania donoszą, że aż 85 procent wszystkich ataków krokodyli na ludzi na terenie Cape Tribulation ma miejsce właśnie w strefie brzegowej. Na styku płytkiej wody i lądu. Dokładnie w takim miejscu, jak to, w którym właśnie się znalazłem. Powoli, nie spuszczając wzroku z otoczenia, wycofuję się w stronę pozostawionego na szutrowej drodze auta. Magda spostrzegłszy tabliczkę, nawet na chwilę go nie opuściła.

Ally Bullifent, 25-latka, przechadzała się po tym miejscu jakiś czas po nas. Dziewczyna miała mniej szczęścia. Agresywny gad wyskoczył niespodziewanie z wody, raniąc ją w lewe udo. Jak ocenił to potem lokalny strażnik, kobieta w całym swym pechu i tak miała bardzo wiele szczęścia. Powinna już nie żyć. „Spędziłem tu naprawdę sporo czasu jako dziecko. A potem jako dorosły" – powie lokalnej gazecie Lawrence Mason, właściciel miejscowej kawiarni Cape Tribulation. „I ciągle sam sobie muszę przypominać, że krokodyle są dziś tu w praktycz-

eprasa.pl 84d681be0e

W tych wodach zdecydowanie bezpieczniej jest łowić niż się kąpać

nie każdym strumieniu". Rok wcześniej krokodyl mierzący ponad cztery metry zabił 46-letnią Cindy Waldron, gdy ta w nocy brodziła po pas w jednym z potoków na Cape Tribulation. Tak, Ally naprawdę miała szczęście. My zresztą też.

▶ Plaża wspomnień

Krokodyl różańcowy nazywany jest przez miejscowych królem tutejszych wód. To potwór, którego dorosły osobnik mierzy zwykle przeszło pięć metrów. Lubuje się w słonej wodzie. Stąd zalega zwykle w okolicznych rzekach na odcinku znajdującym się możliwie blisko ujścia do morza. Krokodyl różańcowy cechuje się najsilniejszym ściskiem szczęki ze wszystkich znanych żywych i wymarłych zwierząt na świecie. Ścisk ten wynosi 3700 funta na cal kwadratowy (to tzw. współczynnik psi). Dla porównania: podobny współczynnik w przypadku hieny urasta do ledwie 1000, a żarłacza białego i lwa: do 600.

– Na pewno chcesz wychodzić z samochodu? – gdy parkujemy już na asfaltowym odcinku drogi, Magda nadal nie ma pewności, czy chce opuszczać auto.

– A po co tu przyjechaliśmy? Chodź. Tutaj już jest jakby większa cywilizacja.

Faktycznie. Naprzeciwko widać nawet jakiś murowany dom. Przed nim rozstawione stoły z parasolami. Jakby restauracja. Miejsce wydaje się więc oswojone. Zaraz obok piaszczysta ścieżka prowadzi wprost na plażę. Wreszcie!

To jest właśnie to miejsce. Miejsce wspomnień. Utkane z wakacyjnych marzeń. Zainspirowanych z kolei wakacyjnymi widokówkami. Gdzie idylliczny pejzaż wydaje się niczym nie zmącony. Bo tutaj przecież wszystko musi się zgadzać. Nienachalny kontrast nieba i morza. Rozpalony piasek, który płynnie rozpuszcza się w gęstwinie rosnącego zaraz

eprasa.pl 84d681be0e

obok lasu deszczowego. I gdyby tylko nie te znaki. Te ostrzegające przed kazuarem i krokodylem już widziałem. Teraz pojawiły się nowe. Przedstawiają człowieka zaplątanego w macki meduz.

Maleńki zabójca

W rzeczywistości macki tych stworzeń są tak małe, że trzeba by je oglądać ze szkłem powiększającym w dłoni. Same zaś meduzy nie mają zwykle więcej jak półtora centymetra. Nazywają je irukandji. Najbardziej śmiercionośne meduzy świata. Ich użądlenie często powoduje u człowieka śmiertelne krwotoki mózgu. Dodatkowo skutkuje paraliżującym skurczem mięśni, silnym bólem pleców i nerek. Ciało ukąszonego zaczyna silnie piec. Zwykle pojawiają się także psychologiczne stany budzące w człowieku poczucie zbliżającej się zagłady. Nie inaczej było z pewnym 22-latkiem z Sydney. Dla Jamesa Soale'a miały to być wakacje marzeń. Wraz ze starszą o rok dziewczyną polecieli na północ kraju. Za Cairs. Nieopodal Cape Tributaltion. Któregoś dnia podczas kąpieli w morzu mężczyzna poczuł silny ból w lewym ramieniu. Z początku nie przejmował się tym, wszak pływał w miejscu strzeżonym, w którym od otwartego morza kąpielisko odgradzały specjalne siatki uniemożliwiające przedostanie się na wydzielone kąpielisko kąsających stworzeń. Okazało się jednak, że maleńkie meduzy znalazły drogę, aby pokonać barierę. Po krótkiej chwili Soale poczuł silny wstrząs. Jakby ktoś raził go prądem. Powiadomiony ratownik prędko zarządził ewakuację wszystkich kąpiących się. Sam Soale został zaś przewieziony na oddział intensywnej terapii. Miał trudności z oddychaniem i silne bóle w klatce piersiowej. Na szczęście lekarze zdążyli zneutralizować śmiertelny jad, który rozprzestrzeniał się w organizmie młodego Australijczyka.

Po wypadku ratownicy zaczęli przeszukiwać basen. Wkrótce znaleźli trzy maleńkie meduzy irukandji. Każda z nich mogła zabić. To właśnie te maleńkie stworzenia są odpowiedzialne za średnio 50–100 osób, które corocznie są hospitalizowane w australijskich szpitalach z powodu ukąszenia w morzu.

Bez szans

Już południe. Żar z nieba staje się nieznośny. Koszulka przykleja się do ramion. Spoglądam na spokojną toń wody. Tak, dobrze pamiętam o ostrzeżeniu widocznym na znaku. O meduzach. Z drugiej jednak strony pokusa jest tak wielka. Ciało aż się wyrywa. Potrzebuje schłodzenia. Zdejmuję koszulkę. Wchodzę do wody. Błoga ulga dla rozgrzanego ciała. Zaczynam pływać.

Nie mija krótka chwila, jak w pewnej odległości ode mnie na wodzie zatrzymuje się motorówka z turystami. To pierwsi ludzie, jakich widzę od poranka. Po niemal półgodzinnej kąpieli wracam wreszcie na plażę. Dopiero teraz łódka cumuje do brzegu. Na plażę wychodzą ludzie. Jeden z nich zbliża się do mnie i z miną człowieka, który dopiero co zobaczył ducha, oznajmia:

– Widziałeś znak?

– Jaki znak? – odpowiadam spokojnie, nie przerywając wycierania się ręcznikiem.

– Tam... Tam, przy wejściu na plażę.

– A, ten z meduzami? Tak, widziałem.

– Wiesz, co właśnie zrobiłeś? Masz pojęcie, jak bardzo ryzykowałeś?

Szybko dowiaduję się szczegółów. Słyszę kolejne historie podobne do tej, jaką przeżył James Soale. Świadectwa wskazujące na to, że plaża na Cape Tribulation to naprawdę pulsujące śmiercionośne zagrożenie. Przeszło pięciometrowe krokodyle lubujące się w słonej wodzie wschodniego wybrzeża. Potężne morskie węże. I meduzy irukandji.

– Zatrzymaliśmy się łodzią, aby cię obserwować. Z przerażeniem. Wyczekując chwili, kiedy się zacznie – kontynuuje starszy mężczyzna.

– Co się zacznie?

– Paraliż. Twojego ciała. Są ich miliony. Naprawdę. Zwłaszcza teraz. Gdy zaczyna się przypływ.

Nie mam odwagi mu przerywać. Zresztą co miałbym teraz mądrego do powiedzenia? Jest mi raczej wstyd.

– To cisi zabójcy – kontynuuje mój rozmówca. – Uśmiercają w kilkanaście minut. Nie zdążylibyśmy dowieźć cię nawet do szpitala. Byłbyś bez szans...

Gdy nawet komar niestraszny

To był długi dzień. Wiem teraz, że wakacyjny czas potrafi omamić. Skusić swym powabem. Otoczyć nas niczym przebiegły wąż boa szykujący się do ataku. I gdy jesteśmy już nastawieni na najpiękniejsze, a nasze głowy przepełnione są obrazami pięknych widoków, jakie mają nas czekać – wówczas czasem naprawdę ciężko jest się wycofać. Ciężko zgodzić na coś innego. Na bezpieczniejszą alternatywę. Wówczas jednak warto schłodzić głowę. I wcale niekoniecznie musi być to przeźroczysta woda Morza Koralowego. Czasem wystarczy zimny kubeł z babcinej studni na podlaskiej wsi. Tam przynajmniej nic nam nie grozi. Prócz ukąszenia komara. Albo kleszcza. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Armenia zmienia kurs, czyli nikt nie chce „mirotworców" z Rosji

Antoni Rybczyński

W cieniu inwazji Rosji na Ukrainę, na Kaukazie Południowym dzieją się rzeczy niespotykane od 30 lat. Historyczni rywale, Armenia i Azerbejdżan, zbliżają się do zawarcia kompleksowego porozumienia rozwiązującego wszystkie podstawowe problemy, które uniemożliwiały im pokojowe współistnienie przez co najmniej trzy dekady.

eprasa.pl 84d681be0e

Zbliżenie armeńsko-azerbejdżańskie koncentruje się obecnie wokół głównych propozycji Azerów dotyczących porozumienia pokojowego, w tym wzajemnego uznania integralności terytorialnej. Wymagałoby to zaakceptowania przez Armenię faktu, że Górski Karabach jest częścią Azerbejdżanu, czego odmawiała i co było przyczyną dwóch krwawych wojen (1992–1994, 2020). Obecny rząd Armenii zadeklarował, że jest gotów to zrobić w zamian za szeroki zakres praw dla karabaskich Ormian, a może nawet autonomii – choć na to Baku się nie zgodzi, a i Erywań kopii kruszył o taki status nie będzie. Jeśli dojdzie do porozumienia Armenii z Azerbejdżanem, w tym delimitacji i demarkacji granic, straci rację bytu rosyjski kontyngent „sił pokojowych" w Górskim Karabachu oraz upadnie ostatnia przeszkoda przed nawiązaniem relacji dyplomatycznych Turcji z Erywaniem, a za tym zdjęcia ekonomicznej blokady, którą Ankara wprowadziła po porażce jej sojusznika Azerbejdżanu w pierwszym starciu z Armenią.

Rosja pielęgnuje konflikt

W 1994 roku Ormianie odnieśli zwycięstwo militarne w pierwszej wojnie z Azerbejdżanem, w wyniku którego nie tylko utrzymali Karabach (autonomiczny, ale wchodzący w skład Azerbejdżanu od czasów sowieckich), lecz także zajęli częściowo lub w całości siedem azerbejdżańskich obwodów wokół enklawy, wypędzając ponad pół miliona mieszkających tam Azerów. Taki zamrożony konflikt utrzymywał się potem przez wiele kolejnych lat, zmuszając m.in. izolowaną od strony Turcji i od strony Azerbejdżanu Armenię do szukania pomocy w Rosji. Na jesieni 2020 roku Azerbejdżan wziął srogi rewanż. Dysponując liczniejszą, lepiej uzbrojoną i wspieraną przez Turcję armią, w ciągu 44 dni odzyskał siedem obwodów i zajął jedną trzecią Górskiego Karabachu, wypędzając co najmniej 20 tys. Ormian. Zginęło około 7 tys. osób, głównie Ormian. Rosja nie przyszła Armenii z pomocą, za to w momencie, gdy wydawało się, że wojna zakończy się kompletną katastrofą Ormian, wysunęła mediacyjną ofertę nie do odrzucenia. Na Kremlu zawarto trójstronne porozumienie, zgodnie z którym Azerbejdżan utrzymał terytorialne zdobycze. Wojna pozostawiła również nierozwiązane kwestie, utrzymujące się spory i napięcia. Wysłane na miejsce rosyjskie „siły pokojowe" mają tak naprawdę dbać o to, żeby wrogość między Ormianami a Azerami wciąż się utrzymywała. Rosja jest tradycyjnie najbliższym sojusznikiem wojskowym i gospodarczym Armenii, ale ma też bardzo dobre stosunku z Azerbejdżanem, z którym dwa dni przed inwazją na Ukrainę podpisała umowę o partnerstwie, deklarując przyjaźń i obiecując głębszą współpracę gospodarczą.

Rosjanie nie chcieli totalnej klęski Armenii w 2020 roku, bo to by zaburzyło kruchy, ale panujący od blisko 30 lat układ sił w regionie. Ale nie pomogli sojusznikowi, prawdopodobnie licząc, że tak ciężka porażka doprowadzi do upadku Nikola Paszyniana, do którego Kreml nie ma zaufania, bo zdobył władzę bez konsultacji z Rosjanami, dzięki wielkim ulicznym protestom. Upokarzająca klęska w starciu z odwiecznym wrogiem miała poderwać społeczne zaufanie do premiera. Ale ten wyszedł z tego kryzysu obronną ręką, a niewątpliwie było mu łatwiej ze względu na skompromitowaną wcześniejszymi rządami dzisiejszą opozycję. W ramach rozliczeń powojennych Paszynian pozbył się z wojskowego dowództwa wszystkich wrogich mu lub niewystarczająco lojalnych oficerów. Także tych ze sztabu generalnego, którzy w lutym 2021 roku otwarcie zażądali dymisji premiera. Czerwcowe wybory Paszynian i jego partia wygrali bardzo przekonująco. Mając tak silny mandat, premier Armenii mógł myśleć o odważnej zmianie odwiecznej polityki w sprawie Karabachu. Ale brakowało jeszcze jednego elementu: sprzyjającej sytuacji międzynarodowej. Ta okazja pojawiła się wraz z inwazją Rosji na Ukrainę, a swoją cegiełkę dorzucił Azerbejdżan. W Baku doszli być może do wniosku, że należy pójść za ciosem i dokończyć rozprawę z Armenią, zwłaszcza, że Rosja jest zajęta czymś innym. W marcu na granicy znów doszło do wzrostu napięcia. Najpierw doszło do „awarii" gazociągu z Armenii do Karabachu, co spowodowało, że Ormianie w enklawie zostali pozbawieni ciepła przy ujemnych temperaturach. Następnie żołnierze azerbejdżańscy, kompletnie ignorując rosyjskich „mirotworców", wkroczyli do ormiańskiej wioski Parukh. Próbę kontrataku Ormian zdusili w zarodku, używając słynnych dronów Bayraktar. Dla Paszyniana był to jasny sygnał, że Armenia nie może liczyć na Rosję, a w kolejnym starciu z Azerbejdżanem nie ma szans. Wniosek? Trzeba szukać porozumienia, za cenę ustępstw – wszak Erywań jest w gorszym położeniu. Azerbejdżan czuje się dziś bardzo pewnie. Wojna na Ukrainie sprawiła, że europejscy urzędnicy pospieszyli do Baku, pragnąc azerskiego gazu, który mógłby zastąpić rosyjskie dostawy energii.

W marcowym głosowaniu Zgromadzenia Ogólnego ONZ, które potępiło inwazję Rosji na Ukrainę, Armenia wstrzymała się od głosu, zamiast

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl 84d681be0e

poprzeć sojusznika. W Erywaniu nie brakuje opinii, że incydent w Parukh był wspólną rosyjsko-azerbejdżańską prowokacją. Ale też nie można wykluczyć, że był to ruch Azerów, być może skonsultowany z Turkami, mający sprawdzić gotowość Rosji do siłowego wykorzystania „mirotworców" w razie działań ofensywnych przeciwko Ormianom. Należy pamiętać, że ich obecność na oficjalnym terytorium Azerbejdżanu jest dość nieokreślona. Baku i Moskwa nigdy nie uzgodniły pisemnego mandatu dla „operacji pokojowej". Od początku wojny na Ukrainie liczebność wojsk rosyjskich w regionie Karabachu nieco spadła z najwyższego poziomu 1960 żołnierzy do około 1600. W odróżnieniu od innych stref konfliktu, w których Rosja rozmieściła swoje wojska, na przykład w separatystycznych Abchazji i Naddniestrzu, misja w Karabachu ma określony termin ważności: listopad 2025 roku. Misja może być przedłużona na kolejne pięć lat, ale może też zostać zakończona, jeśli jedna z trzech stron porozumienia z 2020 roku – najprawdopodobniej Azerbejdżan – wycofa swoją zgodę na sześć miesięcy przed upływem terminu.

Paszynian „obniża poprzeczkę"

Przemówienie Nikola Paszyniana w parlamencie 13 kwietnia 2022 roku niewątpliwie przejdzie do historii Armenii jako jedno z ważniejszych wydarzeń. Mając wielką pewność siebie na krajowym podwórku (silny mandat społeczny, słabość opozycji) i realistycznie oceniając sytuację w regionie (zagrożenie kolejną agresją azerbejdżańską i brak szans na pomoc Rosji), premier dokonał radykalnego zwrotu w polityce wobec Górskiego Karabachu. Zapowiedział, że chce jak najszybciej podpisać pokój z Azerbejdżanem i zamknąć sprawę, która determinuje historię Armenii od trzech dekad. Co ważne, kluczowy dla Erywania w traktacie z Azerami ma już nie być polityczny status Karabachu, ale zapewnienie wszelkich praw i gwarancji bezpieczeństwa dla karabaskich Ormian. Paszynian wyraził gotowość do uznania integralności terytorialnej Azerbejdżanu i „obniżenia poprzeczki" w kwestii statusu Górskiego Karabachu, który byłby do zaakceptowania przez stronę ormiańską. Premier zaakcentował potrzebę bezpośrednich rozmów z Baku (przy wsparciu pośredników), a także ożywienia w polityce regionalnej, w tym kontaktów z Turcją. Co ważne, mówiąc o wsparciu pośredników, Paszynian wcale nie miał na myśli Rosji, lecz Unię Europejską – która po wojnie 2020 roku wydawała się być już kompletnie wyeliminowana z regionu. Tymczasem w ciągu niecałego pół roku doszło do aż czterech szczytów przywódców Armenii i Azerbejdżanu, w których pośredniczyła UE (14 grudnia 2021, 4 lutego 2022, 6 kwietnia 2022, 22 maja 2022 roku). Ostatnie spotkanie w Brukseli z pośrednikiem Charlesem Michelem przyniosło postępy w zakresie projektów transportowych i wytyczania granic. Jeszcze na pierwszym szczycie, 14 grudnia 2021 roku, Paszynian i Ilham Alijew uzgodnili warunki dotyczące połączenia kolejowego wzdłuż tzw. korytarza Zangezur (łączącego Azerbejdżan kontynentalny z jego eksklawą Nachiczewań przez południową Armenię). 22 maja obaj przywódcy uzgodnili warunki budowy autostrady biegnącej tą samą trasą. Strony ustaliły główne zasady administrowania granicą, bezpieczeństwa i opłat lądowych, a także ceł, które mają być stosowane na tych połączeniach. Jest też postęp w sprawie delimitacji i demarkacji wspólnych granic państwowych Armenii i Azerbejdżanu. 23 maja obie strony ogłosiły skład swoich komisji państwowych, a następnego dnia spotkały się one na granicy, aby rozpocząć pracę. Kolejny szczyt Paszynian-Alijew ma się odbyć najpóźniej w sierpniu.

Zmianę kursu w polityce wobec Azerbejdżanu odrzuciła natychmiast nieuznawana Republika Górskiego Karabachu, czyli Ormianie z enklawy. Porozumienie z Baku będzie oznaczać koniec quasi-państewka. Opozycja w samej Armenii, w tym byli prezydenci Robert Koczarian i Serż Sarkisjan, starają się zmobilizować Ormian do protestów przeciwko nowej polityce Paszyniana. Ale bez większego rezultatu. Opinia publiczna jest świadoma rozmiarów klęski w wojnie 2020 roku i fiaska dotychczasowej polityki obrony Karabachu za wszelką cenę. Partie opozycyjne reprezentowane w parlamencie rozpoczęły jednak kampanię na rzecz obalenia Paszyniana, 1 maja budując w stolicy miasteczko namiotowe. Od tego czasu zwolennicy opozycji regularnie maszerowali przez centrum miasta, utrudniając dostęp do dróg i blokując wejścia do budynków rządowych, a także ścierając się z policjantami. Wobec niewystarczającej liczby protestujących, 14 czerwca opozycja ogłosiła, że codzienne wiece zostaną przerwane. Zapowiedziała natomiast, że będzie dążyła do zdjęcia Paszyniana z urzędu. Tyle że zgodnie z prawem, jest to możliwe dopiero po 2 sierpnia, gdy minie rok od rozpoczęcia drugiej kadencji obecnego premiera. Ale nawet wtedy opozycja nie ma szans na usunięcie Paszyniana, posiadając tylko 36 miejsc w 107-osobowym parlamencie. Wątpliwe, by ktokolwiek z rządzącej partii Kontrakt Obywatelski zagłosował przeciwko swemu liderowi.

eprasa.pl 84d681be0e

Zachód wrócił na Kaukaz

Zbliżający się przełom w relacjach armeńsko-azerbejdżańskich oznacza zakwestionowanie dotychczasowej architektury bezpieczeństwa regionalnego z dominującą rolą Rosji, która gwarantowała bezpieczeństwo Armenii oraz była głównym mediatorem w karabaskim procesie pokojowym. Jej pozycja w regionie w coraz większym stopniu opiera się na elemencie militarnym. Skoro nie jest już jednak gwarantem bezpieczeństwa dla Armenii i nie jest już najlepszym rynkiem zbytu, to na co komu rosyjskie bazy na armeńskim terytorium? Zwłaszcza w razie normalizacji relacji Erywania z Azerbejdżanem i Turcją? Jeśli zaś dojdzie do takiej normalizacji, to czemu Baku miałoby nadal akceptować rosyjskie „siły pokojowe" na swoim terytorium, w Karabachu? Dla Azerbejdżanu, ale też Armenii, lepszym mediatorem jest Zachód. W słynnym przemówieniu kwietniowym Paszynian niewiele miejsca poświęcił roli Rosji. Ale zdążył skrytykować rosyjskie „siły pokojowe" w Karabachu i Organizację Układu o Bezpieczeństwie Zbiorowym (OUBZ), którym zarzucił bierność. Paszynian więcej miejsca poświęcił wysiłkom UE i przewodniczącego Rady Europejskiej Charlesa Michela, pod którego egidą doszło do spotkań z prezydentem Azerbejdżanu Ilhamem Alijewem.

Michel, postrzegany przez obie strony jako bardziej uczciwy pośrednik niż Moskwa, ułatwił stworzenie nowego kanału bezpośredniej i bieżącej komunikacji między dwoma specjalnymi doradcami premiera Paszyniana i prezydenta Alijewa. Należy też pamiętać, że Bruksela zapewnia Armenii znaczące wsparcie finansowe, w tym nowy pakiet inwestycyjny o wartości 2,6 mld euro. W międzyczasie Azerbejdżan otrzymał równoległy pakiet o wartości 2 mld euro. Pojawienie się UE jako ważnej platformy negocjacyjnej następuje w momencie, gdy rola Rosji maleje. Do ostatnich miesięcy Moskwa miała decydujący wpływ na przebieg armeńsko-azerbejdżańskich negocjacji pokojowych po wojnie 2020 roku. Pierwsze poważne zaangażowanie Zachodu w ten proces, bez udziału Rosji, miało miejsce w czerwcu 2021 roku, gdy dzięki mediacji USA i Gruzji, Erywań przekazał Baku pierwszą partię map górniczych w zamian za uwolnienie 15 ormiańskich więźniów. W kolejnych miesiącach USA zmniejszyły swoją rolę mediatora, a UE przejęła inicjatywę. Bruksela wykonała pierwszy poważny ruch 14 grudnia 2021 roku, organizując spotkanie przywódców Armenii i Azerbejdżanu na marginesie szczytu Partnerstwa Wschodniego. Zbiegło się to z rosnącym zainteresowaniem UE eksportem gazu ziemnego z Azerbejdżanu. Wchodząc w rolę mediatora, UE może stanowić przeciwwagę dla Rosji w regionie. Ta stabilność regionalna jest z kolei niezbędna do utrzymania ciągłości eksportu energii i realizacji nowych transkaspijskich inicjatyw energetycznych.

ZBLIŻAJĄCY SIĘ PRZEŁOM W RELACJACH ARMEŃSKO-AZERBEJDŻAŃSKICH OZNACZA ZAKWESTIONOWANIE DOTYCHCZASOWEJ ARCHITEKTURY BEZPIECZEŃSTWA REGIONALNEGO Z DOMINUJĄCĄ ROLĄ ROSJI.

Nawiązanie normalnych stosunków z Azerbejdżanem mogłoby zakończyć gospodarczą izolację Armenii i prawdopodobnie przyczyniłoby się do podobnych pozytywnych zmian w stosunkach z Turcją. Po 30 latach wrogości poprawa stosunków z dużym zachodnim sąsiadem doprowadziłaby do ponownego nawiązania kontaktów dyplomatycznych, a także do poprawy stosunków gospodarczych. Nie oznaczałoby to końca wpływów i znaczenia Rosji, ale doprowadziłoby do bardziej równomiernej redystrybucji władzy, w której Kreml straciłby swoją dominującą pozycję. Turcja mogłaby stać się równie wpływowa jak Rosja, co stanowiłoby znaczącą zmianę w stosunku do epoki wyłączności. Ogromne znaczenie miałoby przede wszystkim odblokowanie korytarzy transportowych. Powstałyby nowe międzynarodowe połączenia kolejowe nie tylko z Armenią i Azerbejdżanem, lecz także z Iranem i Turcją. W świetle wojny na Ukrainie, porozumienie wzmocniłoby tzw. Środkowy Korytarz, mało wykorzystywaną trasę tranzytową między zachodnimi Chinami a Turcją, która omija Rosję, biegnąc przez Azję Środkową, Morze Kaspijskie i Kaukaz Południowy. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Polska powstrzymała chińską ekspansję

Hanna Shen

W Polsce udało się powstrzymać próbę przejęcia pełnej kontroli nad portem w Gdyni przez Pekin. Rząd PiS zatrzymał proces ekspansji Chińczyków rozpoczęty jeszcze za czasów SLD. Wszystko to odbywa się w momencie, gdy ChRL intensyfikują swoje zapędy na świecie poprzez m.in. tworzenie baz wojskowych i przejmowanie zagranicznych portów, a jednocześnie na arenie dyplomatycznej udzielają poparcia Rosji.

Na początku czerwca bieżącego roku w Bałtyckim Terminalu Kontenerowym (BTK) w Gdyni miał miejsce największy w historii przeładunek sprzętu armii amerykańskiej. Łącznie, na potrzeby wojsk USA stacjonujących w Polsce, rozładowano 1,5 tys. sztuk sprzętu wojskowego oraz samochody. W marcu bieżącego roku armator MSC uruchomił również cotygodniowe połączenie kontenerowe z Bałtyku do Stanów Zjednoczonych. Dzięki temu do gdyńskiego terminalu zawijają statki, które potem płyną do Nowego Jorku, Filadelfii czy Norfolk.

Odwiedzający Gdynię w momencie, gdy do jej portu przybywał historyczny amerykański transport, Mark Brzezinski, ambasador Stanów Zjednoczonych w Polsce, powiedział: „Chcę podziękować firmie BCT za wszystko, co robi w ramach współpracy z rządem USA. To niesamowite, że mogę być świadkiem tego, jak bardzo zmieniły się Gdynia i Gdańsk w ciągu ostatnich 30 lat. Te miasta rozwinęły się, a cały region zyskał nową jakość. Polska pokazała, że ma wielką siłę. To otwartość na zmiany".

Agent globalnej ekspansji KPCh

Jeszcze kilka dni przed dużym przeładunkiem sprzętu armii USA wydawało się, że Gdynia, drugi port Polski i jeden z najważniejszych na Bałtyku, trafi w chińskie ręce.

Na początku czerwca bieżącego roku miał odbyć się przetarg na 30-letnie zarządzanie Portem Zewnętrznym w Gdyni. To strategiczna inwestycja, bo w grę wchodzi utworzenie terminala instalacyjnego umożliwiającego uruchomienie przez PKN Orlen i PGE farm wiatrowych. Do przetargu na budowę i 30-letnią eksploatację gdyńskiego Portu Zewnętrznego chcieli przystąpić Chińczycy poprzez pochodzący z Hongkongu koncern CK Hutchinson. Firmę tę założył urodzony w Chinach hongkoński miliarder Li Ka-Shing.

Komunistyczna Partia Chin (KPCh) od dawna wykorzystuje kapitał Hongkongu jako swoją markę do inwestowania w strategiczne projekty na całym świecie. Jako najbogatszy człowiek w Hongkongu, Li Ka-shing szybko stał się „agentem globalnej ekspansji KPCh". Miliarder dużo inwestował w Chinach, ale pomagał także chińskim komunistom w zdobywaniu kontraktów na międzynarodowe projekty i odegrał kluczową rolę w procesie penetracji przez KPCh innych państw. Inwestycje Li Ka-shinga koncentrują się głównie w Europie, Australii i często obejmują strategiczne projekty, takie jak komunikacja, energia, porty i gazociągi.

W 2015 roku okazało się, że Li kontroluje blisko 10 proc. rynku gazu ziemnego, jedną czwartą rynku dystrybucji energii elektrycznej i 5 proc. rynku zaopatrzenia w wodę w Wielkiej Brytanii.

Masowe przejęcie CK Hutchison Holdings Ltd. na europejskim rynku telekomunikacyjnym umożliwiło Li Ka-shingowi zintegrowanie działalności telekomunikacyjnej sześciu krajów europejskich (Wielkiej Brytanii, Włoch, Szwecji, Danii, Austrii i Włoch) oraz Hongkongu i Makau, a także umocnienie pozycji CK Hutchison na europejskim rynku telekomunikacyjnym*.

Powiązania Li z KPCh nie umknęły uwadze USA, gdy rządził nimi Trump.

W maju 2020 roku CK Hutchison złożył ofertę wartości 1,5 mld dolarów na budowę największego na świecie zakładu odsalania wody w Izraelu. Gdyby firma Li Ka-shinga wygrała przetarg, to Chiny byłyby w stanie kontrolować prawie jedną czwartą izraelskiego sektora dostawy wody i zwiększyłyby się wpływy KPCh w Izraelu. To zaalarmowało rząd USA, bo rozwój technologii odsalania jest ważnym projektem planu KPCh pt. „Made in China 2025", zakładającego, że Chiny staną się dominującą potęgą technologiczną na świecie. Ostatecznie kilka dni po wizycie ówczesnego sekretarza stanu USA Mike'a Pompeo w Izraelu, CK Hutchison przegrał przetarg.

Ekspansja wojskowa, ekspansja ekonomiczna

Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza szczególnie ceni inwestycje Li Ka-shinga w światowe porty. Już w 1997 roku CK Hutchison (wtedy jeszcze noszący nazwę Hutchison Whampoa) nabył prawo do obsługi przez 25 lat dwóch głównych portów tuż przy ujściu Kanału Panamskiego. I tak z pomocą Li Ka-shinga wywiad ChRL był w stanie przez długi czas działać na Kanale Panamskim, ściśle monitorując przepływające statki, w tym okręty wojenne; to były początki chińskich wpływów w tym regionie. Potem, w 2017 roku, przyszło zerwanie przez Panamę stosunków dyplomatycznych z Tajwanem i nawiązanie oficjalnych relacji z Pekinem, a rok później Panama, jako pierwsze państwo Ameryki Łacińskiej, przystąpiło do chińskiej inicjatywy Nowego Jedwabnego Szlaku (NJS). To o tej inicjatywie były zastępca amerykańskiego sekretarza obrony ds. Azji i Pacyfiku Randall Schriver mówił, że czołowym graczem w niej jest Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza. Według Schrivera, chińska ekspansja wojskowa i ekspansja ekonomiczna „wspomagają się i uzupełniają". „Tam, gdzie Chiny używają narzędzi ekonomicznych, często robią to, aby uzyskać dostęp do kolejnych terytoriów i zakładać tam potencjalne bazy militarne".

W 2001 roku amerykański konserwatywny think tank Heritage Foundation zwracał uwagę na to, że „relacje między Hutchison Whampoa [dziś CK Hutchison

* Ostatecznie w 2020 roku, a więc za czasów administracji Trumpa, która alarmowała Europę, jak wielkim zagrożeniem są Chiny, CK Hutchison zmuszony został do sprzedaży europejskich sieci komórkowych hiszpańskiej firmie Cellnex.

FOT. ADAM WARZAWA/PAP

eprasa.pl 84d681be0e

– przyp. HS] a chińską armią budzą zaniepokojenie. Ponadto na szczególną uwagę zasługuje rola firmy we wzmacnianiu wpływów Pekinu na półkuli zachodniej".

Cztery lata po tym amerykańskim ostrzeżeniu, w Polsce, za rządów SLD, do portu w Gdyni wpuszczono tylnymi drzwiami CK Hutchison. Jak pisał Piotr Nisztor w artykule w „Gazecie Polskiej": „Poprzez swoją spółkę w Luksemburgu wykupiło długi firmy Wolny Obszar Gospodarczy (WOG), utworzonej przez bankrutującą Stocznię Gdyńską, stając się tym samym posiadaczem dzierżawy wieczystej 20 ha w ścisłym porcie w części przeładunkowej z dostępem do Nabrzeża Bułgarskiego. Transakcja przejęcia przez Chińczyków 98 proc. WOG opiewała na 21 mln zł. Doszło do niej bez udziału i wiedzy Portu Gdynia. Po przejęciu spółki CK Hutchinson przebudował teren i zmienił nazwę operatora właśnie na Gdynia Container Terminal (GCT)".

W 2022 roku istniała obawa, że w wyniku przetargu firma założona przez Li Ka-shenga przejmie kolejne 66 ha. Razem byłoby to ponad 90 ha i CK Hutchison stałby się monopolistą w gdyńskim porcie, a Pekin miałby dokładny wgląd w to, co płynie do Polski i co jest z niej wywożone.

Ekspansję Chińczyków w Gdyni, rozpoczętą pod rządami SLD, udało się jednak za rządów PiS zatrzymać. Na początku czerwca Port Gdynia poinformował, że w przetargu na nowego operatora terminalu kontenerowego Portu Gdynia wpłynęła jedna oferta. Złożyła ją posiadająca NATO-wskie certyfikaty filipińska spółka International Container Terminal Services Inc. wraz ze swoją spółką BCT, która zarządza częścią gdyńskiego portu, gdzie obsługiwana jest m.in. polska armia oraz sojusznicy z NATO.

Chiny nie odchodzą od Rosji

Polska uniemożliwiła chińską ekspansję w Gdyni w momencie, gdy Chiny intensyfikują swoją obecność militarną na świecie. Pekin od lat buduje sztuczne wyspy pod bazy wojskowe na Morzu Południowochińskim, a w 2017 roku otworzył swoją pierwszą oficjalną bazę zagraniczną w Dżibuti (gdzie bazy mają również USA, Francja, Japonia i Włochy).

ChRL stworzyła także placówkę wojskową w Tadżykistanie, w pobliżu granicy z Afganistanem, i buduje w Zjednoczonych Emiratach Arabskich obiekt portowy, który może być wykorzystywany do celów wojskowych. W kwietniu bieżącego roku ujawniono porozumienie dotyczące bezpieczeństwa między Chinami a Wyspami Salomona, które pozwala Pekinowi wysyłać uzbrojoną policję i personel wojskowy do tego państwa wyspiarskiego w południowo-wschodniej Oceanii, co może być zapowiedzią stałej obecności wojskowej ChRL na wyspie.

6 czerwca bieżącego roku „The Washington Post" ujawnił, że Chiny planują kolejną bazę wojskową, tym razem w Kambodży. Chińczycy zainwestowali w rozbudowę Ream Naval Base nad Zatoką Tajlandzką, a Pekin i Phnom Penh podpisały umowę na 30-letnie korzystanie z bazy przez ChRL. Część bazy ma być oddana na wyłączny użytek chińskiej armii.

Na miejscu ma się znaleźć m.in. naziemna stacja BeiDou, chińskiej alternatywy dla GPS. Aby Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza mogła prowadzić nowoczesne wojny, potrzebuje precyzyjnego sterowania bronią i zaawansowanych sieci komunikacyjnych. Do tego trzeba satelitów pozycjonujących, nawigacyjnych i synchronizujących, takich jak BeiDou.

Chińska baza w Kambodży znajdzie się obok Cieśniny Malakka, czyli najkrótszej trasy morskiej między Bliskim Wschodem a Azją Wschodnią, pomagającą skrócić czas i koszt transportu między Azją, Bliskim Wschodem i Europą. Strategiczne położenie sprawia, że jest to istotny szlak wodny dla transportu kontenerowego węglowodorów i ładunków masowych. Ponad 70 proc. całego eksportu ropy naftowej i LNG do ChRL transportowanych jest przez Cieśninę Malakka, co czyni ją kluczowym szlakiem w polityce bezpieczeństwa energetycznego Chin.

Powstrzymanie chińskiej penetracji w Gdyni nastąpiło także w czasie, gdy w Chinach nadal mocne są głosy o udzieleniu większego wsparcia Rosji.

30 maja bieżącego roku na Forum Chiny–USA, organizowanym przez Instytut Studiów Finansowych Chongyang Uniwersytetu Renmin w Pekinie, chińska ekonomistka Chen Wenling podkreśliła, że Chiny powinny zrobić wszystko, aby wesprzeć Rosję „w sposób otwarty i rozsądny. Na przykład tak jak ostatnio poprzez wspólne chińsko-rosyjskie ćwiczenia sił powietrznych". „Można też zrobić więcej w zakresie handlu, aby Chiny i Rosja mogły połączyć się w ramach Euroazjatyckiej Unii Gospodarczej zaproponowanej przez Putina poprzez Nowy Jedwabny Szlak (Inicjatywę Pasa i Szlaku) w celu utworzenia pogłębionego strategicznego pasa, gospodarczego pasa Jedwabnego Szlaku, pasa bezpieczeństwa energetycznego, co w przyszłości będzie główną barierą bezpieczeństwa" – dodała Chen.

To ważny głos chińskiego establishmentu, bo Chen Wenling to obecnie główna ekonomistka rządowego Chińskiego Centrum Międzynarodowej Wymiany Ekonomicznej, nazywanego w Chinach super think tankiem.

Wspólne ćwiczenia wojskowe Rosji i Chin, o których wspomniała Chen, odbyły się nad wodami Morza Japońskiego i Morza Wschodniochińskiego w maju, zatem w trakcie rosyjskiej agresji w Ukrainie. Cytowany przez agencję Reutera wysoki rangą przedstawiciel amerykańskiej administracji ocenił to jako sygnał głębokiego sojuszu Rosji i Chin, także na polu wojskowym. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Ryszard Czarnecki

Madagaskar – zapiski z wyprawy na koniec świata

Chłopiec ma może pięć lat. Opiekuje się stadem kóz. Rodziców trzeba wyręczać, zwłaszcza gdy mieszka się w jednym z najbiedniejszych krajów świata – Madagaskarze. Tym widokiem można się wzruszać, ale praca dzieci w tym kraju to duży problem. To powszechne. Akurat zresztą pasanie kóz to stosunkowo lekka robota.

Jadę w tumanie czerwonego kurzu. Jest wszędzie, na szortach, T-shircie, twarzy, włosach. Wąska droga. Ledwo omijamy zaprzęg z jakami – to tutaj podstawowy środek lokomocji.

Słońce zachodzi tu już koło piątej po południu. Zachód słońca jest tak intensywny, że nie widać drogi przed nami. Pełno lemurów symbolizujących faunę tego kraju. Nie wolno ich stąd wywozić. Biegają jak ludzie: na dwóch nogach. Turyści robią sobie z nimi sesje fotograficzne. Lemury są bardzo cierpliwe...

Następnego dnia nasz konwój aut zwalnia, bo jaki, niczym święte krowy, tarasują czerwoną – od barwy piasku – drogę położoną wśród zielonych, niskich kęp. Mężczyzna z narzędziami idzie do pracy z dwojgiem małych dzieci. Obowiązek szkolny ich chyba nie dotyczy. Kobieta z pękiem trzciny cukrowej, też z dziećmi, zadziwiona kolumną samochodów. Wąwóz wysokich kaktusów i palm na pewno przewyższających auto. Dziewczynka z tobołkiem na głowie. Za chwilę matka z córką też z towarem na głowie. Wszyscy oni cierpliwie idą, a my rozparci w jeepach zżymamy się, że za wolno jedziemy.

Przejeżdżam przez wioskę Anjamahavelo. Nawet drewniane chodniki. I zabawy dzieci identyczne pod różnymi szerokościami geograficznymi: starsze „wozi" młodsze, idąc na czworakach.

Kolejna wioska. Wspierają ją finansowo „wszyscy święci": ONZ, UE, USA (poprzez USAID), ale również poszczególne kraje szeroko rozumianej Europy Zachodniej: Niemcy, Francja, Wielka Brytania, Irlandia, Monako, Szwajcaria, a nawet... Rosja. Ewidentnie szereg dawnych państw kolonialnych chce, oferując pomoc, zrzucić z siebie grzech kolonializmu. Tyle że ich pieniądze często nie trafiają do adresatów, bo albo rozkradną je po drodze, albo pójdą na inwestycje, które potem i tak niszczeją, bo miejscowi nie umieją ich obsługiwać.

Tłum ludzi, zwłaszcza kobiety z dziećmi. Urzędnik czyta nazwiska z listy. Podchodzą kobiety z dziećmi albo na ręku, albo przytroczonymi chustą do pleców. Dostrzegam też pojedynczych mężczyzn z dzieciakami. Jest także osobna kolejka dla kobiet w ciąży. Jest tu takich 36. Matka karmi dziecko piersią w tłumie oczekującym na paczki z pomocą humanitarną. Przed dwoma laty powódź po cyklonie zniszczyła tutaj wszelkie uprawy patatas – słodkich ziemniaków, czyli podstawy wyżywienia mieszkańców południowego Madagaskaru. Ludzie dostają też wielkie worki z ryżem. Worki mają napisy po francusku: „sprzedaż zabroniona". Jest też olej słonecznikowy w workach z napisami świadczącymi, że miejscowi otrzymują je dzięki Unii Europejskiej.

Festiwal koszulek. Jakiś facet w brudnym, starym T-shircie z ledwo widocznym napisem „Andry Rajoelina – presida" – pamiątka z kampanii na prezydenta tej czwartej co do wielkości wyspy świata. Jakieś dziewczę w koszulce UNICEF-u i krzyżem na szyi. Kolejna w koszulce z napisem „Zebu Madagaskar" i następna z napisem „Neymar Junior".

Nasza trasa jest jak flaga Madagaskaru: zielona – jak kolor trawy, ale też krzewów i nie tak licznych drzew, czerwona – jak ziemia – i biała, bo taka właśnie biała lub jasna jest droga na przestrzeni kolejnych kilkudziesięciu kilometrów.

Zwalniamy, bo koza śmiga przez drogę. Obserwuję, w jaki sposób „tutejsi" się przemieszczają. Bardzo rzadko jest to motor. Sporo rowerów i bardzo, bardzo wiele, na pewno najwięcej kobiet cierpliwie maszerujących z ciężarami na głowie. Zaskakująco sporo murowanych budynków, opuszczonych przez ich właścicieli. Widzę, jak w murowanych budynkach bez szyb pasą się... kozy.

Tak wygląda państwo, którego oficjalna nazwa jest dla Polaków doskonale zrozumiała: „Republican'l Madagasikara"... ■

eprasa.pl 84d681be0e

Olga Doleśniak-Harczuk

Przysypani Ostalgią

Co druga ofiara komunistycznych represji z czasu NRD żyje na granicy ubóstwa. Co trzecia – ma miesięcznie do dyspozycji mniej niż tysiąc euro. Dużo? W najuboższej dzielnicy Berlina wynajęcie kawalerki za 600 euro graniczy dziś z cudem. 60 procent tych ludzi cierpi ponadto na choroby ciała i duszy będące pozostałością doświadczonych represji. Zjednoczone Niemcy trzy dekady po upadku muru oficjalnie przyznają, że nie zdały egzaminu z wyczulenia na los tych, którym NRD-owski reżim złamał lub pokruszył życie. To jest ta brzydsza i smutna strona popkulturowej Ostalgii.

eprasa.pl 84d681be0e

Powyższe dane obejmują byłych obywateli NRD żyjących dziś na obszarze Brandenburgii, w sowieckiej strefie okupacyjnej. Z miejsca uznano je za alarmujące. I zawstydzające. Zjednoczone Niemcy nie poradziły sobie z postkomunistycznym spadkiem. Nakręcono tyle filmów o Stasi, o „dobrym agencie" ze świetnego, lecz przecież nieznajdującego potwierdzenia w faktach filmu „Życie na podsłuchu", w sklepach z pamiątkami znajdziemy plastikowe trabanty, „Kapitał" Marksa w formie gumki do ścierania, w antykwariatach wpinki i odznaki socjalistycznych młodzieżówek. Ciekawe, jak odczytują ten postenerdowski kod ci, którym państwo Honeckera i jego poprzedników podcięło skrzydła.

Zainfekowane

A podcinano je na wiele sposobów. Przesłuchania, bicie, więzienie – o tym wiadomo najwięcej, ale przecież w NRD represje przybierały również kształt celowego okaleczania lub okaleczania przez zaniedbanie wynikające z braku poszanowania ludzkiego życia i zdrowia. Jak pisze w przedstawionym 15 czerwca raporcie Evelyn Zupke, pełnomocnika rządu ds. ofiar reżimu SED, termin „ofiary komunizmu" dotyczy również kobiet zakażonych przez niefrasobliwość NRD-owskiej służby zdrowia szczepionkami zanieczyszczonymi wirusem zapalenia wątroby typu C. Takich kobiet było około 6,8 tys. Skandal tuszowano. Chore, w większości ciężarne kobiety tygodniami trzymano na kwarantannie bez słowa wyjaśnienia, dlaczego zostały odizolowane i co im dolega. W zjednoczonych Niemczech zdarzało się, że odrzucano ich wnioski o rentę, o uznanie doznanego uszczerbku na zdrowiu.

Na dopingu

Kolejna grupa to sportowcy faszerowani środkami dopingowymi. Za przyzwoleniem, a nawet na polecenie państwa. Sport był najlepszym kapitałem zagranicznym na stanie NRD, a kolejne medale wschodnioniemieckich wyczynowców poprawiały samopoczucie politbiura. Od 1974 roku reżim przystąpił do wdrażania tzw. Stadtplan 14.25, programu dopingowego, który przez kolejne 17 lat pozwalał NRD-owskim sportowcom przekraczać granice własnej wytrzymałości. Szacuje się, że w tym czasie anaboliki zaaplikowano ponad 10 tys. osób, w tym nieletnim. Osobną grupę stanowili sportowcy rekreacyjni, na których często testowano skuteczność dopingu. Jak wynika z raportu, mimo że temat dopingu w NRD jest wciąż nośny medialnie, nie doczekał się odpowiedniego rozliczenia i oszacowania strat. Wiadomo jednak, że ofiary NRD-owskiego dopingu częściej niż reszta społeczeństwa zapadają na choroby kości, wątroby, nowotwory. Do tego dochodzą depresje, traumy, lęki, czyli cały pakiet obciążeń psychicznych. Pamiątka po sportowych ambicjach politbiura.

Byle wyrwać z korzeniami

Raport wspomina też o przymusowo przesiedlonych w ramach akcji wywożenia niepokornych obywateli z obszaru przygranicznego między Zachodem i Wschodem. Takich osób było w NRD 11,5 tys., wywożono całe rodziny, a wyrzucenie ich z domów zazwyczaj wiązało się z kolejnymi represjami i szykanami osobistymi. Nowe lokale przyznawane na drugim końcu kraju okazywały się ruinami. Same przesiedlenia przebiegały w toku dwóch akcji, z 1952 i 1961 roku. Ta pierwsza została przeprowadzona pod kryptonimem „Robactwo". Z domów wyrzucono ponad 8 tys. osób. Druga akcja wiązała się z budową muru. W kilka godzin zapakowano na ciężarówki zdezorientowanych ludzi plus dobytek, który zdołali zabrać. Na rozkaz partii unikano przesiedlania wszystkich mieszkańców danego terenu w jedno miejsce, tak by zerwać więzi społeczne.

Pod przymusem

Jednym z najciekawszych ze względu na swoją skalę wątków raportu jest temat pracowników przymusowych. Szacuje się, że w latach 1945–1989 było ich w sowieckim sektorze około 250 tys. Ich praca zasilała dewizami kasę NRD – spora część towarów, które produkowali, trafiała do Niemiec Zachodnich (i innych zachodnioeuropejskich państw). Więźniowie polityczni do dziś wspominają gehennę w więziennych zakładach pracy, zachowały się też świadectwa tych, którzy z braku odpowiedniej odzieży ochronnej lub wysłani do obsługi ciężkich maszyn potracili kończyny, doznali poparzeń (na przykład w zakładach wykorzystujących rtęć).

To zaledwie fragment. Wiele historii czeka na opowiedzenie. Część z nich opisał trzy lata temu w swojej książce Tobias Wunschik, na łamach „Nowego Państwa" ukazała się zresztą recenzja tej książki. Warto po nią sięgnąć.

Po 70 latach

W czerwcu 2023 roku, w 70. rocznicę powstania czerwcowego, ma zostać położony kamień węgielny pod budowę pomnika upamiętniającego ofiary komunizmu. Jeszcze nie wyznaczono miejsca, ale mówi się o samym centrum Berlina. To już kolejny pomnik, który w najbliższych latach ma stanąć w niemieckiej stolicy. Ten upamiętniający polskie ofiary II wojny światowej też czeka na wskazanie konkretnego miejsca. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Hanna Shen

Tak minął miesiąc w Azji

Co działo się w minionym miesiącu na kontynencie azjatyckim i wokół niego? Poniżej prezentujemy omówienie wydarzeń, które niekoniecznie trafiają na pierwsze strony gazet, lecz są ważne.

Chiny i SARS-CoV-2

9 czerwca Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) opublikowała drugi wstępny raport dotyczący pochodzenia koronawirusa SARS-CoV-2. Nowy dokument nadal nie przyniósł odpowiedzi na pytanie, jakie były prawdziwe początki pandemii, która zabiła ponad 6 mln ludzi na świecie i była ogromnym ciosem dla światowej gospodarki. Specjalna naukowa grupa doradcza powołana przez WHO stwierdziła w dokumencie, że potrzeba dalszych badań, by ostatecznie stwierdzić, skąd wziął się wirus. Jednak w odróżnieniu od wcześniejszego raportu komisji WHO z 2021 roku, który wywołał kontrowersje, odrzucając teorię, że SARS-CoV-2 mógł „wydostać się" z laboratorium w Wuhan w Chinach, obecny panel naukowców uznał ten scenariusz za możliwy i wymagający dalszego śledztwa. „Wszystkie hipotezy muszą pozostać na stole, dopóki nie będziemy mieli dowodów, które pozwolą nam wykluczyć niektóre hipotezy" – stwierdził dyrektor generalny WHO Tedros Adhanom Ghebreyesus. Jednak dalsze śledztwo może być niemożliwe, bo członkowie panelu z Chin, Rosji i Brazylii sprzeciwiają się wszelkim dodatkowym badaniom dotyczących tego, czy wirus wyciekł z Instytutu Wirusologii Wuhan.

W raporcie stwierdzono również, że na razie dostępne dane sugerują, że SARS-CoV-2 ma źródło pochodzenia zwierzęcego, co oznacza, że rozprzestrzenił się między zwierzętami w środowisku naturalnym, ale nie można zidentyfikować zwierzęcia, które zainfekowało ludzi, ani miejsca, w którym doszło do tej infekcji. Urzędnicy WHO podkreślili, że raport zawiera jedynie wstępne ustalenia i być może potrzeba będzie lat, by poznać całą prawdę na temat pochodzenia koronawirusa.

Pekin stanowczo odrzuca teorię, że koronawirus mógł wyciec z Instytutu Wirusologii Wuhan lub innego chińskiego instytutu badawczego badającego koronawirusy. Zamiast tego chińscy urzędnicy promują dezinformację, że wirus pochodzi ze Stanów Zjednoczonych lub został przywieziony do Chin na mrożonych rybach. Działania Chin służące powstrzymaniu dalszego dochodzenia dotyczącego wycieku wirusa z Laboratorium w Wuhan popiera Rosja.

Pierwszy wstępny raport WHO opublikowany w 2021 roku spotkał się z ogromną krytyką, ponieważ powielał chińską narrację – wykluczył teorię wycieku z laboratorium jako „wyjątkowo nieprawdopodobną", a jednocześnie sugerował, że idea, iż wirus mógł być przeniesiony przez mrożonki rybne, wymaga dalszych badań. Przed ogłoszeniem raportu w 2021 roku, grupa naukowców WHO udała się do Chin, by tam zbadać pochodzenie wirusa. Po powrocie duński naukowiec Peter Ben Embarek przyznał, że strona chińska wywierała wpływ na delegację WHO, by odrzucić jakiekolwiek powiązania chińskiego laboratorium z wybuchem pandemii. Kontrowersję wywołał także fakt, że jeden z ekspertów WHO badających źródła koronawirusa w Wuhan, brytyjski naukowiec Peter Daszak, ma wieloletnie powiązania zawodowe i finansowe z laboratorium w Wuhan. Daszak był „wykonawcą, współpracownikiem i współautorem prac prowadzonych w laboratorium w Wuhan nad strukturą i analizą nowych chimerycznych wirusów".

Tajwan

W wyniku rosnącego zagrożenia ze strony Chin i wyciągając lekcję z wojny w Ukrainie – gdzie operacje wywiadowcze odegrały kluczową rolę w stawieniu oporu rosyjskiej inwazji – Tajwan rozbudowuje centrum operacji wywiadowczych, zwiększając liczbę pra-

eprasa.pl 84d681be0e

cowników zajmujących się armią ChRL. Do tej pory centrum liczyło 125 pracowników pochodzących z Biura Bezpieczeństwa Narodowego i Biura Wywiadu Wojskowego. Do końca 2022 roku centrum będzie miało 30 dodatkowych fachowców.

Tajwański minister obrony Chiu Kuo-cheng i amerykańscy eksperci ostrzegają, że Chińska Armia Ludowo-Wyzwoleńcza będzie w stanie przeprowadzić atak na wyspę na pełną skalę w latach 2025–2027. Chińskie samoloty coraz częściej naruszają tajwańską strefę obrony. Do połowy 2022 roku Tajwan zgłosił ponad 460 przypadków takiego naruszenia, co stanowi około 50-proc. wzrost w porównaniu z tym samym okresem w ubiegłym roku.

Także w związku z rosnącym zagrożeniem ze strony Chin, USA przygotowało nową strategię obrony Tajwanu, wykorzystując to, czego nauczono się podczas wzmacniania zdolności wojskowych Ukrainy. Nowa strategia Waszyngtonu ma się opierać na zapewnieniu Tajwanowi zdolności do prowadzenia asymetrycznego konfliktu, które mają zwiększyć szanse na powstrzymanie przeważających chińskich sił zbrojnych.

Dowodem na zmianę strategii USA są m.in. ostatnie tajwańskie zakupy sprzętu wojskowego – mobilnych wyrzutni rakiet, myśliwców F-16 i przeciwokrętowych pocisków manewrujących. Waszyngton odradził Tajwanowi zakup helikopterów MH-60R Seahawk oraz czołgów M1A2 Abrams. Przyszłe zakupy powinny uwzględniać inteligentne miny, sprzęt zwiększający zdolności do cyberobrony oraz wzmacniający siły specjalne.

Jak pisze „The New York Times", celem nowej strategii jest przekształcenie Tajwanu w „jeżozwierza", czyli „terytorium najeżone uzbrojeniem i innymi formami wsparcia kierowanego przez USA, które sprawia wrażenie, że atak będzie bolesny".

Amerykanie rozważają też w przypadku inwazji wprowadzenie gospodarczych sankcji na Chiny. W tej chwili trwają dyskusje na temat tego, jak rozległe powinny one być.

▶ Korea Płn. i Płd.

Konferencja Biskupów Katolickich Korei (CBCK) zakończyła formalny proces zbierania relacji świadków w sprawie beatyfikacji biskupa Pjongjangu Francisa Hong Yong-ho i 80 innych męczenników zabitych przez komunistów podczas wojny koreańskiej w latach 1950–1953. Akta procesu zostaną przekazane do Kongregacji Spraw Kanonizacyjnych w Rzymie.

Wśród 81 kandydatów na ołtarze jest też Patrick James Byrne (1888–1950), misjonarz ze zgromadzenia Maryknoll z USA, od 1949 roku delegat apostolski w Korei, porwany w Seulu i uprowadzony do Korei Północnej, który zmarł w czasie przymusowego marszu więźniów.

Ordynariusz diecezji Suown bp Mathias Ri Iong-hoon uważa, że w sytuacji trwającego podziału Korei na dwa państwa i konfliktów ideologicznych między nimi beatyfikacja męczenników XX wieku będzie „fundamentem dla wspierania pojednania i jedności".

Podczas gdy Korea Południowa jest krajem, w którym w pełni szanowana jest wolność religijna, Korea Północna jest według chrześcijańskiej organizacji non profit Open Doors USA krajem, w którym najbardziej, obok Afganistanu, prześladowani są chrześcijanie. Komunistyczny reżim w Pjongjangu nie toleruje żadnej religii, ale to właśnie chrześcijaństwo określa jako szczególnie niebezpieczne. Na początku ubiegłego wieku Pjongjang znany był misjonarzom jako „Jerozolima Wschodu" w związku ze swoim statusem twierdzy chrześcijaństwa. Jeszcze w połowie XX wieku 30 proc. ludności tego miasta było katolikami. W czasie wojny koreańskiej, gdy wojska komunistyczne wkroczyły na południe, aresztowały zagranicznych misjonarzy, osoby duchowne i wiernych. Na północy rozpoczęto niszczenie klasztorów i kościołów, a zakonników i księży więziono i skazywano na śmierć. Od tego czasu do dziś władze w Pjongjangu traktują chrześcijaństwo jako niebezpieczny wpływ z zagranicy, który może być bodźcem do obalenia komunistycznego rządu, jak to miało miejsce w Polsce. Za wyznawanie wiary i posiadanie przedmiotów kultu religijnego grożą w KRLD surowe kary więzienia i obozów pracy.

Władze północnokoreańskie już w szkołach prowadzą kampanię nienawiści wobec chrześcijan. W raporcie pt. „Zmuszeni do nienawiści" opublikowanym w 2016 roku przez PSCORE, organizację z siedzibą w Seulu zajmującą się m.in. pomocą uchodźcom z KRLD, opisano, jak od najmłodszych lat dzieci w szkołach uczone są, że chrześcijaństwo jest niebezpieczne, a misjonarzy określa się jako potwory. Nic więc dziwnego, że większość osób urodzonych w Korei Północnej ma taki stosunek do religii, jak jeden z uciekinierów z tego kraju Jung Yoon-Bo. W wypowiedzi dla PSCORE tak opisał on, czym dla niego była wiara, gdy mieszkał w KRLD: „Kiedy byłem w Korei Północnej, religia była dla mnie czymś przerażającym. Jeśli wykryto, że wierzyłeś, to umierałeś [...] Wierzyłem, że religia to jakiś zły duch". Trudno dokładnie określić, ilu chrześcijan jest w Korei Północnej, ponieważ muszą oni dobrze ukrywać swoją wiarę, ale Open Doors szacuje, że jest to 400 tys. wiernych, czyli około 1,5 proc. populacji. Około 50–70 tys. tych chrześcijan przebywa w więzieniach i obozach pracy. ■

eprasa.pl 84d681be0e

TŁUMACZYŁ I OPRACOWAŁ
Antoni Rybczyński

Nieprzystosowane do celów: fiasko projektu rosyjskiego wojska

Inwazja Rosji na Ukrainę była operacją wojskową obarczoną poważnymi błędami, poczynając od założeń Moskwy o łatwym zwycięstwie, poprzez brak przygotowania, złe planowanie i użycie sił. Mniej uwagi poświęca się jednak rosyjskiej strukturze sił zbrojnych i problemom związanym z zasobami ludzkimi, które stanowią obecnie krytyczny element kształtujący wyniki tej wojny – piszą znakomici eksperci ds. wojskowych Michael Kofman i Rob Lee na łamach specjalistycznego portalu War on the Rocks (publikacja 2 czerwca 2022 roku).

Niektóre z najbardziej znaczących problemów, jakie mają rosyjskie siły zbrojne, są wynikiem świadomych wyborów i kompromisów. Decyzje te pomagają wyjaśnić wiele zaobserwowanych trudności, z jakimi borykają się rosyjskie siły zbrojne w operacjach z użyciem broni połączonej, walkach w środowisku miejskim i próbach utrzymania terenu. W czasie tej wojny ujawnił się pełny zakres słabości kadrowych Rosji. W obecnej sytuacji rosyjskie wojsko cierpi na niedobór sił ludzkich – zwłaszcza piechoty. Armia rosyjska poszła również na kompromis, tworząc częściowe siły mobilizacyjne. W rezultacie została zoptymalizowana do prowadzenia krótkiej i intensywnej wojny, a jednocześnie brakuje jej zdolności do prowadzenia dużego konfliktu konwencjonalnego przy obsadzie kadrowej na poziomie „czasu pokoju".

Najlepsze czy najgorsze z obu światów?

Kolejne rosyjskie reformy wojskowe po upadku Związku Sowieckiego dążyły do porzucenia starej armii mobilizacyjnej o dużym udziale poborowych poprzez konsolidację formacji i wyposażenia, przekształcając nieporęczne sowieckie dziedzictwo w mniejsze siły stałe. Wojsko rosyjskie składało się głównie z poborowych, którzy byli powoływani do wojska dwa razy w roku, oraz ze służby kontraktowej – uznawanej za „zawodowców", którzy zgłaszali się na ochotnika na kilka lat odpłatnej służby. Rosja skupiła się na tym, aby większość jej sił zbrojnych stanowili żołnierze kontraktowi. Podobnie jak Stany Zjednoczone, Rosja doszła do przekonania, że mniejsza, lecz lepiej wyposażona i wyszkolona armia jest w stanie poradzić sobie w różnych konfliktach. Proces ten odbywał się głównie w latach 2008–2012.

Rosyjskie wojsko wycofało się z niektórych z tych reform począwszy od 2013 roku, nie tylko dlatego, że niektóre z nich okazały się bardzo niepopularne, lecz także dlatego, że siły takie uznano za zbyt małe do prowadzenia wojny regionalnej lub na dużą skalę z przeważającym przeciwnikiem. W związku z tym wojska lądowe przyjęły mieszaną strukturę sił, z dywizjami i brygadami, co zwiększyło ogólną

eprasa.pl 84d681be0e

strukturę sił. Podejście do obsady personalnej brygad i dywizji było takie samo. Rosja powróciła do koncepcji sił częściowo zmobilizowanych, licząc na to, że uda jej się uzyskać to, co najlepsze z obu światów: więcej sił i sprzętu, mniej personelu i kosztów, a także zdolność do wygenerowania znacznej siły bojowej w krótkim czasie. Wojsko dążyło do posiadania sił wysokiej gotowości w ramach dawnego sowieckiego podejścia do dużych formacji wymagających pewnego stopnia mobilizacji. Trudno było także pogodzić utrzymanie w wojsku około 250 tys. poborowych z ich ogólnie niską przydatnością do działań wojskowych oraz ograniczeniami politycznymi dotyczącymi ich wykorzystania w konfliktach.

Wojsko rosyjskie ostatecznie przyjęło strukturę sił, które mogły być rozmieszczane jako batalionowe grupy taktyczne lub jako cała formacja, na przykład pułk lub brygada. Batalionowe grupy taktyczne były zorganizowanymi zadaniowo formacjami broni połączonej o stałych relacjach szkoleniowych, skupionymi wokół batalionu manewrowego w ramach pułku lub brygady. Oczekiwano od nich wyższej gotowości w zakresie sprzętu i siły roboczej oraz zdolności do szybkiego przemieszczania się. Formacje te składały się z piechoty, broni pancernej, artylerii i środków wsparcia. Batalionowa grupa taktyczna nie pojawiła się niedawno, ale stała się w rosyjskim wojsku miernikiem gotowości i zdolności sił do szybkiego tworzenia jednostek. W teorii zapewniało to elastyczność, ale to, jak będzie działać w praktyce na dużą skalę, pozostawało w sferze domysłów. Jak trafnie pokazuje obecna wojna, to, co wojsko może zrobić z 10 batalionami w ograniczonej wojnie, niekoniecznie da się powtórzyć z ponad setką w złożonej operacji wojskowej na dużą skalę.

Jak to wyglądało w praktyce? Rosyjskie formacje lądowe (w tym piechota morska i powietrzno-desantowe wojska), jako siły o podwyższonej gotowości bojowej, były obsadzone w 70–90 proc. W związku z tym w czasie pokoju brygada licząca 3500 ludzi mogła liczyć tylko 2500 ludzi. Biorąc pod uwagę 30 proc. poborowych, którzy mogliby znaleźć się w jednostce, oznaczało to, że nie więcej niż 1700 ludzi można by uznać za zdolnych do wyjazdu. Jeśli rzeczywiste poziomy gotowości były zawyżone lub liczba pracowników kontraktowych była niewystarczająca do obsadzenia dwóch batalionowych grup taktycznych, to rzeczywista liczba dostępnych sił była jeszcze bardziej ograniczona. [...]

Wojsko rosyjskie jest dobrze przystosowane do prowadzenia krótkich, intensywnych kampanii z dużym użyciem artylerii. Nie jest natomiast przystosowane do prowadzenia długotrwałej okupacji lub wojny na wyniszczenie, która wymagałaby zaangażowania znacznej części sił lądowych Rosji, a właśnie w takim konflikcie się znalazło. Rosyjskie wojsko nie dysponuje odpowiednią liczbą żołnierzy, aby łatwo dostosować się do sytuacji lub rotować siły, jeśli znaczna część sił bojowych zostanie uwięziona w wojnie. Założono, że w przypadku kryzysu w relacjach z NATO, kierownictwo polityczne zezwoli na mobilizację w celu zwiększenia stanu osobowego i rozmieszczenia formacji w pełnej obsadzie.

Uruchomiono tymczasem „operację specjalną", która oznaczała rozpoczęcie wielkiej wojny w Europie, przeciwko drugiemu co do wielkości państwu kontynentu, przy użyciu sił działających na poziomie obsady z okresu pokoju. Putin zakładał, że Ukraina szybko się podda, a operację zmiany reżimu będzie można przeprowadzić bez konieczności planowania i organizowania wielkiej wojny. Wynikająca z tego katastrofa, która będzie badana przez następne dziesięciolecia, jest skutkiem skrzyżowania fatalnych rosyjskich założeń politycznych z założeniami sił zbrojnych dotyczącymi sił, które byłyby dostępne do prowadzenia wojny na taką skalę.

PO PIERWSZEJ INWAZJI ROSJI I ATAKACH NA UKRAINĘ W 2014 I 2015 ROKU ROSYJSKIE WOJSKO POSTAWIŁO SOBIE ZA PRIORYTET POSIADANIE WIĘKSZEJ LICZBY BATALIONOWYCH GRUP TAKTYCZNYCH W STANIE STAŁEJ GOTOWOŚCI BOJOWEJ.

▶ Przeglądając BTG

Po pierwszej inwazji Rosji i atakach na Ukrainę w 2014 i 2015 roku rosyjskie wojsko postawiło sobie za priorytet posiadanie większej liczby batalionowych grup taktycznych (BTG) w stanie stałej gotowości bojowej, obsadzonych wyłącznie przez żołnierzy kontraktowych i oficerów. Od 2016 roku każdy pułk lub brygada miały mieć możliwość sformowania dwóch batalionowych grup taktycz-

eprasa.pl 84d681be0e

nych, w których skład wchodziliby wyłącznie oficerowie i żołnierze kontraktowi, natomiast trzeci batalion stanowiliby poborowi. W praktyce sytuacja wyglądała różnie w poszczególnych jednostkach, w zależności od ich ogólnego poziomu gotowości. Według szefa Sztabu Generalnego Walerija Gierasimowa, w 2016 roku Rosja miała 66 BTG, 115 w 2017 roku i 126 w 2018 roku. Szojgu powiedział, że w 2019 roku Rosja będzie miała 136 batalionowych grup taktycznych, a w sierpniu 2021 roku – 168. Oficjalna liczba BTG szybko wzrastała, natomiast liczba żołnierzy służących w ramach kontraktu uległa spłaszczeniu, a liczba poborów pozostała niezmieniona w ciągu ostatnich czterech lat. W związku z tym współczesne wyobrażenia o typowej liczebności i składzie rosyjskiej batalionowej grupy taktycznej były niedokładne. Rosyjska armia postawiła sobie za cel osiągnięcie liczby 425 tys. żołnierzy kontraktowych do 2017 roku, a następnie 499 200 do 2019 roku. Zamiast tego, według rosyjskich urzędników, w 2016 roku osiągnięto liczbę 384 tys., w 2019 roku – 394 tys., a w 2020 roku – 405 tys., co było ostatnią publicznie podaną liczbą. Ponieważ Ministerstwo Obrony przez kilka lat z rzędu podawało te same liczby żołnierzy kontraktowych, stało się jasne, że prawdopodobnie ich liczba maleje.

Wydaje się, że rosyjskie siły zbrojne osiągnęły oficjalny cel, redukując liczbę personelu w każdym batalionie, w tym liczbę osób w każdej kompanii, co miało znaczący wpływ na działania na Ukrainie. Decyzja ta miała dwa ważne skutki. Po pierwsze, rosyjskie ofensywne formacje manewrowe, zakładające istnienie około 125–130 batalionowych grup taktycznych, jak podają oficjalne źródła amerykańskie, były w praktyce znacznie mniejsze, jeśli weźmiemy pod uwagę ich faktyczną siłę. Siły te liczyły ogółem około 80 tys. ludzi, nie licząc jednostek pomocniczych i innych elementów wspierających (całkowita liczebność sił prawdopodobnie przekraczała 100 tys.). Po drugie, formacje te były silnie skoncentrowane na artylerii, broni pancernej, wsparciu i jednostkach pomocniczych, a nie na zmotoryzowanej piechocie strzeleckiej i dostępności jednostek zdemobilizowanych. Miało to głęboki wpływ na zdolność Rosji do działania w terenie zurbanizowanym, wspierania wojsk pancernych piechotą i kontrolowania terenu. Brakowało również kluczowego personelu, od personelu pomocniczego po logistyków, a siły były o wiele bardziej kruche, niż wielu (w tym my) zakładało. [...]

Z dodatkami, liczebność wielu batalionowych grup taktycznych opartych na batalionie strzelców zmotoryzowanych wynosi od 400 do 600 osób, czyli znacznie mniej niż 700 do 900 osób, które podawali rosyjscy oficjele. Na przykład dwa bataliony wysłane na Ukrainę ze 138. Brygady Strzelców Zmotoryzowanych liczyły odpowiednio 310 i 226 osób, a batalionowe grupy taktyczne utworzone z tych batalionów – 666 i 499 osób. Istnieją znaczne różnice w liczebności batalionowych grup taktycznych rozmieszczonych na Ukrainie. Niektóre z nich liczą 900 osób, ale wiele jest o połowę mniejszych, co oznacza, że regularnie podawane lub aktualizowane przez różnych przedstawicieli resortu obrony liczby mają stosunkowo ograniczone lub żadne znaczenie dla oceny siły bojowej Rosji na Ukrainie. W praktyce batalionowe grupy taktyczne mogły liczyć od 350 do 900 osób, a niektóre jednostki nie zostały rozmieszczone jako batalionowe grupy taktyczne, lecz jako całe pułki wraz z jednostkami sztabowymi. W takich przypadkach artyleria i inne zasoby pułku lub dywizji nie zawsze były dołączane do batalionowych grup taktycznych, lecz znajdowały się na wyższym szczeblu, co dodatkowo zmniejszało liczebność tych jednostek. Duża liczba dowódców pułków i brygad, którzy zginęli na Ukrainie, świadczy o tym, że rosyjskie jednostki walczą jako pułki lub brygady, a niekoniecznie jako samodzielne batalionowe grupy taktyczne.

CZOŁGI I POJAZDY OPANCERZONE SĄ BEZBRONNE BEZ PIECHOTY, KTÓRA CHRONI JE MIĘDZY INNYMI PRZED ZESPOŁAMI PRZECIWPANCERNYMI.

Gdzie jest piechota?

Innym problemem jest to, że batalionowe grupy taktyczne z większą liczbą żołnierzy mają większy udział jednostek wsparcia, takich jak artyleria, obrona przeciwlotnicza, inżynierowie czy wojska elektroniczne, w stosunku do kompanii manewrowych (na przykład zmotoryzowanych strzelców lub czołgów). W zależności od zadania te inne dodatki są ważne, ale mniejszy udział kompanii manewrowych w zaso-

eprasa.pl 84d681be0e

bach wsparcia oznacza, że formacje te są mniej zdolne do manewru lub zajmowania terenu. Batalionowe grupy taktyczne sformowane z batalionów czołgów mają zwykle mniejszy skład osobowy, ponieważ bataliony czołgów mają w tabeli organizacji tylko 151 żołnierzy, a więc są jeszcze mniejsze ze względu na mniejszy udział piechoty. [...] W rezultacie wojsko rosyjskie wystawiło formacje manewrowe, które dysponowały niewielką liczbą piechoty, ale mimo to zabrały ze sobą wiele pojazdów opancerzonych. Sytuacja ta zaczyna przypominać problemy, z jakimi borykały się siły rosyjskie w Groznym w 1995 roku: tony metalu, mało ludzi. Rosyjskie jednostki czołgów potrzebują wsparcia piechoty w różnych sytuacjach, a piechota ma kluczowe znaczenie w walkach w terenie zurbanizowanym, przy zajmowaniu lub utrzymywaniu terenu. Czołgi i pojazdy opancerzone są bezbronne bez piechoty, która chroni je między innymi przed zespołami przeciwpancernymi. Bataliony strzelców zmotoryzowanych, które dysponują minimalną liczbą piechoty, są narażone na te same słabości co jednostki czołgów. Wysoki stosunek liczby pojazdów opancerzonych do liczby żołnierzy w wielu jednostkach rosyjskich może być także przyczyną porzucania wielu pojazdów na początku wojny. Brak organicznych zmotoryzowanych oddziałów strzeleckich również wyjaśnia słabe wyniki wielu rosyjskich jednostek czołgowych, które były podatne na zasadzki ze strony lekkich ukraińskich drużyn przeciwpancernych uzbrojonych w Javelin, NLAW i Stugna-P.

Wojsko rosyjskie nie dysponuje wystarczającymi siłami lekkiej piechoty, które mogłyby być wykorzystane w wielu sytuacjach, z jakimi miało do czynienia na Ukrainie. [...] Ciężkie straty poniesione przez jednostki powietrznodesantowe pod Kijowem w rejonie Buczy, Irpienia i Hostomla mogą być częściowo wynikiem braku piechoty. Niedobór piechoty w jednostkach zmotoryzowanych Rosja rekompensuje sobie, opierając się w dużej mierze na swojej piechocie morskiej oraz siłach milicji separatystów z Donbasu, które prowadziły większość walk w Mariupolu. [...]

Prawdopodobnie rosyjskie wojsko byłoby w lepszej sytuacji, gdyby dysponowało mniejszą liczbą batalionowych grup taktycznych, ale w pełni obsadzonych. Wygląda na to, że siły rosyjskie po raz kolejny ściągnęły żołnierzy kontraktowych lub oficerów z różnych batalionów, aby utworzyć je tuż przed inwazją, ale jednostki działają najlepiej, gdy mają możliwość wspólnego szkolenia, opracowania standardowych procedur operacyjnych i budowania spójności. Wydaje się też jasne, że wiele rosyjskich pułków i brygad mogło wystawić tylko jedną, a nie dwie, jak twierdzą rosyjscy oficjele, batalionowe grupy taktyczne. Co ciekawe, jedną z wcześniej zidentyfikowanych słabości tych formacji był brak wystarczającego personelu, który mógłby właściwie sprawować dowództwo i kontrolę nad licznymi oddziałami. Zamiast tego wydaje się, że rosyjskie siły lądowe na Ukrainie były przeciążone zbyt dużą liczbą oficerów dowodzących mniejszymi jednostkami, w których nie było wystarczającej liczby szeregowych piechoty.

▶ Brakuje podoficerów?

Wielu komentatorów koncentruje się na braku podoficerów jako kluczowej słabości kadrowej rosyjskiej armii. Nie jest to zaskakujące, ponieważ w armiach zachodnich podoficerowie zajmują ważne miejsce. W rosyjskich siłach zbrojnych są podoficerowie kontraktowi, ale żołnierze ci nie pełnią funkcji kierowniczych, nie mają podziału obowiązków i odpowiedzialności wobec dowódcy. Różnice te są ważne, ale zbyt mocno podkreślane. Na przykład Ukraina nie zbudowała efektywnego korpusu podoficerskiego do czasu tej wojny – był on w najlepszym razie w stadium początkowym. Niektóre z rzekomych różnic między Rosją a Ukrainą, przywoływane w popularnym dyskursie, po prostu nie wyjaśniają rozbieżnych wyników tych armii. Potrzeba czasu na bardziej świadomą rozmowę o tym, co w tej wojnie miało znaczenie, a co nie.

Większym problemem kadrowym jest natomiast brak szeregowych kontraktowych. W rzeczywistości zmniejszone liczebnie kompanie oznaczają, że podoficerowie mają mniejsze znaczenie, ponieważ oficerowie dowodzą mniejszą liczbą żołnierzy. W wielu przypadkach rosyjscy porucznicy dowodzili plutonami, które były mniej więcej tej samej wielkości co 13-osobowy oddział amerykańskiej piechoty morskiej, którym dowodzi podoficer. Mniejsze batalionowe grupy taktyczne wskazują, że Rosji nie udaje się zrekrutować wystarczającej liczby żołnierzy kontraktowych do właściwego obsadzenia batalionów manewrowych. Priorytetowymi zadaniami dla żołnierzy kontraktowych są stanowiska podoficerskie, jednostki elitarne i specjalności wysoce techniczne. Poborowi nie służą wystarczająco długo, aby przejść odpowiednie szkolenie w zakresie tych umiejętności technicznych, dlatego są one obsadzane niemal wyłącznie przez żołnierzy kontraktowych.

Ponieważ w rosyjskich siłach powietrzno-kosmicznych, marynarce wojennej i strategicznych siłach rakietowych jest większy odsetek zadań tech-

eprasa.pl 84d681be0e

nicznych, otrzymują one większy udział żołnierzy kontraktowych niż armia. W Wojskach Lądowych priorytetem jest zapewnienie obsady wszystkich stanowisk podoficerskich przez żołnierzy kontraktowych, a także takich zadań, jak obrona powietrzna, wojna elektroniczna i operatorzy innego sprzętu. Elitarne jednostki, takie jak wojska powietrznodesantowe, piechota morska, szpica i jednostki rozpoznawcze, również mają wyższy priorytet w otrzymywaniu żołnierzy kontraktowych. W rezultacie w batalionach strzelców zmotoryzowanych nie ma wystarczającej liczby szeregowych kontraktowych i wygląda na to, że Rosja postanowiła zrekompensować to zmniejszeniem liczby personelu w tych batalionach, zamiast redukować liczbę batalionowych grup taktycznych w stanie stałej gotowości. Nie dotyczyło to tylko żołnierzy piechoty. Rosyjskie jednostki manewrowe nie miały wystarczającej liczby szeregowych kontraktowych i w zbyt dużym stopniu polegały na poborowych.

Po zmobilizowaniu znacznych sił i uzyskaniu dostępu do zachodniego wsparcia wojskowego, Ukraina wydaje się być przygotowana do kontynuowania walki.

Dlaczego tak się stało?

Istotną rolę w tych wyborach odegrało rosyjskie myślenie o strategii i koncepcjach operacyjnych. Kultura organizacyjna i preferencje biurokratyczne nie powinny być ignorowane, ale powód, dla którego rosyjskie wojsko zostało tak skonstruowane, wiąże się z podstawowymi zasadami rosyjskiej myśli wojskowej. Wojsko ma swoje pomysły na to, jakie wojny może prowadzić, jak planuje je prowadzić i jak najlepiej wyważyć możliwości, zdolności i gotowość. Choć nie możemy tutaj zagłębiać się w rosyjską myśl wojskową, podstawowe wybory nie wynikały jedynie z próby zrównoważenia zasobów i osiągnięcia elastyczności sił, lecz także ze spójnego zestawu przekonań na temat tego, jak rosyjskie siły zbrojne powinny być zorganizowane do walki z NATO. To one zadecydowały o stworzeniu sił, w których mniej jest piechoty i mniejsza zdolność logistyczna do podtrzymywania ofensywy lądowej lub utrzymywania terytorium, za to więcej ognia i wsparcia dla sił wspomagających.

Nie wyjaśnia to problemów, jakie rosyjskie siły zbrojne wykazują w wielu dziedzinach, od braku bezpiecznej łączności po słabo wykazaną integrację wsparcia lotniczego, ogniowego i rozpoznawczego na polu walki. Istnieją wyraźne problemy z kompetencjami. Jednak wojny konwencjonalne często sprowadzają się do walki na wyczerpanie, w której siła robocza i sprzęt mają z czasem większe znaczenie niż wiele innych elementów. Siły posiadające w swojej strukturze wystarczające zabezpieczenie mogą próbować zrekompensować fatalny plan, podnieść się po początkowej porażce i spróbować się dostosować. Wojsko rosyjskie nie ma takiej możliwości, a dodatkowo jest ograniczone przez polityczne ramy tej wojny.

Kwestią otwartą pozostaje, czy Putin nie miał zbyt wysokiego mniemania o rosyjskim potencjale wojskowym. Mógł też po prostu pozwolić, by jego myśleniem kierowały założenia polityczne, że Ukraina szybko się podda. Zdarza się, że wojsko jest nieuczciwe w kwestii tego, co faktycznie może zrobić, ale często przywódcy polityczni po prostu nie chcą słuchać rad wojskowych, ponieważ nie są one tym, co chcieliby usłyszeć. Najprawdopodobniej rosyjska porażka jest połączeniem obu tych czynników.

Kwestie związane z obsadą stanowisk w Rosji wskazują, że przyszła mobilizacja napotka poważne problemy. W rosyjskim wojsku poborowi są wysyłani do jednostek, w których przechodzą większość szkolenia, a nie do scentralizowanych szkół. Jednak oficerowie szkoleniowi i podoficerowie z jednostek albo już zostali rozmieszczeni w niektórych przypadkach, albo prawdopodobnie zostaną wykorzystani do sformowania dodatkowych batalionów. Oznacza to, że pozostające w odwodzie pułki i brygady rosyjskie mogą nie mieć wystarczającej liczby personelu do właściwego przeszkolenia napływających obecnie poborowych. Im dłużej trwa ta wojna, tym większe będą zakłócenia w szkoleniu i rekrutacji. [...]

Po zmobilizowaniu znacznych sił i uzyskaniu dostępu do zachodniego wsparcia wojskowego, Ukraina wydaje się być przygotowana do kontynuowania tej walki. Rosyjska kampania zakończyła się niepowodzeniem nie tylko dlatego, że realizowała nierealistyczne cele polityczne, ale także dlatego, że plan inwazji nie uwzględniał wyborów dokonanych w zakresie struktury sił i narzuconych przez nie ograniczeń. Obecnie Rosja nie dysponuje wystarczającymi zasobami ludzkimi, by rotować obecne siły na polu walki lub prowadzić dalsze ofensywy poza obecną kampanią w Donbasie. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Tomasz Sakiewicz

Moskwiczem przez tajgę

Mimo wielkich dziur w systemie sankcji nakładanych na Kreml zaczynają one przynosić coraz większe efekty. Gwałtowny spadek sprzedaży samochodów w Rosji czy ogromne zmniejszenie wpływów z VAT są jednym z wielu tego przejawów. Gospodarka rosyjska jest uważana za o tyle specyficzną, że opiera się na handlu węglowodorami, tak jak wielu krajów arabskich. To tylko w połowie prawda. Rzeczywiście największym źródłem dochodów Moskwy są ropa i gaz. Ale w przeciwieństwie do wielu eksporterów tych źródeł paliw z Bliskiego Wschodu, Rosja próbowała rozwinąć własny przemysł, a nawet były okresy, kiedy chlubiła się, że rywalizuje pod tym względem z Zachodem. Dochody z tej aktywności nie były dużo mniejsze niż z handlu węglowodorami. Przemysł rosyjski miał jednak kilka poważnych obciążeń, które teraz mszczą się na władcach Kremla. Przede wszystkim był mniej wydajny mimo niższych kosztów pracy niż te same gałęzie przemysłu na Zachodzie. Działo się tak z wielu powodów, m.in. ze względu na ogromną korupcję. Ale jego największą wadą okazało się radykalne powiązanie z zagranicą. Powiązania te były szczególnie istotne z krajami, które nakładają teraz na Rosję sankcje. Żartobliwy ton, jakim traktowano rosyjskie wyroby jeszcze w czasach ZSRS, był jedną z przyczyn upadku tego imperium. Po prostu w żadnym wypadku nie wytrzymywały konkurencji z odpowiednikami z Zachodu. Już wtedy stopień powiązania sowieckiego przemysłu z krajami wysoko rozwiniętymi był niemały. Od II wojny światowej Zachód przyzwyczaił się do dostaw do Rosji potrzebnych jej maszyn i komponentów i zimna wojna wcale tego nie zmieniła. Wprawdzie od 1949 roku 17 krajów wprowadziło embargo na dostawy do Rosji wysokich technologii (CoCom), ale dotyczyło ono przede wszystkim urządzeń i części, które mogły być zastosowane w przemyśle zbrojeniowym. Poza tym embargo było dosyć mocno omijane przez system pośredników.

Prawdziwe szkody Moskwa poniosła dopiero w czasach Reagana, gdy CoCom bardzo uszczelniono. Od 1995 roku, kiedy CoCom przestał działać, Rosja całkowicie uzależniła się od dostaw z Zachodu. Sprowadzała zarówno gotowe urządzenia, jak i półprodukty, które umożliwiły jej przebudowę wielu gałęzi przemysłu, w tym zbrojeniowego. Nikt nigdy do końca nie zbadał stopnia zależności Moskwy od tych dostaw, ale jest on ogromny. Rosyjski sprzęt wojskowy, w wielu przypadkach, jest ślepy i głuchy, jeżeli nie dostanie komponentów z zagranicy. Ale nawet produkcja stali czy maszyn ciężkich jest zależna od tysięcy części, których Moskwa po prostu nie ma. Szybki spadek aktywności rosyjskiej gospodarki pokazuje, że chyba sami władcy Kremla nie docenili, jak ściśle są związani z Zachodem. Ale Kreml dostał jeszcze jedną bardzo nieprzyjemną wiadomość. Nawet produkcja ropy i gazu jest mocno uzależniona od dostaw i współpracy z najwyżej rozwiniętymi krajami, szczególnie USA. Pewnych złóż Rosjanie nie będą w stanie eksploatować bez amerykańskich technologii. Oczywiście tego typu sankcje nie działają natychmiast, ale jak widać, wcale nie trzeba czekać na nie całe lata.

ROSJA ŻEBY UNIKNĄĆ KATASTROFY, POWINNA NATYCHMIAST PRZERWAĆ WOJNĘ, ALE CHYBA NIE ZAMIERZA.

Czy Rosja nie może iść drogą Korei Północnej albo Wenezueli i machnąć ręką na cały Zachód? Oczywiście że może, tym bardziej że ma własną żywność. Z głodu nie umrze. Problem polega na tym, że Rosja prowadzi politykę imperialną, do której potrzebuje nowoczesnej armii z produkowanym u siebie sprzętem wojskowym. To ostatnie, jak widzimy, jest bardzo trudne. Na masowe dostawy sprzętu z Chin nie ma co liczyć, a i tak ten sprzęt odstaje od zachodniego. Rosjanie już teraz gwałtownie cofają się, jeżeli chodzi o poziom życia i rozwoju. Ten proces będzie postępował z miesiąca na miesiąc. Plan Bidena zmniejszenia potencjału Moskwy o połowę jest, mimo dziurawych sankcji, skutecznie realizowany. To niemal takie samo zagrożenie dla Kremla jak bitna ukraińska armia. Rosja żeby uniknąć katastrofy, powinna natychmiast przerwać wojnę, ale chyba nie zamierza. Pozostanie więc im romantyzm przejażdżki własnym moskwiczem przez tajgę. ■

eprasa.pl 84d681be0e

Disney+
dostępny w Polsat Box

z telewizją już od 35 zł/mies.

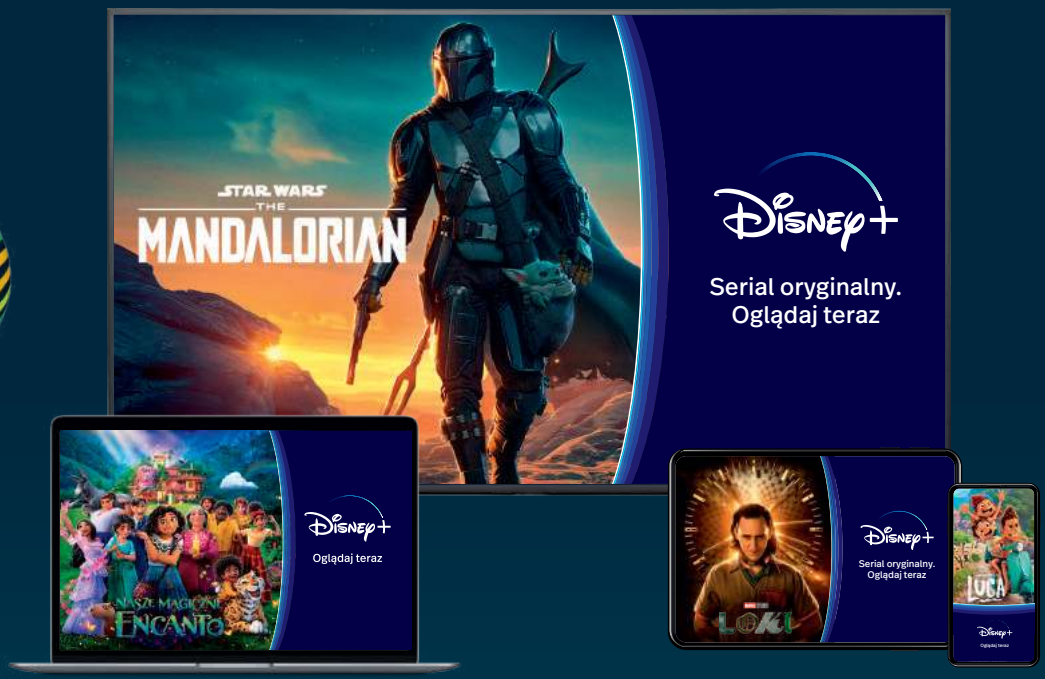

polsat box

Wybierz swoje wszystko

© 2022 Disney i podmioty powiązane. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Promocja dla nowych Klientów telewizji satelitarnej przy umowach od pakietu S z Disney+, z zobowiązaniem od 35 zł/mies. i z okresem podstawowym na 24 okresy rozliczeniowe. Serwis Disney+ nie jest dostępny na dekoderach. Dostawcą serwisu Disney+ jest The Walt Disney Company Sp. z o.o. Szczegóły w Warunkach Oferty i Regulaminie dostępnych u Sprzedawców i na polsatbox.pl. Oferta ważna na dzień 22.06.2022 r.

eprasa.pl 84d681be0e